









# POWIEŚCI HUCULSKIE

Przez

**Juliusza Turczyńskiego**

TOM DRUGI

**STRASZNA DRUŻYNA. SKARB  
W BORZE. ROMAN Z POROHÓW.**



L W O W  
Z DRUKARNI M. SCHMITTA I S-ki  
1906.



# POWIEŚCI HUCULSKIE

PRZEZ

JULIUSZA TURCZYŃSKIEGO

TOM DRUGI

STRASZNA DRUŻYNA. SKARB  
W BORZE. ROMAN Z POROHÓW.

INSTYTUT

BADAŃ LITERACKICH PAN  
BIBLIOTEKA

80-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 77

TEL. 26-68-62



L W Ó W

Z DRUKARNI M. SCHMITTA I S-ki

1906.

6339/21



<http://rcin.org.pl>



## Przedmowa do Tomu II.

---

Gdy wyszły w zbiorowej edycji pod nazwą „Nad Czeremoszem“ trzy nowele huculskie autora, mianowicie: „Taras z Worochty“, „Trofym Ołenyn“ i „Ostap z Perehińska“, pisała wówczas „*Nowa Reforma*“ (Nr. 296 z 25. grudnia 1890): „Jednym ze znamiennejszych „objawów w dziedzinie naszej najnowszej nowelistyki, jest silny zwrot do tematów ludowych. „Już nie ze stanowiska społecznego, ale z czysto „literackiego rzecz biorąc, trudno zaprzeczyć, „że w każdej literaturze powieść ludowa jest „jednym z najważniejszych i najciekawszych „działów. Lud przechowuje jedynie w całej „swej prostocie pierwiastkowe formy i uczucia, „zarodki cnót i wad, zatarte w sferach wykształconych prądami cywilizacji“. Dalej mówi między innymi: „Przyznać należy autorowi, że posiada „rzadki dar jednania sympatyj dla swych bohaterów i rzetelnego przedstawienia ich niedoli.

„Jeżeli dzięki jemu nowelistyka nasza posiada „typy huculskie, to koloryt, jaki on im nadał, „pozostanie już na zawsze, jako ich cecha znamienna, i wzór, na który zapatrywać się będą „ci z nowelistów, którzy przedmiotem tym zajmować się zechcą. A wprowadzając żywioł „nowy zupełnie, roztańczając przed czytelnikiem „świat zupełnie nieznan, podając utwory na „wskrós oryginalne, zarówno pod względem tła, „osnowy, jak i siły charakterystyki, umiał autor „nadać mu także formę odmienną i nawskrós „oryginalną. Zwolennik metody realistycznej, „a więc przedmiotowego przedstawienia obrazów i zdarzeń, umie z jednej strony nadać „swym kompozycjom niezwykłą siłę plastyki, „gdy chodzi o przedstawienie działalności osób, „z drugiej pełne pogody tchnienie poezji, gdy „chodzi o opisy przyrody“.

Tygodnik warszawski „*Prawda*“ (Nr. 2 z 10. stycznia 1891, (29. grudnia 1890) znów pisze o powieściach huculskich autora: „Z pośród bieżącej fali nowelistycznej wyróżniają „się one przedewszystkiem siłą i oryginalnością „kolorytu, wątkami niepowszednimi, oraz świeżością opisów pasma Czarnohory. Autor ma dar „malowania przyrody w krótkich, ale dosadnych „rysach, dla obrazków swych umie przygotować

„tło barwne, nęcące urokiem nowości. W opisach życia ludu górskiego, jego charakterystyki i psychologii, które zna, zdaje się, z bliskiego z nim zetknięcia, jest realistą, unikającym przesady, a nieszczędzącym farb żywych tam, gdzie ich potrzeba dla wywołania wrażenia w pełnej sile. Można mu zarzucić, że obrazy te są za mało słoneczne, że zbyt mało zwraca uwagi na jasne i dodatnie strony życia, ale wrażliwości na nędzę i niedolę, sztuki jednania sympatyj czytelnika dla swoich bohaterów, trudno mu odmówić“.

Ponieważ zaś trzy powyższe nowele „Taras z Worochty“, „Trofym Ołenyn“ i „Ostap z Perehińska“, oprócz tego wyszły i to w paru tysiącach egzemplarzy w „*Nowej Bibliotece rodzinnej*“ (w Krakowie nakł. Żupańskiego i Heumanna, 1890, Tom III. i VI.), nie wybraлиśmy ich przeto dla Tomu II. obecnego wydawnictwa, lecz właśnie wzięliśmy dla tego tomu inne, które dotychczas prawie nie były jeszcze drukowane w książkowym wydaniu, mianowicie: „Romana z Porohów“, „Skarb w borze“ i „Straszną Drużynę“.

„Roman z Porohów“ wychodził w r. 1885 w fejtetonach „*Kurjera lwow.*“ — i daje obraz ludu huculskiego w górnej części „Bystrzycy

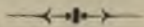
Sołotwińskiej“; jako teren swój ma rozległą w dolinie rzeki tej wieś górską „Porohy“ i wysokie góry tamtejsze, jak „Bystrę“, „Sywulę“, „Wysoką“ i inne. W utworze tym przedstawiony jest stosunek ludu tamtejszego do żydów, którzy się tam wszędzie w najgłębsze góry i połoniny wdzierają. W obrazie tym przychodzi do tragicznej kolizji między osobami powieści, w następstwie czego autor ma tu sposobność przedstawienia psychicznego stanu bohatera powieści po dokonanej zbrodni. Mimo to może tu autor odmalować z własnego poglądu całą górną dolinę Bystrzycy Sołotwińskiej i głębokie góry w pobliżu jej źródlowisk.

W drugim obrazie „Skarb w borze“ (wychodzącym w r. 1884 w „*Kurjerze lwow.*“) chodzi również o stronę psychologiczną głównej postaci, będącej w kolizji z samym sobą i własnym sumieniem; lecz autor ma tu sposobność, jak nigdzie indziej w tym stopniu, do oddania zabobonów i wierzeń naszego ludu, i właściwej tego poezji, która dziś przy kiełkującej oświacie i szkołach dzisiejszych zniknąć musi w krótkim już czasie.

„Straszna Drużyna“ (wychodząca w „*Nowej Reformie*“ i w osobnej książce wyd. Gebethnera i S-ki, całkiem już dziś wyczerpanej)

daje znów obraz huculszczyny niedzisiejszej, lecz z wieku XVIII. za czasów jeszcze Rzeczypospolitej, mianowicie króla Augusta III. Jest to w całej tej seryi powieści huculskich niejako utwór historyczny. Główna postać powieści Ołeksa Dowbosz, choć owiana aureolą legendową u ludu, jest jednak postacią historyczną. Dowbosz bowiem buszował we wschodnich Karpatach w XVIII. wieku za Augusta III. Sasa, i utworzył liczną drużynę, która długie czasy dawała się we znaki dworom okolicznym, a nawet mocniej obronnym zamkom panów, jak podobnież i miastom podgórskim. Koniec zaś tragiczny Dowbosza znajduje się w aktach Sądu dawniejszego kryminalnego w Stanisławowie, gdzie były i akta z dawnych sądów grodzkich. Oprócz tego dzisiejsi potomkowie ówczesnego włościanina z Kosmacza, Stefana Dźwinki, który zabił Dowbosza, posiadają w ręku swem dokument piśmienny z pieczęcią, wydany przez ówczesnego pana na Łuczy, Jabłonowie, z Prusów Jabłonowskiego, a uwalniający na wieczne czasy praojca ich i dalszych potomków od pańszczyzny i wszelkich danin za zgładzenie herszta szajki. Do tego dodać należy, że i spalenie Bolechowa, przychodzące zaraz na początku w powieści, jest faktem

historycznym, jak i wyprawy na potężnego watażkę w głębokie góry z nader licznem wojskiem, miały również miejsce w rzeczywistości. Motywa nawet do zemsty zdradzonego męża Stefana Dźwinki, są tego samego rodzaju w powieści, jakimi były w rzeczywistości. Utwór ten jest ze wszystkich powieści huculskich autora najbardziej trzymany w tonie epicznym, mianowicie z epiczną dokładnością i plastyką oddana tu przychodzi wyprawa w głębokie góry z licznym oddziałem na Dowbosza. Co do katastrofy w „Strasznej Drużynie“, dodać jeszcze należy, że tutaj autor połączył fakt historyczny z legendą ludową o śmierci Dowboszowej, jednak w taki sposób, że opowiadanej przez lud legendy użył tylko jako poetycznego kolorytu, który w niczem nie zmienia samego faktu historycznego.



---

---

# STRASZNA DRUŻYNA

obraz huculszczyzny z XVIII. stulecia.

---

---







## I.

W mieście Bolechowie ruch niezwykle... Na ulicy jedynej, długiej, z obu stron otoczonej domkami, skupiają się... gwarzą ze sobą tajemniczo... znów się rozchodzą i znowu skupiają... Kobiety załamują dłonie — niektóre w głos zawodzą... chłopcy i starzy dziadowie zaś radzą... Na wszystkich twarzach przestrach i trwoga.

Co młodsze i bardziej jare, parobczaki i odważniejsi z gazdów, zdają się gotować, jakby do obrony... Lecz wnet opuszczają ręce — bezsilni... Poglądają strwożeni — ze strachu wybladli. Żydzi zaś, zziąjani, pozamykali już, co mogli. — pomiędzy ich żonami rozgłośny jeszcze nie ustaje harmider. Trwoga dokoła bezsilna i zwątpienie.

Dochodzą bowiem raz po raz głuche wieści, że straszny watażka z pod Czarnohory, sam Dowbosz, jest w okolicy ze swoją drużyną...

Wyjść miał już z puszczy — z niedostępnych gór swoich i skał — i zagraża dziś równinom. Już miał popalić wieś podgórskie... gdzieindziej napadł na dwory, czeladź

pańską wyrznął, wszystko zrównał z ziemią... Takie w różnych odstępach czasu nadchodzą wieści.

W Łopiance miał porwać popadę, i zawlókł ją w niedostępną gór głębię. Mówią, że wszelki opór tutaj nadaremny, gdyż on ma taką siłę, iż świerki wyrывa wraz z korzeniami, a machając nimi, niby żerdką, dwunastu naraz obala chłopa. Sam król nieboszczyk, rodzic dzisiejszego, który to łamał podkowy i karoce w pędzie za tylne zatrzymywał koła, nie poszedłby z nim w zapasy: bo on ma siłę nadludzką, a chcąc miasto zapalić, nasypie jeno na dłoń swą prochu, zapali, dmuchnie — i całe miasto stanie w płomieniach. Tak przecież mówią?... Chyba jeden król Sobek, z całym swoim rycerstwem, dałby mu może radę... Ale ten dawno już w grobie.

Pod wieczór nieco się uspokoiło. Cisza nastąpiła w powietrzu. Na zachodzie krąg słońca, wielki dziś i bez blasku, zniża się powoli za posępne wzgórza, czernią borów pokryte...

Powoli cały obszar nieba z tej strony przechodzi w barwę prawie słowem niechwytaną — niby różową — niby szarawą — ale bardzo posępną...

W powietrzu osiadło coś ciężkiego — i jakaś ponura dokoła rozlana dziś groza. Nawet liście na drzewach szeleszczą jakoś inaczej, a bydło i konie stają się coraz niespokojniejszymi, psy zaś biegają, jakby gdzieś wietrzyły nadciągającą szarańczę krymską, lub łupieżce wołoskie. Turek już od dawna dał pokój ziemiom polskim, — atoli psy wiatr ciągle chwytają od strony gór a lasów.

Mieszkańcy, pogasiwszy nareszcie ognie po chatach, zmówili pacierz wieczorny i spać się pokładli z obawą: straży tylko nocnej nakazano bardziej dziś czuwać...

Gdyby jakie niebezpieczeństwo groziło, miała wówczas pobudzić mieszkańców.

W górze wisiały chmury, czarne, żałobne — i zdawały się zbliżać ku ziemi. Lecz spokój był w powietrzu.

Przechodziły godziny nocne, jedno po drugim, jednostajnie ciche i jednostajnie spokojne.

Mrok nocy, gęsty, nieprzeparty, całe objął miasto, — nie widać było domów, nie widać między domami drzew ani ogrodów.

Mijała godzina za godziną... Gdy jednak żadne nie pokazywało się niebezpieczeństwo, wtedy i straż, zmęczona czuwaniem, powoli usnęła... Sen objął całe miasto.

Po północy, na jednym końcu tej rozległej osady coś jakby tam zajaśniało... zaraz jednak zgasło... drugi raz mocniej zaświeciło, wyrzuciwszy w górę, nito snop promieni... Nareszcie strzecha na jednej z chat stanęła cała w ogniu, a na niebie pokazał się mały, okrągły odbłask łuny.

Po chwili ruch nastął w tej stronie, i przestraszeni mieszkańcy chaty gorejącej wraz z sąsiadami gasili z pośpiechem, mienie swoje wynosząc. Teraz i straż zaczęła nadbiegać... Ale tam tylko widoczna była nieostrożność? Zapomniano zapewne zagasić ogień na ognisku, albo też może co się zajęło w zlepionym z *walków* kominie?...

Ogień zdawał się już przygasać. Wiatr ruszył się teraz, lecz pędził w stronę, gdzie nie zagrażało żadne niebezpieczeństwo. Aż tu nagle i na drugim końcu miasta pokazała się luna... i wybuchł ogień czerwony, rzucając się na pobliskie strzechy, wiatrem gnany w podskokach. Teraz powstał ruch większy, gwałtowniejszy. Słysząc już lament pobudzonych kobiet.

Uderzono we dzwony. Przeciagle zadzwieczyła dzwonnica starej cerkwi — i polowa zbudzila sie miasta...

W trzeciej teraz stronie rowniez wybuchl ogien, a choc go zaraz zgaszono, powstale juz na czwartym koncu plomienie zaczely sie rozszerzac z niepowstrzymaną szybkością...

I trzy ogromne na niebie zajaśniały łuny, coraz się bardziej rozszerzając, coraz gwałtowniej rozpierając czarne chmury.

Nastał teraz zgiełk i trwoga powszechna: jacyś widocznie złoczyńcy podpalili miasto, aby kraść i rabować. Drużyny jednak tu żadnej nie widać, z hersztem, wiodącym setki uzbrojonych w broń sieczną i palną.

Tu i ówdzie wynoszono zaczadzone dymem dzieci, łypiące jeno oczyma: — gdzieindziej wydobywano zczerniałe i zwęglone niemowlęta...

Ogień zlał się nareszcie w jedną masę — i stało się jasno jak w dzień w całym mieście.

Atoli prócz mieszkańców tutejszych nikogo nie było widać... Nie wiedzieć, czy to jacy swojscy złoczyńcy podpalili miasto na czterech rogach, by w ogólnem zamieszaniu kraść i rabować żydów?... czy może to zbiegli z siół bepańscy poddani, dziś się włóczący?... a może też jacy dworscy hultaje, co niedawno uciekli z turmy?...

Wzięto się zatem z całej siły do ratowania i wynoszenia rzeczy i bydła, a miano się na baczności, by co nie zginęło.

Pożar coraz się rozszerzał... Tu i tam ludzie się rozbiegali, a wydobywano już z pogorzelsk trupy dzieci, i trupy bydła a koni...

Rozpacz i lament nastał okropny. Kobiety biegały z rozpuszczonym włosiem — wyjące za niemowlętami.

Chłopcy i co śmielsza młodzież wydrapywali się na dachy, lecz niejeden spadł z wałącą się płatwą, to belkiem.

W żydowskiej połaci straszny rozlegał się wrzask i lament.

Niektórzy jęczeli okropnie poparzeni, z osmoloną głową, z której włos spadł spopielały, w pół nadzy, z wiszącymi jeszcze szmatami niedopalonego odzienia. Poranieni wołali, aby ich kto znalazł wodą i ulżył ich boleściom; lecz wody nie było, lubo wiszące w górze chmury, coraz gęściejsze i coraz bardziej z kłębami dymu zmieszane, zdawały się być deszczem brzemienne. Wiatr teraz ruszył się gwałtowniejszy, i pojedyncze zrzadka padały już krople...

Zdawało się, iż może teraz deszcz lunie... Z nadzieją ostatnią patrzali do góry, oczekując go z upragnieniem: on tylko jeden, jedyne, mógłby tu za łaską Boga ugasić pożar.

Wiatr syczał i huczał — kłęby dymu leciały niepowstrzymane... Z niektórych, niedopalonych chat, z gwałtownością wybuchały cisnące się masy czarnego dymu, ogień straszliwie trzeszczał i klaskał jakby z tysiąca biczów.

Wtem deszcz zaczął padać gęstymi kroplami... Nadzieja budziła się niejaka... Lecz starsi kiwali tylko głowami. Deszcz lunął rześisty — i zrobiło się tak ciemno, że nie można było nic koło siebie rozpoznać... Pożar mimo to nie zagasł, jeno się z mgłami deszczu i tumanami wichru pomieszał w jakąś całość chaotyczną, jeszcze sroższą, jeszcze straszliwszą — i zgiełk teraz nastął nie do opisania.

Tu i ówdzie, gdzie jaskrawy blask pożaru przedarł mgłę deszczową zmąconą tumanami dymów, zdawało się, że widać nawet chwilami postacie jakieś — uwijające

się — obce mieszkańcom miasta, dzikie a nader ruchliwe. Lecz teraz, w tumanach tych i w blaskach czerwonych ognia, wszystko potworne przybierało kształty... Sąsiedzi nie poznawali sąsiadów, dymem osmolonych, deszczem przemokłych, czerwonych krwawą luną pożaru.

Gdy nieco burza ucichła i deszcz ustawał, a blaski pożaru górę wzięły nad szarym gąszczem dymu i deszczu, — widać było kupy rupieci z popalonych domostw — zmoczone, bez ładu leżące... Koło nich uwijały się osmolone i pokaleczone chłopcy, lub z przerażenia drżące niewiasty, otoczone drobiazgiem przestraszonych dzieci.

Atoli jedna z młodszych dziewczek nie załamywała tutaj dłoni, nie zawodziła rozpaczliwie, jak inne, — lecz wyratowawszy swoich mienie, pognąła czempredziej drugim pomagać, gdzie jeszcze można było co wydobyć z chat niedopalonych: zlewy bowiem deszczowe miejscami nieco ogień przytłumiły.

W osmolonej koszuli, z kosą rozwiązaną, zarumieniona od wysień, usiłowała Melanka wyratować, co było można, z mienia biednych sąsiadów... W tej chwili jednak spostrzegła, że człowiek jakiś, rosły i barezysty, wcale jej nieznany, ognistem okiem w nią się wpatruje, jakby się dziwił odwadze dziewczki i śmiałości, — do ratowania zaś wcale się nie ruszał. Spostrzegła to... lecz nie tracąc czasu, wnet się odwróciła, skoczywszy dalej do wywalenia wrót starych, których płomień jeszcze nie dogryzł, a za którymi dałoby się może co jeszcze wydobyć...

Po niejakiem czasie, gdy na innem miejscu znów silila się wyważyć drzwi, dla dziewczki, chociaż silnej, za ciężkie, i oglądała się za jaką pomocą — widzi tego samego człowieka... lecz on jej teraz wydał się rośniejszym

jeszcze i bardziej urodziwym, a włos jego, czarny jak węgiel, spadał mu poniżej ramion. Przełęka się, ale on się łagodniej uśmiechnął, patrząc na próżny wysiłek dziewczki, a bliżej przystąpiwszy, w jednej chwili silnem ramieniem wyważył drzwi ciężkie, dębowe, że rozpekły we dwoje powaliwszy się z łoskotem. Poczem natychmiast się oddalił.

Dziewczyna stała przerażona zjawiskiem niezwykłym i siłą, której podobnej nie widziała. Zdawało się jej, że czuje jeszcze na sobie jego wzrok ognisty, do głębi świdrujący... Chwilę stała w zamyśleniu... Tumany jednak nadciągające dymów i mgły nocnej zakryły jej dalszy widok.

Zgiełk był teraz znowu coraz większy i coraz głośniejszy, — przy uciszonym zaś zupełnie wietrze i spokojniejszych blaskach, dało się widzieć niejedno, czego przed chwilą oko nie spostrzegło...

Dlatego też zapobiegliwość gazdów stawała się coraz większą, ale niejednej rzeczy nie można było już odszukać. Znajdywano natomiast porozbijane w tym zamęcie nocnym skrzynie, dobrze okowane, których płomień nie przegryzł, a były przecież nie dawno wyrzucone z komór w całości; w innych znów brakowało schowanych koralu i przez dłuższy czas składanego grosiwa: widoczna tu była czyjaś zbrodnicza ręka.

Gdy tak szukano tego to owego, spostrzeżono na jednym miejscu człowieka, który unosił całą garść sznurów koralu; kiedy zaś inni doń przyskoczyli, w jednej chwili wyciągnął on z pod burki broń ukrytą, a dawszy ognia znikł z przed oczu przestraszonych... Tylko krępa jego postać i kosmate oblicze zostało w pamięci przytomnych, którzy się mocno tem zafrasowali... Na innych

również miejscach pogorzeli przypomniano sobie także, że w zgiełku nocnym widziano jakichś ludzi nikomu tu nieznanym, a właśnie tam najwięcej potem rzeczy brakowało. Gdzieindziej przyszło nawet i do bijatyki, gdyż rabowano tam otwarcie, a byli nawet między tymi obcymi tacy, co odgrażali się ostrem narzędziem, nie znajdującem się w mieście.

Ludność teraz poznała, kto jest w mieście: straszliwe przerażenie wszystkich ogarnęło.

Zaczęto się też kupić, trwożnie, bezładnie... Kobiety poczęły uciekać kryjąc się, gdzie która mogła... lecz mężczyźni, doprowadzeni do rozpacz, imali w ręce siekiery, to koły... niektórzy zaś mieli kosy, cepy, nawet trzusła wrywane z pługów, — i próbowano tłumem opaść śmielszych i lepiej uzbrojonych rabusiów. Lecz tu na przeciągły świst ich przewodcy z różnych stron zbiegli się niepoznani dotychczas opryszki... i wstępnym bojem, strzelając a kładąc trupem, unosząc zaś łupy swoje, uszli w oczach mieszkańców, którzy nie śmieli się puścić za nimi w pogon.

Mieszkańcom Bolechowa pozostawiono dogorywające domy i kłębiące się dymy, które teraz czarnymi chmurami zawisły nad nieszczęśliwym miastem.

Zniskąd nie było pomocy. Łupieżce miasto spalili — a przecież król August siedzi na tronie i zwołuje raz w raz sejmy dla dobra Rzeczypospolitej... Zali wojsk nie mają, ni król, ni pany, ażeby wolę jednego ukrócić watażki?...

Całą noc szalał jeszcze płomień... Na niektórych miejscach tak było gorąco, że przystąpić do pożaru było niepodobna; ogień gryzł i szczypał w lice, a wyratowane już rzeczy napowrót się od gorąca zajmywały... Ale



dopiero kiedy dzień nadejdzie, będzie można poznać ogrom nieszczęścia!

Gdy nastał ranek, wychyliło się słońce, ogromne, bez blasku, jak gdyby z przestrachu wybladłe, zastawszy inne dziś miasto, niżeli to, które wczoraj opuściło.

Tu i ówdzie czerwieniły się jeszcze płomienie, z kupy zaś gruzów i popiołów kłębiły się dymy czarne, w górę uchodzące: gdzieindziej znów jakby z rusznic starych, pękających, strzelały wydobywające się ognie... W niejednym zaś miejscu stały jeszcze rzędy domów, lecz bez strzech i dachów, zczerniałe, inne znów z niedopalonymi tylko słupy i belkami, podobne kościotrupom... Po różnych miejscach szukano jeszcze tu i tam dzieci pogubionych, a znachodzono drobne w popiele szkielety. Ówdzie znów zawiązywano rany, zadane pokalczonym, lub silono się bez skutku rzeźwić zacadzonych... Tam zaś znowu usiłowano przyprowadzić do życia tych, co śmielsi, porwali się na drużynę watażki, śmiało w oczy zagładającą śmierci.

Me l a n k i zaś, odważnej, ratującej innych, nie mogli się dziś jej rodzice doczekać... Mija jedna godzina, druga... a dziewczyny, jak nie było, tak niema... Narazcie zaczęto pytać się innych, czyli gdzie jej nie widziano. Byli, co widzieli, jak ratowała to lub owo domostwo... lecz nie umiano powiedzieć, gdzieby się potem podziała. Matka już zaczęła ręce łamać, pewna, że dziewczynę za daleko śmiałość zawiodła, i teraz leży przytłoczona gdzie ciężką jaką belką... Zaczęła głośno zawodzić... Dziewczyny szukano w całym mieście, ale ni żywej, ni martwej, nie można było odnaleźć.



## II.

Gdyby kto zajrzał w głębie borów, czarnych, nie-schodzonych, i zdołał przejść dzikie wądoły a jary, pię-trzące się od usypisk, bronione zaś przez dzikiego zwierza i gorszego odeń człowieka: ujrzałby Melankę, leżącą na posłaniu z igliwia świerkowego, spoczywającą snem znużenia, a dokoło niej rozłożone dzikie postacie, uzbrojone w topory i noże, wychylające się z poza szerokich pasów... Inni znów byli tam bez pasów, w sirakach lub burkach, albo też w stroju jakimś dziwnym, jaskrawym... Jedni z nich ciągnęli z baryły czerpakiem, drudzy dogryzali placka owsianego, spieczonego w po-piele. Na rożniu zaś długim piekł się cały baran, gdzie dwóch ludzi smagławych, z włosiem długim, w poświotle żaru błyszczącym, na klęczkach koło ognia zajętych było robotą swoją kuchenną.

Watażka ich, w przystrojonej w pióro orle i złote blaszki *kresani*, leżał pogrążony w zadumie, poglądając to na uspioną dziewczynę, to chwilami na innych, którzy

wtedy pod wpływem tego spojrzenia gwaru swego zaprzestawali. A kiedy się ruszył, zabłyszczał mu z pod burki pas szeroki, bogato z węgierska srebrem nabijany. Wpatrzywszy się w urodziwą jego postać, możnaby poznać w nim onego sążnistego chłopca, który podczas pożaru Bolechowa, pomagając dziewczynie, drzwi owe ciężkie płonącego domu wyważył.

— Ta czy ona śpi jeszcze? — odezwał się jeden z tłuszczy tej do drugiego.

— Ano nie widzisz, chłopie?... Ot, durne to-ci jeszcze!... Inna całowałaby mu rękę, takiemu watażce, że ją tu sprowadził. Bo czy jej tu będzie dziś krzywda jaka? Albo on-ci nie ma sznurów koralu, ta perłę z bind żydowskich, żeby i nie jedną ustroił *krasawicę*?...

— Ba... a dodaj no do tego tych *bilych*<sup>1)</sup>, na sznurki nawleczonych... co to, jak pomnisz, pozdzieraaliśmy z *wonych mołodyc* kosowskich?...

— Cha, cha! Toż to był wtedy *rejwach*!... Jak to zaczęło-ci się prosić!... Ano nie pomogło!...

— *Mołodcy* nie robią nic przez pół... O! patrz-no, chłopie, jak czarny Kuryło zagłada na śpiącą!... No, no, niech się bestya ma na ostrożności, bo już watażka się chmurzy!... A ty wiesz, co to znaczy, gdy on brwi ściaga?...

— Ależ bo to, co krasawica, to wam już krasawica!... *harna* by jodła.

— Nie mało bo z nią byłoć i kłopotu!... Nie mogę zabyć, jakeśmy ją porwali... Ta, czekaj, ano długo czekaj,

---

<sup>1)</sup> *Bili* — tak zwali huculi srebrne grosze, *zowti* — były to dukaty.

chłopie. zanim-ci nie odejdzie tam, gdzie więcej będzie dymów a mniej ludu ich plugawego!... Cha! cha! ale dobrze-ci rudy ten *sobaka* zatkał dziewczę gębę, kiedy krzycheć chciała... Cha! cha! cha! cha! *Zazula* chwyciła-ci go pazurami i byłaby mu ślepie wydrapała...

— Gdyby-no nie było tyle wrzawy, na pozór — dodał inny — to byliby się wam Bolechowscy *obaczili*... ale tak już ona zakosztuje dzisiaj naszej strawy *molodeckiej*... taj tylko! —

Ona tymczasem lekko dyszała... Może jej się teraz śniło, że jest w chacie rodzinnej, na łonie matenki, w pośród swoich... albo jeszcze myślą gdzie ugania między domami, wynosząc mienie sąsiadów. W tej chwili się ruszyła, zrobiwszy zamach taki ręką, jak gdyby coś chwycić usiłowała. Widoczny nawet wysiłek poznać na twarzy śpiącej...

Obudziła się. I watażka w tej chwili się ruszył.

Ona zaczęła przecierać oczy rozglądając się... narreszcie wyjąkała:

— Oj!... ja tutaj między tymi?...

I zaczęła rozpaczać.

— Alboż ci tu krzywda będzie? — rzekł jeden z drużyny. — Watażka nasz.. patrz, jaki on bogaty!.. mierzy-ci garncem korale jak bób grube... Ma-ci więcej, niż wasze tam... *kawalery* bolechowskie...

Ona w płacz uderzyła.

— Dać jej pokój! — odezwał się groźnie watażka. — Niechaj się wypłaczę... będzie jej tak lepiej...

— Tać i nawróci się — dodał inny.

— Oj! ja się nie nawrócę... nigdy, ta nigdy!...

Wróćcie mnie do moich! *Pomyłujcie* a wróćcie! Na co ja się wam tu przydam!...

— Ty silna, jak chłop — zaśmiał się rusy Tymko — będziesz z nami *mandruwała*... Damy ci rusznicę albo i szturmak do ręki... Dziewczyna, jako jodła, a boi się pochodów...

— No, cicho tam! — zawołał watażka. — Nie naigrawać się! — Potem dodał jeszcze: — Gdy przyjdzie do siebie, weźmie ona niejednego z was *za czuper*... *Ja baczyw*, jak-ci tam ratowała...

— Oj, ja nieszczęśliwa!...

*Pomyłujcie, pane mołod'cze!*... Wy dobry... wy mnie odeszlecie do moich?... Tam *maty* moja *tużę* za *donką*... *Maty* myślą, że *donia* jej nie żyje...

— No, nie bój się, *krasna moja*. Zobaczysz jeszcze kiedy i *maty* swoją... Ja ci nie zrobię krzywdy... Ot, dajcie jej na początek wybrać sobie jaki sznur koralu... taj co najdłuższy a najgrubszy...

— Jak to? watażko!... Bez podziału jeszcze?...

— Nie słyszał, chłopie?... Spytasz ty mi się raz drugi!...

I zgrzytnął zębami, — a pytający zadrżał i łypnął oczyma. Musiał usłuchać. Niektórzy spojrzeli na siebie — a rudy Kuryło rzekł do drugiego:

— Nie wiedzieć, co teraz powie... *k o s m a c k a*?...

— Ta co?... Czyż bo watażka nie *mołodec*?... Będzie wam przy jednej wisiał krasawicy?... Zali nie jemu to mieć ich kilka?...

Tymczasem chciwym wzrokiem szukano koralu pośród kupy świeżo zrabowanych rzeczy, które leżały pod strażą dwóch dobrze uzbrojonych. Ci zaś pilnowali,

aby nikt nie śmiał czego pochwycić, jakoby dwa psy, zęby wyszczerzające na każdego, ktoby się do łupu zbliżył.

Gdy przeniesiono gruby sznur czerwonych jak krew koralu, a Dowbosz chciał je zawiesić na szyi dziewczyny, wzdrygnęła się ona, raptem odskoczywszy...

— *Ne chcuzu* — mruknęła. — To z naszych ludzi!  
— Potem zwróciwszy się do watażki, zawołała: — *Pomyłujcie*, panie!

— No, no... ona nie chce, bo to z bolechow-skich. — Tu zaśmiał się: — Poczekaj, znajdą się inne...

— Oj, dajcie mi pokój!.. Obejdę się bez nich...  
*Pomyłujcie!*...

— Durna dziewczyna! — zawołali *mołodcy* — gdy dają, ona *wam* nie bierze.

— No, dać teraz spokój! — rzekł watażka — skoro dziś nie chce, zostawić jej wolę!... Za trzy dni przyjmie, i będzie sama prosiła, choćby najkrańsze... U nas się znajdują nawet i bekieszki, taj kożuszki popieliczne, jakie noszą wielkie panie... Ty bo będziesz u mnie panią...

— Oj, *pomyłujcie!* — Tu zaniósła się znowu od płaczu.

— No, no, dzisiaj ona-ci płacze... Jutro? ta, może jeszcze płakać będzie... ale pojutrze to już się będzie śmiała... Tak to bywa zawsze!

I odszedł na bok nieco: wkrótce zaś przyjdzie im dzielić się zdobyczą i każdemu dać część jego... *Mołodcy* już chciwie poglądali... Ale watażka próbował jeszcze ich cierpliwości: trzyma drużynę swoją na uwięzi, nito psy na sforach, na siebie zajadłe, kiedy widzą strawę już przyniesioną...

Wrócił i położył się... Wkrótce zaś zawołał:

— Chce mi się pić!

Tu jary chłopak, z głową rusą, kędzierzawą, który ciągle patrzył nito pies młody w oczy watażce, siłą się odgadnąć chęci jego, poskoczył czempředzej do *mołodców*, aby przynieść dzban z winem węgierskim...

Lecz jeden z tych zagadnął chłopca:

— Ta, nie słyszałeś, durny? Watażce pić się chce...

Tu przecie niema wody?...

— To *oni* chcą *wam* teraz wody?

— Alboż ty nie słyszał?... Ano przedzej, chłopie!

Bo watażka już niecierpliw...

Chłopak, jak stał, porwał w mig za konew, i dalej z nią w dół do źródła! A *mołodcy* zaśmiali się, że zakpili sobie z młodego *żrebaka*; sami zaś czempředzej podali watażce dzban pełny wina.

Watażka wychylił nieco i skrzywił się dodawszy:

— Niema tam lepszego?...

Oni odeszli szukać... Tymczasem zaczerwieniony z pośpiechu, zadyszany, nadbiegł z wodą Todosik, i z uśmiechem wnet podaje watażce napełnioną konew.

— A to co?

— Woda, *otcze*. co ją dopiero ze źródła naczepał...

— Czy *skazyw sia*, ano co?

I chwyciwszy za konew, wylał ją na łeb kędzierzawy ogłupiałego w tej chwili chłopaka, który nie mógł pojąć, czemuby zawinił. Gdy mu woda strugami z włosów się lała, patrzył on tylko zdziwiony, jak się drухowie jego za boki brali.

Wreszcie zmiarkował, o co idzie, a chwyciwszy się za głowę, choć cały zmoczony, nie myślał się wcale

suszyć, jeno przysiadł u nóg watażki, tłómacząc się, że to oni byli, co go tak *zdurzyli*.

— Nie gadać więcej o tem! Już wzięłeś za swoje... *Mołodec* długo nie prawi... Żal ci głowy, taj *petaka*<sup>1)</sup>, zem ci trochę skropił?...

— Ta, gdzie bo mi żal!... Kaźcie... ja wam w mróz, choćby tam jaki, pod lód skoczyłby... Ja by za was...

— No, no, doczekasz się jeszcze, może i przed zimą... że choć nie pod lód skoczysz, to prędeż w ogień... i będziesz się piekł...

— Ale się sprawię, dalibóg sprawię! — Potem dodał: — Taj nikogo nie wydam! *Prysiaj Bohu* nie wydam!... Oni będą darli, a ja sobie będę *piśni śpiwaw*...

— No, pamiętaj! Bo jak nie wytrzymasz, to wiesz, co cię czeka?

— Azali ja nie wiem?...

— Ej, ty bo myślisz, młody sokoliku — wmieszał się czarny Kuryło — że my zawsze będziem jeno ze żydami mieli *turbacyją*... jak tam-ci było pod Kałuszem... a ty będziesz im brody jeno smalił?... Nie zawždy damy ci powiązane *nechresty*... Ho! ho! przyjdzie bo i na dwory... Jak to ono było... ty tego nie pamiętasz... Jeszcze wtedy ciebie nie było... Ho! ho! na dwór *pistyński*, to nie przelewki! Tam bo ich *puszkary* mieli *flinty*, a dragony nie już rusznice, co je zapalasz lontem, jeno *puszki*, a to z takim kurkiem, który, skoroś go pocisnął, zaraz stał się o krzemień, taj wydobył iskrę... ano wnet zapalił! To bo nie żarty!... Nie naszych borów to broń! A jeżeli z naszych którego

---

<sup>1)</sup> *Petak* — ubranie wierzchnie u huculów.



złapali. toć i ćwiertowano... A tobie, myślisz, żeby jeno dali bizuny, jak ci tam niegdyś wlepił sto nahajów podstarości Potockiego?

— A czy ja wam się boję nahajów?... Ta dali mi, taj co?... Ale teraz już mi nie dadzą!...

— Tylko cię lepiej *oprawią*...

— Ta niechaj i zetną!...

— Ale głowa odrąbana, chłopie, już się nie zrośnie!...

Niby na postrach naszym...

Tu rusy Tymko dokończył:

— Zawisnie na bramie twoja *kuczerjawa*, ale z wydziobanem już ślepiem... przez puhaczy...

— Jeśli zawisnie, to niechaj zawisnie!... Człowiek raz żyje, raz ginie!

I powstał śmiech nowy — a chłopak stał czerwony; nie bardzo bowiem było mu w smak widzieć kędzierzawą głowę swoją na bramie jakiego zamku!...

— A tymczasem będziem *rizaty nechrestiw*... taj babom żydowskim zdzierać ze łbów bindy z perłami!...

— Ano pamiętasz tam w Kutach?... Ej, ty nie był wtedy!... Ale my dobrze pamiętamy, jak to *wirminy* bronily skopów swoich... Dowbosz gnał z nami całe tego stado... Toż to było pieczeni a kozuchów dla wszystkich!...

— Nu, dajcie pokój, chłopcy — zawołał zezowaty Mordko. — *Woni* na nas teraz *czatował*... już może te *nadworny*, a może i *dragonie tego*. *Woni majo takiego* muszkiet co, sam pali... *aj gwałt*!...

— Czy to pierwszyna, żydzie?... Dragony, nie dragony... ano chociażby i pancerny! taj co?... Dragonowi muszkiet jego rozbijem, pancerny nie wysoko tu

się wydrapie! Na pierwszym lepszym usypisku tak-ci zajedzie, że go już nie szukaj więcej! chyba gdzie kości po nim zbieraj na dole!... Cha! cha!... Żelazo na okrycie, to-ci nie nasz *petak*.

A czarny cygan z tłuszczy tej nie otwierał gęby, jeno się raz w raz zalewał z baryły... Czasami lypnął oczyma, gdy była mowa o koralach lub *bindach* żydowskich, a wtedy i rudy ten zezowaty Mordko świecił oczyma jak żbik, a krew mu podchodziła aż do ślepie... Lecz *mołodcy* na nich obu mieli baczność.

Był w szajce tej także i madyar jakiś, co łatwo było poznać po wąsie w górę zakręconym i suto sznurami obszytej kurtce... Najwięcej jednak było tu chłopów huculskich i włóczęgów wołoskich.

Dowbosz rojną przewodził drużyną, z różnych stron zebraną. Byli tam i gazdowie osiedli na gruncie, mający we wsiach górskich bydło i owce na poloninach; przebywali tu czas niejaki, a potem wracali do chat swoich na gospodarstwo — niepoznani.

Nareszcie watażka dał znak, że się zabiera do rozdzielania łupów... I w jednej chwili spoważniały wszystkie oblicza... Chciwość błysnęła we wszystkich oczach... Zaczęli się teraz schodzić i inni, zakryci dotąd drzewami, tak, że się tego zeszła niemała liczba.

Wszystko to zebrało się wokoło kupy tej zrabowanej, i rozpoczęły się targi a krzyki, niekiedy odgrażania się... Niejeden miałby ochotę drugiemu nóż wbić w gardziel, lecz wzrok [groźny watażki, jako wodza, nieznanego oporu, umiał zawsze bójkę zażegnać.

Dziewczyna patrzyła na to, drżąca ze strachu, zwracając się z obawą na watażkę, który tu jak mocarz

wyglądał wśród swojej drużyny, większy i silniejszy, niżeli król na stolicy... Bo gdy Sas schlebiać musiał jednym i drugim, a zwołując raz po raz sejmy, opuszczał je wnet zrywane wracając do przerwanej drzemki swojej i lulki: watażka przeciwnie, trzymał w swojej dłoni żelaznej najniesforniejsze żywioły. Nieposłuch zaś tu groził każdemu stryczkiem lub toporem.

A jak był despotą nad drużyną, nie znosił i oporu kobiet zamężnych czy niezamężnych, uważając je jako stworzone tylko dla siebie... Ponieważ zaś był to chłop silny i urodziwy, a do tego otaczała go aureola niezwykłego watażki, któremu liczne, raz po raz nasyłane nawet oddziały wojska, rady dać nie mogły: — nie sobie przeto nie robił, że tam serca niewieście się krwawiły.

Nowa branka nie opanowała jeszcze jego serca *molodeckiego*, ale groziło już z jej strony niebezpieczeństwo dla innej krasawicy, którą watażka pierwiej umiłował.

Czy tamta, będąc stąd daleko, przeczuwa, co jej dzisiaj grozi?... czy się może ludzi jeszcze miłością silnego? — Mało go to widać ninie obchodzi.

---



### III.

W chacie huculskiej, dostatniej, około ogniska zajęta była wraz ze swoją dziewczką młoda a urodziwa gazdyni, bo mąż jej, oglądając strzelbę swoją, czekał na wieczerzę, aby odejść czempředzej na nocleg do brogu siana.

Irena, chwilami spoglądając na niego, odczuwała się:

— Ty dzisiaj... nie chodzisz za zwierzem... Na co ci... tak bardzo... tej *puszki*?...

— Gorszy bo teraz, kobieto, zwierz tu czatuje... Ba, czasami, on i w naszych lasach kosmackich... Raz-ci na Czarnohorze, to kędyś aż za Bystrzycą jedną, to drugą, za siódmą rzeką, za dziewiątą górą... ale niespodzianie może się pojawić i w naszym Kosmaczu...

Irena nie rzekła, jeno pilniej dokładała *łomaków*, by przedzej garnki zakipiały.

— Oj, tak, tak. Ireno, ciągnął Stefan — człowiek się nie oglądnie, aż tu Dowboszczuk, choć on dziś niby daleko, nagle może się zjawić... A gdyby tu który z jego drużyny zajrzał do mojej komory, do stajni?...

Czy jabym to zniósł?... Czy ja nie jakoby *puszkar* już *od maleńkości*?... nie chodził ja na Grehit nam nasz najbliższy?... Ledeskuł a Pożeretuł<sup>1)</sup>, czy mi obce?... A i po za „Ilcię“ nie chodził?...

— Tam mają być dziś także chaty... nad tą „Ilcią“ — wycodziła uważnie Irena.

— Ano, są!... Jest już jedna, taj druga... będzie i kilkanaście w tej zapadłej dzicy...

— Czy to... taka straszna tam dzicz, *Stefane*?

— A jakieś chciała?... Tam ludzie mieszkają, jakby już za światem: od chaty do chaty tam bo nie zajdziesz... każda jakby schowana w zaroślach...

Gwarząc tak wyjął nieco siekańca ołowianego, i zaczął grubsze kawałki przedzielać na dwoje.

— Ty chodził na „Ilcię“? — zaczęła znowu żona — Czy tam... taka długa droga... ano straszna, na toj Grehit?

— Chociaż tam, kobieto, od naszego *Kosmacza* trzeba-ci się przedzierać przez niejednen bór, ta już spinać coraz wyżej a wyżej aż na sam Grehit, potem zaś schodzić po strasznie urwistym stoku... jednak nie byłoby jeszcze tak źle... Ale dzisiaj... ho dzisiaj... tamtędy rzadko chodzą... Bo Dowboszczuk zabrał nam wszystkie bory... Nie chadzaj tamtędy, człecze... bo i tam jego władztwo!... Ach, bodaj tego Ołeksę Dowboszczuka!... Bodaj był się on nie wyrwał służbie Potockiego, gdy-ci go jako chłopaka jeszcze do dworu powlekli!... Od tego czasu, kiedy złożył sobie drużynę, wszystkie tu góry

---

<sup>1)</sup> Grehit — Ledeskuł — i Pożeretuł — wyższe szczyty karpacie w tych stronach.

i wszystkie wsie nasze zostały zaniepokojone... Ha! nie tylko bo górskie, ale i tam po dolinach... Ano dwory czy się go nie boją?... Czy strzegą ich okopy, taj wały?... A umie-ci on się wszędzie dostać... potrafi wynaleźć, gdzie co zakopane... Ano Senia Olejniuka... czy nie związali dziada... tać i nie przymusili, że im musiał pokazać, gdzie jego *bili taj żowti*. A starej Draganichy czy nie *oprawili*, co się zwie? Nie lali smoły roztopionej, iż baba musiała tam ich zawieść, gdzie chcieli?...

Słyszac podobne słowa jakoś się zamyśliwała. Podczas wieczery mało do siebie mówili. Nareszcie posiliwszy się odszedł Stefan na nocleg do brogu.

Irena zaś usiadłszy zapadła w ponure zadumanie, raz po raz wzdychając. Nareszcie musiała ogień zagasić... i do snu się położyła, lecz zasnąć nie mogła. Różne ją myśli nachodziły. A gdyby się z nim tam zeszła?... I mrowie ją przeszło. Ale jego tam pewno nie zdybie, bo drużyny ich nawet w tych górach nie będzie teraz. Tak przecież mówią?... Oni gdzieś daleko mieli odejść — i tam mają czynić wyprawy swoje.

Postanowiła zatem nazajutrz lepiej się o tę drogę wypytać... w Stefana zaś w mówi, że ją od dłuższego czasu gościec straszny napadł, kości łamiąc... Wszak i tak on nie raz się patrzy, co jej dziś brakuje, że jakaś inna, niż dawniej? Zresztą choć się chłop może będzie dziwił, ona go przekona, że tutejsze, kosmackie, nie jej nie pomogą... że wcale nie ma do nich wiary, — bo one nie potrafią nawet dobrze „odezynieć uroków“, jeśliby kto na nią może rzucił urok...



#### IV.

Kiedy się Irena wybierała w drogę, dokoła był mrok jeszcze nocny; od strony tylko Brusów<sup>1)</sup> podłużne na niebie, jaśniejsze ciągnęły się pasy, lecz słońca jeszcze nie było.

Irena przechodząc koło chat różnych przełaziła miejscami *worynia*, czasem zdybała kobietę jaką, która wcześniej wyszła z konewką do potoku; niekiedy ją psy opadły, lecz zaczuwszy, że to ktoś ze swych, odeszły, głucho jeno pomrukując.

Kiedy ostatnie minęła *worynia*, wychodząc już na górę, spojrziała ku wschodniej stronie — a tam czerwień krwawa oblała teraz szeroką część onej nieba — i wszystko zdawało się przybierać w tej chwili jakąś posępną barwę. Mimo to z pośpiechem wychodziła na czarną Kłyfę<sup>2)</sup>.

---

<sup>1)</sup> Brusy — pasmo niewysokie po wschodniej stronie wznoszące się nad Kosmaczem.

<sup>2)</sup> Kłyfa — pierwsza góra od strony południowej siola. Dalej następują Prełuki.

Przyszło jej teraz iść lasem. Tutaj chwilę się zatrzymała, jak gdyby się zawahawszy, czy ma wejść w ten bór czarny... Lecz opanowawszy się, z niejakim weszła niepokojem w ową ciemność lasową. Zdawało się jej, że teraz noc na świecie, wiedziała jednak, iż tam w kosmackiej kotlinie pewnie będzie jaśniej. To jej dodało otuchy, — i postępując coraz wyżej, spostrzegła, że się już bór kończy i wychyla zieloność halawy, a im więcej do niej się zbliża, tem się ona staje jaśniejszą, jakby oblana pierwszymi promieniami słońca.

Wyszła wkrótce z ciemnego lasu i ujrzała się na błoni otwartem, — im wyżej zaś podnosiła się w górę, tem coraz więcej widać było światła.

I tak stanęła na Prelukach. Słońce tuż się wytoczyło na niebie, i krąg jego wielki, świetlany, oblał wszystkie góry i wzgórza dokoła obszernej kosmackiej kotliny; sam jej jeno środek ciemniał jeszcze w mroku nocnym.

Gdy teraz ujrzała wyższe pasmo Brusów jaśniej oświetlone i niższy Bukowiec, wszelkiej pozbyła się trwogi. Chwilę przysiadła, by się po świecie rozglądnąć; chciała tu lepiej rozpatrzyć się i nabrać większej pewności.

Wkrótce powstawszy, szła instynktowo bokiem nieco pasma, spinając się coraz wyżej, wchodząc to pomiędzy świerki, to na miejsca otwarte.

Następnie weszła w bór większy. Lecz bór ten nie był tak łatwym do przebycia. Raz po raz *plaj* był tu zawalony wielkimi załomy, burzą i wichrami poobalane świerki zagradzały jej drogę... I były chwile, w których już żalowała, że się wybrała w taką drogę. Lęk ją objął, chciałaby się nawet wrócić.



Miejscami znów coś śmignęło, ptak to jaki, czy zwierz drapieżny? W jednym miejscu zdawało się jej widzieć nawet ślepie rysicy, lecz bestya czempędzej dalej się po gałęziach wydrapała, jak gdyby zająć jej chciała z tyłu drogę. Musiała zatem kobieta iść naprzód, czempędzej drapiąc się na górę, po głazach wielkich, omszonych, między którymi długie sterczały korzenie świerków, coraz już rzadszych i coraz niższych, a im wyżej w górę, tem bardziej karłowatych.

Wiedziała, że wkrótce wyjdzie z tego boru, że jest już bliżej otwartego grzbietu. Ostatnie znikaly teraz świerki... coraz ostrzejsze zaczęło wiać powietrze... i po złomach głazów, dziko napiętrzonych, kalecząc stopy, drapać się musiała do góry na sam grzbiet: — innej drogi nie było.

W tej chwili nagle lęk ją objął. W pośrodku bowiem złomów kamieni, omszonych żółtym porostem, siedział dziad biały z białą do pasa brodą.

Chciała się cofnąć, lecz on zagadnął:

— Ta, czego się boisz, *mołodyco*?... Ja-ci przecie takoz *chrystijańskij czołowik*.

Nie wiedziała, co odrzec.

Zaledwie zdobyła się na pozdrowienie:

— *Sława Isusu Chrystu!*

— *Sława na wiki*... Ale gdzie to ty dążysz tak sama jedna?... Ta ja widzę, ty się boisz dziada, co go z Żabiego tędy wiedzie droga do Berezowa.

— Wy z Berezowa?

— A jak bo inaczej? Ta z *niżnoho*. A ty skąd, kobieto?

— Ja... z Kosmacza... idę do Żabiego.

— Tędy?

— Tędy. Bo na Ilcie.

— Na Ilcię? Ho! ho! nie dobra-ci tutaj droga na nogi kobiece. Dość się już człowiek w życiu nachodził! Ale się dobrze nasapał, zanim tu wylazł; ano jeszcze dobry kawał czeka mnie dziś drogi! I twoje nogi widzę niezłe, skoro ty bo pewnie dzisiaj z waszego wyszła Kosmacza?...

Irena poznała, że może się starego o dalszą wypytać drogę. Chciałaby zaś wiedzieć, gdzie się teraz znajduje.

— Wy mnie powiecie, *djetku* — odezwała się czempredzej — jakie to miejsce, gdzie teraz jesteśmy?

— *Ta, jak bo?*... To przecie Grehit! Ot ten garb, to-ci już wierzch jego.

— Oj, oj, a czy tu bezpiecznie? *Boże borony*... zły wicher jaki?

— Jakby tu był teraz zły wicher, jaby-ci nie siedział. Ale ninie spokojna *hodyna*. Złe nie nadciąga. Człowiek może chwilę spocząć... Ale ty tu nigdy, jak widzę, nie bywała? Ta bo się do koła rozglądasz? Ja-ci bywał po świecie, oj, bywał! Służyło się za młodu i we dworze. Zawiedli-ci mnie do dworu dzieckiem pańskie hajduki. Bywało się i pod *znakami*, w chorągwi kosańskiej, w *barwie* Potockiego. Oj, dużo tam było-ci służby. Były tam i hajduki i pajuki... ano t a t a r y, co niemiara tego! Uganiało się za nimi<sup>1)</sup> — tu zrobił minę tajemniczą — w górach tam za Nadworną... za Sołotwiną. Gdzie bo człowiek nie był, po jakich ono jarach, wertepach! Gonił-ci, gonił, zanim nie zeszedł na dziada!...

Zatrzymał się chwilę, odsapnąwszy, potem znów zagadnął:

---

<sup>1)</sup> Lud nie lubi wyraźnie domawiać wszystkiego, zwłaszcza gdy mówi o tem, czego radby uniknął, jak np. tutaj, gdy pod „nimi“ rozumie opryszków.

— Ty się patrzysz, co to za góry tam na zachodzie? To Gorgany, te szczybate, a ten garb to Syniek, a tamten jakoby *stiżok* to Chomiakiw. Nie takie one bliskie, jak ci się wydają.

— Aj, co tu gór a kopców! Zali tam dalej także takie są góry?... A te ledwo sine, nito chmurki, co takie wam nikłe?

— Ho! ho! nie takie one nikłe, tylko że dalekie, dużo dalekie! Ta daleka taka mroczna, to Blyznyci Sywula, hej dalej... hej dalej!.. Rih z Wysokoju. Tam-ci nikt nie zajdzie! Tam są same skały, taj skały, a taki wichur, że trzechby się nie utrzymało...

— Wy tam byli?

— A poco jaby tam chodził?... Ate byli, co i tam musieli ich szukać.

— Kogo, *djetku*?

Ta kogo? Pewnie, że nie sprawiedliwych ludzi!

— *Maty świataja!* Jakieć to bo wysokie!

— Te, na południe? To-ci Czornohora.

— Czornohora?...

— A tak! A koło niej z prawej strony ten garbaty, to węgierski Pietrosul.

— To Czornohora, *djetku*, tak już blisko? — rzekła wpatrzywszy się uważniej w dziada.

— Ta gdzie-bo blisko! To jeno tak wydaje. Tu przedtem jeszcze... taj przedtem, ano z wór Ilci, taj Żabie, i *Hospod Boh znaje*, jakie tam jary, wertepy, a jakie-ci puszcze!

— Wyście nie byli na Czornohori?

— A jaby tam poco ciągnął? Ta kto-ci tam chodzi! Chyba Dowboszczuk ze swoimi.

Na to imię zadrgało jej w piersiach.

— Ale ty się przestraszyła na samo o nim wspomnienie... Nie bój się! Ty tu jego nie zobaczysz. On bo gdzieś teraz w innych stronach.

— W innych, *djetku*?

— A pewnie! Ta gdzieżby ja szedł tędy, gdyby on tu był dzisiaj?... Chociaż ja się nie mam bać czego, — bo co on ze mnie ściągnie?... Ty, co innego! Może masz jakie korale? Ale gdybyś i nic nie miała, na krasawice, mówią, *duże on zachłannyj*.

— Na kobiety, mówicie?

Tu ją oblał gniewu rumieniec i zdjęła zazdrość. Ale stary wziął to inaczej i dodał zaraz:

— Ty się o to nie bój! Jego teraz tutaj niema... Możesz iść bezpiecznie. Ba, gdyby cię zobaczył, co nie daj Boże!... lepiejby ci było, żebyś sobie kamień do szyi uwiązała, taj gdzie najgłębsza wyrwa — —

Ona się wstrzęsła, jak gdyby to wyrzekł w złej godzinie. Niechętna była zresztą w tej chwili dla starego, że tak się o jej watażce odzywa.

— On *duże* jest silny — prawil — ale ma i łaskę u *Hospoda Boha*...

— Ma łaskę u *Hospoda Boha*? — zapytała, bardziej rada temu.

— A tak! Ten Dowboszczuk, powiadają, gdy-ci jeszcze był chłopakiem, taj niewielkim, a stanął raz ze swoją *puszką* pod skałą, nadciągnęła *hodyna* straszna z gromami, a były pioruny po piorunach: wtedy, Boże uchowaj nas! *dit'ko* uciekał, taj przeskakiwał z drzewa na drzewo, i *Hospodu Bohu* — *wybaczyj Hospode!* — *jazyk pokazuwaw...*

— Ta jakby on śmiał... *Hospodu Bohu?*

— Ta jak? Jako *dit'ko!*

— A co ten Dowbosz, jakeście *skazali?*

Tu natężyła słuch, by się o nim czego więcej dowiedzieć.

— On jako chłopak jary strzelił do *dit'ka* z *puszki* swojej, a ten upadł z *derewiny*. aż się krew połała. Tu się zjawił *anhel*, taj zapytał Dowboszczuka, coby on zechciał teraz?... „Chcę siły!“ wyrzekł.

Kobieta nań spojrziała, a stary dalej prawił:

— *Anhel* kazał mu podać rękę, i naplwał, taj kazał mu smereczynę, ot tak... niewielką, wyciągnąć, — a chłopak wyciągnął z korzeniem. Toś już rad ninie? — zapytał. — Nie! — odrzekł chłopak. Wtedy naplwał mu drugi raz na rękę. A zaraz potem Dowboszczuk wyciągnął już grubszy smerek. — A no teraz? — Nie jeszcze.

Irenie zaś oczy zaświeciły. Stary dalej ciągnął:

— Dawaj jeszcze rękę! — Za trzecim razem Dowboszczuk zaraz-ci wyciągnął smerek, jakiegoby trzech chłopów nie zrąbało. — Zatem już dosyć!

Stary opowiadał, a Irena polykała opowieść, rada w duchu słyszeć, że jej watażka taki mir ma u Boga i ludzi. Uczuła teraz, o ile on jej w tej chwili droższym stał się. Gdyby go dziś utraciła, żyćby nie chciała! Każdą zaś inną kobietę, dla którejby ją porzucił, wpierwby zabiła!

Prędko zapytała o dalszą drogę starego.

— Ta, uważać-ci, byś jeno tam w las w dół schodziła, a trafisz, jak ci opowiem, czego się masz trzymać. Jednakowoż tu nie trafisz sama przez ten groń<sup>1)</sup>.

<sup>1)</sup> Gron — grzbiet góry.

Poczekaj! ja cię *kawałek* powiodę przez *groń* i *połoninę*, abyś drogi nie zmyliła, a potem już pójdiesz sama.

— A, dobry *djetku!* *Hospod' Boh* wam zapłaci!

Zabrał się teraz stary z Ireną i szli po głazach ostrych, omszonych, raz w górę nieco, to znowu w dół. Smereczyna tutaj skarłowaciała, krzakami jeno pelzając po ziemi.

I wkrótce byli już na świeżej, zielonej połoninie. Dokoła świat teraz jakby wypiękniał. Przed nimi rysowało się wyraźnie dalekie pasmo Czarnohory. Oni szli dalej — a stary gwarzył:

— Ty idziesz na Ilcię. Pamiętam ja-ci, kiedy byłem małym chłopakiem, nie było tam chat jeszcze w tej dziczy; później, od Żabiego kilku tamtejszych gazdów zaczęło się budować w tym jarze zapadłym nad potokiem. Było wszystkiego trzy czy cztery chaty, zdala od siola odbiegłe. A teraz tam wzdłuż potoku coraz dalej, tyle powstało tuż bo chat! Gdzieby się który był wtedy odważył w taką pustynię!... Bo to strasznie dzikie, ta Ilcia! Same oto wertepy a wertepy! Szukaj chaty a nie znajdziesz... ona zaś tuż w zaroślach. Ale bo tam-ci nieraz taki człowiek mieszka, co się niczego nie boi. Niechaj przyjdzie choćby i sam Dowboszczuk, to i co mu weźmie?... Chyba *ditynu?*... A jeśli jaki urodzi się tam komu chłopak *duższyj* a *cikawszyj*, zaraz przystanie do opryszków, bo i co on w tej Ilci będzie innego robił! Tam i *plaju* nigdzie nie znajdziesz, a od chaty do chaty, to dużo chodu. Pięć pacierzy zmówisz, trzy razy upadniesz, zanim zoczysz jakie mieszkanie ludzkie... pójdiesz przez potok, nie-potok, wyzierają ludzie, nie-ludzie! A *dytia*, to jakby nieludzkie.

— Aj, *djetku*. Ja tam właśnie... ta do starej...  
Hawryszczychy...

— Ty bo do niej?... Wiem i o niej.

— Ona, mówią, ma już swoje na wszystko sposoby, a mnie trapi... od dawna gościec.

— Ta, tak? No, ona mówią zna-ci niejedno. Stara tam niedaleko za Kizią, gdzie już nikt-nie siedzi, ale stara, to i ona ma bo na wszystko sposoby.

— I od was chodzą do niej ludzie?...

— Mają chodzić i zdaleka. Mówią, że kiedy złośna, toć nic nie powie... Ma już swoją godzinę. Tylko jej nie przeszkadzać, kiedy ziele swoje warzy, bo gotowa w złości takie wypowiedzieć słowo, że człowiek ani trafi do domu.

— *Maty boża!* A cóż mu się stanie?

— Ta co? Chłop bo jeden — cichszym dodał głosem, tajemniczo — gadają, gdy się z nią chciał swarzyć, ona takim popatrzyła nań okiem, że chłopisko w jednej chwili okulał, ano tak, że i żadna potem najlepsza lekarka rady już nie dała. Tak! tak! A na kumę swoją z Krasnoho Łuha, gdy-ci złośna raz tchnęła, to się ta z miejsca ruszyć nie mogła, stanęła jak figura przy drodze, aż dopiero ruszyła się, gdy jej odejść zezwoliła. Tak gadali. Aleć znowu, skoro zechce, to wam chorobę, by najcięższą, wygoni. het! na góry, na lasy! Czy to cię *ciotucha*<sup>1)</sup> napadnie, ta gościec, czyli też w *hrudiach*<sup>2)</sup> załoli, ona wszystkiemu da radę.

1) *Ciotucha* — zimna febra.

2) *W hrudiach* — w piersi.

— A czy odgadnie ona to, co jest... daleko?

— Jak w jakiej godzinie, toć i odgadnie. A po ziola, to chodzi-ci aż na Czornohorę. Tam bo mają być jakieś, powiadają, Rebra. Ale ja tam już tego nie wiem!

Tak gwarząc, doszli do boru ciemnego na stromem zboczcu. Tu jej stary kazał bez obawy wejść w bór i trzymać się ciągle potoku w dół płynącego, a nie odstępować jego, choćby nie wiadomo, jakie tam były zawały. Tak dojdzie na dół do Kizi, potem zaś wzdłuż Kizi postępując, dopadnie szerszego *zvoru* samej już Ilci. Po nad tą ostatnią niechaj ciągle idzie z biegiem rzeki, aż dojdzie do pierwszej w zaroślach chaty po lewej stronie: tam-ci to będzie siedziała stara.

Tu ją pożegnał, dodawszy tylko: — *Pomahaj Bih* w twoich zamysłach!...

— I wam w waszych, za wasze dobre słowo! Niech *Hospod' Boh* was chroni, byście dziś jeszcze zaszli do Kosmacza. Tam przenocujecie.

— A jeśli nie, to człowiek i w lesie przespi się. Ot, rozłoży gdzie *watę*<sup>1)</sup>. by się zagrzał, i ażeby *toj staryj*<sup>2)</sup> go nie ujrzał.

Irena musiała się teraz sama dalej zapuszczać w nieznaną głąb lasową...

Zrazu borem szła nieco rzadszym, i przezierało tam jeszcze w dół, a nie tak jeszcze było tu spadzisto. Potok huczał na lewo. Irena w dół schodziła. Las stawał się gęstszym, świerki były coraz wyższe i większy gąszcz nastawał. Kobieta trzymała się ciągle potoku, jak stary kazał, choć *plaju* nie było żadnego. Wkrótce zaszła w taką

<sup>1)</sup> *Watra* — ogień rozpalony na ognisko.

<sup>2)</sup> *Toj staryj* — tak zwą tu czasami niedźwiedzia.



dzicz, że nie wiedziała, którędy iść tutaj. Załomy okropne burzą powalone, świerki sterczały na świerkach, grube, omszone, zarosłe wyżej pasa różnorakiem zielskiem. Spód był także nader nierównym: składał się bowiem z dogniwających kłód, powalonych na innych kłodach, co się już w ziemię rozsypywały. Potoku nie było widać, tylko gdzieś zdala huk jego głuchy było słycać.

Irena przeleżała się, upadając pokaleczona straciła prawie nadzieję, czy dziś dobędzie się z tej matni. Ale przecież mieli chodzić tędy ludzie?...

Wtem głośniejszy usłyszała huk potoku, który miejscami błyszczał już między gęstwina. Gąszcz nieco zrzednął, ale natomiast ujrzała się na bardzo stromem, złomami głazów i dzikiem usypiskiem najeżonem zboczem, lasem zarosłem. Zaczęła tu się zsuwać, prawie wraz z usypiskiem. Tu i ówdzie chwytala się pniaków, to gałęzi, by się w dół nie stoczyć. Musiała schodzić raz po raz wężykiem... Kamienie za nią się zsuwały... Chwilami przysiadala... Głusza zaś była taka w tym borze, żeś ani ptaka nie słyszał, ani nawet mucha nie zabręczała. Głusza ta przeraziła kobietę. — Tu tylko — pomyślała — przebywać muszą leśne upiory. I wraz się przeżegnała. Bała się, by ją mrok nie napadł, gdyż wtedy o takiej porze każde złe ma swoje prawo.

Od chwili już słyszała dochodzący huk większego potoku, szła zatem coraz prędzej, zziajana, pokaleczona, z okiem wystraszonem. Nareszcie dostrzegła, że potok, obok którego w dół schodziła, łączył się poniżej z większym. Tu był też rozwór nieco szerszy. Musiała to być już podług słów starego owa Kizia, gdyż weszła teraz jakby w wąską dolinę, gdzie z obu stron piętrzyły się

w górę zbocza, dzikie, porozrywane, straszliwie zarosłe. Dzicz okropna! Nigdzie żywej duszy! *Plaju* i tutaj żadnego. Irena szła brzegiem potoku, raz po raz przechodząc to na tę, to na tamtą stronę, po ślizkich głazach drapiąc się na kamieniste, miejscami zarosłe brzegi.

Ziębnięta, przemokła po pas prawie, pokaleczona, patrzała się w górę, czy to pasmo wysokie po prawej ręce nie rozdziela się i nie pokaże jej szerszej doliny samej już Ilci. Ona nigdy nie myślała, iżby droga mogła być w te strony taką straszną.

Nareszcie rozwór ten złączył się z drugim, szerszym. Domyśliła się, że jego środkiem płynąć musi już Ilcia: bo potok pokazał się wnet znacznie szerszy i wyższe piętrzyły się nad nim zbocza. Ale i tu nigdzie jeszcze nie widać człowieka. Mimo to okolica jakaś już niby pewniejsza. Stary powiedział, aby szła tylko brzegiem rzeki, a wkrótce pokażą się ukryte w zaroślach chaty. Lecz to nie tak prędko jeszcze nastąpiło.

Dolina Ilci nie była właściwą doliną, jeno rozwozem szerszym, poszarpanym bocznymi wodami, o zboczach stromych, wysokich, tak, że Irena musiała w dół schodzić w mokrzyny zarosłe, albo kroczyć kamieńcem łożyska. Ilcia pędziła z rozgłośnym szumem, rozbijając się po kamieniach, spadając tu i ówdzie po złomach skalistych, napęlniając szumem i hukiem całą dolinę — sama jedna — nito wielowładna. Ale chaty jeszcze nie widać tu żadnej. Irena wyteżyła wzrok na lewo, to na prawo, czy gdzie przecież z jakiej zarośli nie wyjrzy gdzie dranicowe poddasze.

Słońce zapadło już dawno za góry, ale jeszcze było ono na świecie, bo szczyty i grzbiety gór świeciły tuż w pozłocie. Poniżej zaś zalegały już ciemnie.

Trwoga Irenę opanowała, czy zajdzie dziś na czas do chaty ludzkiej, a może i nie-ludzkiej? bo ta stara, kto wie, jak ona ją przyjmie. Drapała się dalej zalękniona prawie z pośpiechem.

Wtem zdawało się jej, że tuż za tą gęstwiną na lewo, na wysokim zboczu, coś tam majaczy... niby chata, czarna, pochylona. A może to tylko szatra jaka lub *koliba*, gdzie nocują pastuchy? Ale tu niema przecież połonin?

Przechodzi z obawą potok, po kolana brodząc w wodzie, zimno z dołu do góry przejmuje ją dreszczem... Wdrapuje się teraz na brzeg i zapuszcza się w gąszcz, zakryta, że światła nie widzi. Wtem wpadła w jakiś jar, a wygramoliwszy się po szarem usypisku do góry, stanęła na krawędzi — i tak rozpoznała już chatę, strasznie pochyloną, ze strzechą zapadłą, gdzie sterczały spadające dranice, łatane gałęziem. Ale żywej tu duszy nie spostrzedz dokoła, ani też nie widać żadnego gospodarstwa! Ni brogu na siano, ni jakiej stajenki! Z czegoż to w takim miejscu ludzie żyją? Pustka, jakby dla upiórów i upierzyc!

Wtem ze szczeliny ścian rozpadniętych coś jakby ogień zabłysnął: Irena poznała, że tam przecież ktoś przebywać musi... Oddech też wstrzymuje, nasłuchując a bojąc się wejść... W piersi jej waliło coraz głośniejsze, bo może tam, myślała, w tej chacie złe jakie siedzi?

Wyczekała chwilę, — przyszła nareszcie do przekonania, że to jednak być musi ta chata, o której jej mówiono.

Ha! niechaj się co chce stanie! Ona tam wejdzie. Postępuje teraz drżąca i szuka drzwi, nie-drzwi.

— To ty, Seniu? Jużście wrócili?

— *Sława Isusu Chry...*

I tu urwała, przestraszywszy się, gdyż spostrzegła niejedno, co ją zdziwiło.

A stara, mocno zgrzybiała kobieta, wlepiała w nią oczy, czempędzej zdając się coś ukrywać...

— A ty skądęś się tu wzięła? Co ty tu szukasz, kobieto?

— Potem dodała: — No, no, nie bój się! Ty pewnie ze siola... zaszła do starej... po jaką poradę? Ta siadaj i wysapaj się, bo tu do mnie droga nie taka, jak tam do was. Ale ty nie słyszała, jak ja ciebie zagadnęła? Co, dziecko?

I tu widać było niejaką obawę na pomarszczonem licu u starej.

— Bo widzisz, ja myślała, że to chłopiec mój wrócił. On chodzi za zwierzyną...

Gdy to mówiła, oczy jej bure zezem patrzyły. Ale kto wie, za jaką to chłopiec jej chodzi zwierzyną? Widać bowiem było w tej pustej chacie jakieś lachmany, niechłopskie, bo niby to kurtki ze sznurkami, kawały żupanów i jakieś bronie, jakich chłop nie używa. Stara już tego część większą co rychlej zakryła, — lecz Irena niejedno jeszcze dostrzegła, co ją w oczy ukłuło.

— Wasz... chłopiec, matko, dzisiaj... może tu jeszcze przyjdzie?...

— Ta, gdzie tam! jego i dwa dni czasem niema, a bywało i od jednej do drugiej niedzieli. Zwyczajnie chodzi za zwierzyną, a czasem idzie na jaką robotę do siola, lub gdzie dalej *na dołynu*: bo z tego żyjemy,

dziecko. U nas nie rodzi się owies ani *ripa*<sup>1)</sup>. Widzisz przecie, że tu niema koło mojej chaty ni szopy, ni brogu.

— Potem jeszcze dodała: — Ano! ty skąd jesteś, dziecko?

— Ja wam z Kosmacza.

— Z Kosmacza? Ja myślała, że ty z Żabiego? Bo choć ja tam-ci znam ludzi, ale nie wszystkich. Tam dużo gazdów po odbiegłych wertepach. No, z Kosmacza?

— Z Kosmacza? — dalej mruzczała stara — Do mnie i z dalszych siół nachodzą ludziska... Ty z Kosmacza?

Tu kiwała nieznacznie głową; badając zaś Irenę dodała:

— A wiedzieli tam, że ty się tu wybryła?

I wpatrzyła się w nią świdrująco, oczy jej świeciły jak u wilka.

— Ta, wiedzieli wszyscy.

— A masz ty co ze sobą?

Wzrok u starej zabłyszczał straszną jakąś chciwością.

— Ta mam dla was. — I wyjęła z chuściny dwa srebrne grosze, dodając: — To wzięłam dla was. Wy dacie mi jaką poradę, na moje utrapienie...

— A! dobrze, dawaj! Mam-ci ja różne leki, ta i różne sposoby. Ty pewnie *sumujesz* za chłopem swoim? bo widzę, że ty nie chora.

Tu krew oblała twarz Ireny.

— A jakby mnie nie wiedzieć? Ja-ci zaraz poznam. Zali nie tak?

— Oj! powiedzcie mi, matko, gdzie o n?... w której się dziś znajduje stronie?

---

<sup>1)</sup> *Ripa* — ziemniaki u huculów.

Stara się wypatrzyła :

— To on nie z twojego siola?... a może go zabrano do dworu w Łuczy<sup>1)</sup>, do waszego pana? po woli czy nie po woli?

Irena nic nie odpowiedziała.

— To go wzięto w kozaki dworskie?

— On nie jest w dworskiej służbie.

Stara bystro w nią wpatrzyła się, a Irena dodała nieśmiałym głosem :

— On obcy.

— Obcy? Przywędrował-ci na służbę za *najmyta* do którego z gazdów, a teraz odszedł i ciebie opuścił?

— On nie żaden *najmyt* i mnie nie opuścił — rzekła kobieta prawie obrażona.

— Ta skąd się wziął?

— Ja tego nie wiem. Widziałam go kilka razy, jak szedł przez nasze siolo. On sam mnie szukał, potem ja jego zapomnieć nie mogła. I teraz — —

Nie wiedziała, jak się wykręcić, aby przed starą nie zdradzić imienia. Ta zaś kiwała głową :

— To może jaki z *drużyuy*, jeśli ty nie wiesz?

— Eh! nie, matko — rzekła przestraszona Irena.

— A jakoż bo wiesz, gdy nie znasz, skąd-ci on jest?

— Ale ja, matko, przysła tu do was, bo wy macie *wasze sposoby*. Wy poznacie, czy on jeszcze pozostaje takim, jakim był dla mnie... bo mnie... ot... różne myśli nachodzą, taj spokoju nie dają...

— Poczekaj, dziecko : zobaczymy!

Stara odwróciła się i zaczęła coś przebierać między ziołami. Wziąwszy jedno i drugie zapaliła. Zaczęło się

<sup>1)</sup> Łucza — siedziba potężnego domu Jabłonowskich.

kurzyć i dymek pociągnął do góry. Stara wpatrzywszy się weń, zaczęła coś przemawiać, potem spojrziała na Irenę, której cała dusza była w oku. Znachorka wymówiwszy jakieś słowa, zaczęła potem ziewać konwulsyjnie, mrużąc tylko.

— Daleko... nie daleko... Za siódmą górą, za dziewiątą rzeką, między obcymi, i różni są z nimi, sam nie sam. Czy jest sam?... Kobieta?...

I coraz mocniej ziewała. Irena wstrzymała oddech. Stara, kiwając głową, mruknęła:

— Idzie do góry... to... tamtego goni. Niedobrze coś mówi. Ale ty mi wszystkiego nie powiedziała, dziecko, bo zaklęcia nie wszystkie idą...

— Ale wyście matko mówili, że tam jest kobieta?

— Ja nie mówiła, to ono tak wskazywało, ano się potem rozeszło. Tu trzeba jego imienia do takiego zaklęcia!

— Bez tego ziola nie wywróżą?

— A jakbyś chciała?

— Ta, on się zowie... matko moja... on się zowie... I tu dodała słabszym głosem: — Oleksa...

— Oleksa?... To-bo jeszcze nie wiele! Niejeden jest Oleksa. Oleksa zowie się i ten, co go się wszyscy więcej bać muszą, niżeli króla tam na złotym jego tronie...

Irena popatrzyła na starą, a ta dodała:

— Ty nie wiesz może, iż sam Dowboszczuk zowie się Oleksa?... A przecież jego-ci tu nie będę mieszała do twojej sprawy?

Twarcz Ireny stanęła w płomieniach.

— A widzisz, żeś się przestraszyła! Nie powiedziawszy mi, kto twój Oleksa, wywołałabyś może,

czegobyśmy obie nie chciały. Bo gdyby tu, moimi czary przywołany, pojawił się teraz sam Ołeksa Dowboszczuk, tyby padła, jak gromem rażona!

— To ten Do... Dowboszczuk... taki straszny?...

— Azali ty o nim nigdy nie słyszała?... To dziękuj *Hospodu Bohu!*... Zejść się z nim niebezpieczno... Wasz Kosmacz... toby cały tak ręką jeno zgarnął, a po gazdach waszych nie zostałoby ani znaku!... On, gdy szedł na Kałusz, to usypał jeno prochu na rękę, taj zapalił... a potem jak-ci rzucił na miasto, miasto całe stanęło w płomieniach!... Tak, tak, nieboże. Sam król w swojej białej stolicy boi się jego, bo mu i królewskie wojska rady nie dały... Tak! tak!

Irena nie wiedziała, co tu począć... lecz stara zdawała się w tej chwili słuchać, jak gdyby czyjego chodu... Irena zadrżała.

— Nie bój się dziecko!... To chłopiec mój podobno wraca...

— Ach! ja zaraz stąd idę — i chwyciła się instynktownie ramienia starej.

— Ta się nie bój!... To nie *żwir* przecież... Czego się *strachasz, zazulu?*... On *łegin!*

I czempredzej stanęła we drzwiach — wchodzącemu dając znaki, że w chacie jest obca dusza.

Pokazała się teraz naprzód głowa smagława, w *kre-sani* z piórem głuszca. Musiał to być chłop rosły... Obejrzał się na obie strony, a zobaczywszy obcą kobietę, zrobił ruch, jakby ukrył coś pod *bajbarakiem*, — i tak wszedł do środka — pochylony; postać jego nie mogła się zmieścić pod niską strzechę — a włos długi, czarny, zwisał mu prawie do pasa...



Ciekawie popatrzył na obcą, wymówiwszy przez zęby: — *Pomahaj Bih!*...

— *Pomah*... — I jakby nie mogła wyjąkać słowa Irena... wpatrzyła się w obcego, który wcale nie wyglądał na *łeginia* gazdowskiego.

— No, nie bój się... Ty jeszcze dziewczka... czy może *mołodyca*?... Ale to wszystko jedno... Nie bój się!... ja nie zły *czołowik*!

Irena w tej chwili chciałaby być daleko.

— Ta, co się zbliżasz do niej?... — rzekła stara — Widzisz, że się stracha...

I wyschniętą dłonią po łbie go uderzyła. Ale był to żart jeno.

— Ta nie bijcie, *maty*... Czy ja jej co robię?... *Pro mene!*... A mnie co do niej! Dajcie mi co żreć, bom głodny, jak wilk na *Strytenie*...<sup>1)</sup>

— A co ci dam, *pohanyj*?... *Huślenki* niema. Patrzaj-no! Ty masz tu flaszkę... Dawaj *matery*! Czy ona-ci będzie zdychała, gdy ją mdli?...

I wyciągnąwszy mu z zanadru flaszkę, łyknęła z niej czempredzej.

— Ja będę na was robił, stara?... Ja się tam napracowałem... I inni pracowali... Ot, widzicie... tu popalone... tu znowu podarte...

Oglądnąwszy się jednak poznał, iż za wiele powiedział, — lecz i Irena coś poznała, bo spostrzegła broń pod *bajbarakiem*, jakiej nie noszą gazdowie... Do tego i krople krwi zaschłej dojrzała na koszuli tego *łeginia*. Ale

---

<sup>1)</sup> *Strytenie* — święto Matki Boskiej w lutym.

zamiast się przestraszyć, nabrawszy ducha wprost zapytała:

— Wy, *leginie*... niejedno wiedzieć będziecie na świecie... To mi powiecie...

— Ja?... A to czemu?... A co ja mam robić po świecie?... Ta chodzę... po lasach naszych... toż prawda! — I wpatrzył się w nią uważnie... Oczy okazały niejaką obawę a niechęć... lecz zważywszy, że ich tutaj dwoje, a obca zaś jedna... nie bał się żadnej zdrady.

— I wy mnie za kogo macie... obca dziewczko, czy tam *mołodyco*?

— Nie macie mnie się czego obawiać... bo ja zaraz poznała. Wy z o n y c h...

— Ano z jakich? — rzekł niechętnie *legiń*.

Ta, z m o ł o d c ó w.

Stara wpatrzyła się świdrująco w Irenę, a syn jej zrobił wielkie oczy:

— A gdyby wam i z m o ł o d c ó w?... To co z tego? — rzekł. — Gdyby tak było, wy byście tego nie powiedzieli!

— Ano czemu? — zapytała Irena.

— Czemu? ta czemu? — dodał *legiń* — Boby was strach napadł.

Irena poznała, że wpadłszy w wilczą jamę musi się trzymać silnie... a wtedy więcej może stąd wyniesie, niżeli się spodziewała. Więc rzekła:

— A gdyby i ja się z nimi znała?...

— Wy, krasawico?...

Stara, przebierając w głowie swojej, dodała, zgadując czempredzej:

— Ty masz kochanka w drużynie, dziewczko?...

— A gdyby i tak było?...

— No, to nas nie wydasz — odezwał się *Legiń* — i my ciebie nie zdradzimy... A gdyby cię ochota zebrała, nie wyszłabyś stąd cała...

Po Irenie mróz przeszedł... Poznała, że teraz musi krok taki uczynić, ażeby ich oboje ubezwładnić.

— Ty będziesz... — mruknęła — z drużyny Dowboszowej?... A jeśli nie z jego młodców... toć przecież wszystko tu podpada jemu!...

— To poznasz, że my się was nie boimy... Za zdradę, wiesz dobrze, co nasz watażka czyni!... Kosmacz wasz zostałby, jak gdyby go i nie było... Prawda, żeby my wtedy i swoją chatę rzucili. Ale co tu u nas zwalić taką szatrę, a postawić gdzieindziej drugą!... Ołeksą Dowboszczuk nie żartuje!

— Ty go znasz dobrze... to poznasz, że ja się niczego nie boję: skoro mam za sobą waszego watażkę!...

Tamci oboje się wypatrzyli. I nastąpiła chwila milczenia.

*Legiń* spojrział uważniej na Irenę, a stara nagle zawołała:

— Twój Ołeksą... to... sam Dowboszczuk?

— Nie chciałam wam mówić... lecz skoroście odgadli — —

Tu z pewną czcią a podziwem spoglądali oboje na Irenę. Ona w tej chwili panią była położenia.

— A ja głupi nie domyślił się patrząc na jej urodę!... Ale to już nam nie do niej!... To-ci własność naszego watażki! Ona pewnie ta z Kosmacza?...

— A z Kosmacza, chłopie — rzekła matka — i przysła aż do starej pytać się o niego, w której dziś stronie.

— Ano, to ja jej lepiej powiem, niż wasze ziola, bo ja przecież od niego wracam...

Irenie goręcej się w wnętrzu zrobiło.

— No, przed wami można mówić, krasawico, bo wy swojego nie zdradzicie watażki i nas wszystkich; wy tak, jakby nasza. Byliśmy wam w Bolechowie mieście... het! tam daleko... Wy znać nie będziecie... Zapaliliśmy miasto... Niejeden-ci się tam upiekł z mieszczuchów... Stamtąd wynieśliśmy to i owo...

— Ja zgadła — przerwała stara — że ty niesiesz ze sobą *tii bili*... a może i sznury koralu?... Tamtejsze mołodyce pewnie je mają...

— Ta poczekaście!... Ja przecie sam nie zjem tego...

Oczy u starej zaiskrzyły się, niby u kota w nocy.

— Toć i Dowbosz tu blisko? — rzekła Irena, oddech wstrzymując.

— Ta, gdzie tam blisko!... On jeszcze daleko... On-ci za Łomnicą w tamtejszych borach... a komu jeno z drużyny było pilno, tego puścił... Niejeden miał gazdowstwo swoje, musiał też wracać... Ano inny, jak ja, ma tu starą, coby skapała z głodu, gdyby jej nie naniósł... bo co tu jest koło nas?...

— Dobry syn!... Ja to zawsze mówiła. — I zrobiła przymilające oczy, że aż Irenie zrobiło się jakoś nieswojsko. — Ja go przecież wychowała, z maleńkości karmiła...

— A bodaj to wasze karmienie!... *Chłopczyszcze* nieraz zdychało z głodu... a *maty* biła, gdy jeść wołało,

głodne, by szczenię jakie... Suka-ci tak szczenięcia swego nie kasa...

— A to ja ciebie kasała, *pesij narode!* *Maty* ze siebie darła soroczkę, a jego okrywała...

— Bodaj tak wyście byli zdrowi, jakeście mnie okrywali!... Seń wyrósł już w chłopaka... a *maty* kazała mu biegać nago, jakby *dityni*... a potem szmacisko stare zarzuciła! Ano *chody wraże*, zimno nie zimno!...

— Za toś ninie zdrów i jary, bo cię zimno wysmażyło, wiatr ostry wychuchał...

Irena pragnęła niecierpliwie usłyszeć co więcej o Dowboszu... a tu musiała być świadkiem tej sceny serdecznej między synem a matką.

— I wy, Seni, wrócili? — rzekła Irena. — Ano Dowbosz długo tam jeszcze zostanie?

— Ta, kto wie!... Jemu nie tajno, iż po spaleniu Bolechowa będą nań się teraz wyprawiać dworskie wojska... Ta może i królewskie. Jemu to nie pierwszyna!

— Oj, oj! — załamała ręce Irena — Królewskie?...

— Ta, czemu nie? — rzekł Seń.

— To król — zapytała Irena — tam na stolicy?... A król Sobek, wielki to *mocar!*... mówią, że ma wojska skrzydlate, ano całe w żelazie?

— Ta, czemu bo król Sobek?...

— No, bo-ci król Sobek — odrzekła Irena — to on Turka pobił, że teraz już się nas boi... Oni dali pokój *chrystijańskiej ziemi!*... W naszej Polsce już ich nie widać...

— A to wy myślicie, że król Sobek tam dziś na stolicy?...

— Abo jak?... — odezwała się Irena.

— On-ci, kobieto, dawno już w ziemi.

— To on już nie żyje?...

— Ano od kiedy!...

— A któż-ci teraz królem? — spytała Irena.

— Ta kto? Sas jakiś.

— Sas?... A co za Sas?

— No, Sas, to niby Niemiec.

— Ta jak?... To Niemiec nam królem?

— I pono już drugi Sas, pierwszego syn... Pano-  
wie go sobie *spodobali*, taj zrobili swoim królem...

— Oj, to na Dowbosza i niemieckie nadciągną  
wojaki?... a to może jeszcze gorsze?

— Ej, co to wojaki!... W górach nie takie to  
straszne!... Co tam wojaki z *dołyny* zrobią w naszych  
górach!... Dowbosz sam tu królem. Bolechów przed  
nami drżał... Kałusz drżał... Ej, co my tam zrobili!...  
Cha, cha! Mołodcy nasi hulali sobie w lesie potem...  
i w a t a ż k a był wesół, bo sobie także przywiózł krasa-  
wicę... Oj to-ci krasawica, jakby jodła!

Irenie w tej chwili zaczęło robić się zimno.

— Co ty mówisz?... Jaką... krasawicę?...

— Ta jaką?... Ano Bolechowską. *Sumowała* bo  
*sumowała*... Chybaby już była durna!... Ta gdzie bo taki  
chłop, jak w a t a ż k a!...

Irena czuła, jak mróz ją coraz bardziej obejmuje...  
Starala się jednak nie dać tego poznać po sobie.

— Za w a t a ż k ą wszystkie muszą być dziewczki...  
taj wszystkie *mołodyce*!... Bo czy to jemu nie do  
nich?... A którą w a t a ż k a dla siebie weźmie, każdemu  
już wara od niej!

— Ale ty mówisz, że ona... nie jest za nim?...  
Ona *sumuje* za swoimi?...

— Ta, niby tak... Ale długoż ona będzie jeszcze *sumowała*?...

— Ale ty się nie bój, *zazulu* moja — rzekła słodko stara — on i ciebie nie opuści i tamtej... Jemu więcej trzeba krasawic... To nie prosty *łegin* z naszych... to w a t a ż k a !...

Irenie zaś coraz się marniej robiło w duszy. Mimo to silila się panować nad sobą.



## V.

Podczas gdy Irena, szukając rady jakiej na Ilci, nie znalazła u starej tego, za czem była się wybrała, ale dowiedziała się więcej, niżeli się mogła spodziewać: Dowbosz tymczasem w innej stronie, dalekiej, koło drugiej zachodził krasawicy.

Melanka, zrazu rozpaczając za ojcem, za matką, za swoimi, bała się obcej drużyny; powoli jednak musiała poddać się swojej doli. Śmiała dziewczyna, rosła jakby jodła, a silna, gdy chodziło o ratowanie swoich w niebezpieczeństwie, ujrawszy się dziś w gronie młódców, dzikich jak wilki a drapieżnych jak rysie, poznać musiała, że jest tylko dziewczyną: uczuła się tutaj bezwładną.

Trzy dni płakała... Dowbosz się tylko uśmiechał, jako *łegin*, któremu to nie pierwszyna, jako watażka, któremu nic w końcu oprzeć się nie zdoła.

Inni młódcy, widząc, że watażka z daleka trzyma się od krasawicy, znosząc nawet fochy a korowody różne u lamentującej za swoimi dziewczki, zaczęli



powoli bezbronną zaczepiać, do niej chychocąc. Watażka spoglądał na to zrazu milczący, niby brytan silniejszy, kiedy słabsze pieski skaczą raz po raz naszczekując; lecz gdy jeden z nich, śmielszy a natrętniejszy, zabierał się z całym uporem umizgów do przestraszonej dziewczyny: w jednej chwili zerwał się jak dziki zwierz, porwał chłopca za włosy, a rzuciwszy nim o ziemię, zaczął tłoczyć kolanami. Wszyscy zadrżeli, widząc, że watażka „gniewa się“. Wyjął bowiem nóż z za pasa, chcąc krwi nieco upuścić gorącemu natrętowi, lecz dwa złamawszy mu żebra kolanem, o dziesięć kroków odtrącił nogą napastnika — i poprzestał tymczasem na tej nauce. Poczem odszedł i usiadł sobie spokojnie, dumając już o czem innem, jakby tu nic się przed chwilą nie stało.

Melanka drżała, jak liść osiczyzny, a młodocy nawet, do wzruszeń nie latwi, zmienili nieco barwę na twarzy; stratowany zaś mógł się teraz dłużej lizać, poczuwszy na sobie zęby silniejszego.

Dziewczyna ciągle jeszcze była w obawie, potem zaś patrzyła na watażkę, jak na swego obrońcę, i mimo strachu czuła, jako ku obrońcy, pewną wdzięczność. Trwoga przed nim uczyniła go jeszcze większym w jej oczach, jeszcze groźniejszym.

Trwoga ta, i uwielbienie dla jego siły a urody, budziła w dziewczynie mieszane jakieś uczucie, — i coraz jej już mniej było straszno w tej drużynie, u boku człowieka, który pokazał, że ma ramię, zdolne zawsze przed wszystkimi ją obronić.

Gdy dzisiaj porównywała z nim parobki a *kawalery* bolechowskie, bardzo oni stali się nikłymi w jej oczach wobec watażki.

I tak coraz bardziej zmniejszał się wstręt Melanki do tego grona opryszków. Mołodecy na nią z większą uwagą dziś spoglądali, zdaleka się trzymając; wiedzieli bowiem, iż u watażki kulkę w brzuch wpakować, silnego rękami zadławić chłopa — toć jakby nie kupić! Dali też spokój dziewczynie. Ona zwolna przyzwyczajała się do swojej roli; w miejsce żalu za rodziną budziła się w niej pewna duma, że ów groźny, o którym tyle opowiadają, dla niej jednej ma względy.

Kiedy buszując po zapadłych odstępach nad górną Świecą, nad rozworami potoków, ciągnącymi do Łomnicy, wraz z nimi drapać się musiała po złomach kamieni, przedzierać przez zarośla i gąszcz kolący, miała tutaj sposobność pokazania swej siły i niezwykłej wytrzymałości. Z mołodeca, który się drapał do góry, dysząc, jak pies zziajany na słońcu, w głos się teraz naśmiewała. Nawet sam watażka, groźny dla wszystkich, wobec niej coraz bardziej stawał się uległym. Lecz ona poznała, że tu mogłaby rozkazywać w „dobrej“ tylko godzinie bo krew grała, nie woda, w żyłach władcy puszczy onych!

Czasem, w nocy, gdy wszyscy spali, rozłożeni pokotem, i sam watażka usnął — na myśl jej przychodziło miasto rodzinne. Widziała wtedy matkę swoją i ojca, dziecko przeklinającego — i straszno jej się robiło. Chciałaby teraz tam powrócić, lecz obraz watażki jak gdyby na uwięzi ją trzymał; czarne jego, żarem głębokim iskrzące oczy, czary niepokonane na nią rzucały.

Czuła, że jest w mocy złego... ale złe miało dziś dla niej urok i moc, wobec czego traciła wszelką siłę woli.



## VI.

Doliny Czeremoszów, Prutu, obu Bystrzyc, rozwory Łomnicy i Świecy, wiodły z dawna jak gdyby w świat zapadły, tajemniczy; kończył się tam świat zaludniony, deptany nogą ludzką, a zaczynał inny, kędy buszowały wilki, ryś i żbik skakał z drzewa na drzewo, niedźwiedź czatował na słabszego zwierza — i gdzie pojawił się wprawdzie człowiek, ale straszniejszy nad to wszystko.

Nigdy jednak głębie gór i borów nie były tak straszne, jak w onczas, kiedy się zjawił tam ze swoją drużyną **D o w b o s z c z u k !**

Od kresów bukowińskich aż do źródeł Świecy przelatywał on nieschodzone puszcze miejsc tych zapadłych, a z gór zbiegając ze swoją drużyną, zagrażał pobliskim dworom i osadom. Drogi tam wszystkie stały się niebezpiecznymi.

W grodach, otoczonych ostrokołem, w zamkach, obwarowanych podwójnym, potrójnym nawet wałem, musiano dziś trzymać liczne milicje, konne i piesze:

uzbrajano się jakby w kraju nieprzyjacielskim, tak, jak gdyby tam w stolicy króla nie było, lub Rzeczpospolita nie miała żadnego wojska. Chaty nawet gazdów, co dostatniejszych, w kotlinach gór, trzymały się obronnie.

Dymiące się dziś pogorzelnisko Bolechowa wywoływało przestрах we wszystkich dworach i we wszystkich miastach podgórskich; mieszczanie podnosili lament, żydy przestraszone znaszali dary podstarościm i komisarzom pańskim, aby ich zechcieli bronić.

Z Bolechowa, z Doliny, z Kałusza, raz w raz przybywali ludzie do Łuczy, błagając o pomoc najpotężniejszego wówczas w tych stronach pana, jakim był pan na Jabłonowie, Łanowcach, Pisanice, i t. d. z Prusów Jabłonowski.

Po niejakej naradzie ze swoimi komisarzami wysłał on z Łuczy list do Potockich, aby celem obrony ziem szerokich i miast całego Podkarpacia, wspólnemi siły większą dziś wyprawę przygotować na tego „herszta wszelkich niecnót i nieprawości“, jak go nazwał. Szlachta okoliczna, zagrożana ciągle, przyobiecała również wziąć udział ze swoimi dworzany, hajduki i pajuki.

Z Łuczy, z Nadwórny, raz w raz biegły gońce do generalnych rządów i komisarzy, aby czempredziej przysposabiano milicje dworskie do wyprawy w głębokie góry. Dragony, kozaki i tatarzy dworskie przemieniano w piechury, uzbrojone w garłacze, samopały, oszczepy, krótkie kordelasy... Po zamkach lano kule, — Niemcy puszkarze od dział, przyspasabiali proch strzelniczy. Po dworach mniejszych szlacheckich, klepano kule z żelaza to ołowiu, gotowano „siekanie“, ćwiczano nie tylko lud rycerski, ale i pacholki, kuchty a forysie. do obrotów

w gęstwinach lasowych: — uczono naciągać kurki przy samopalach, które za uderzeniem w tej nowej wówczas broni zapalały proch na panewce; — gdzieindziej znów trzymano się jeszcze dawnej, starej, ciężkiej broni, którą trzeba było pobudzać lontem zapalonym. Dla wielkiej drożyny palnej broni szwedzkiej i francuskiej, zbrojono pacholki i wybrane ze siól chłopcy w ciężkie nawet łuki a krótkie noże, używane na dziki.

Nie tylko w dobrach księcia wojewody z Łuczy i panów Potockich ruch nastął wielki, słano gońce również i do zamku pistyńskiego, ażeby także Ponińscy przyczynili się do wspólnej wyprawy. Przyobiecano teraz chętnie, gdyż zarówno Pistyń, jak i osady ponad Pistyńką, opryszków nieraz mieli u siebie w gości. Kosowscy zaś na zamku swoim w Kosowie, musieli odmówić: bo choć zamek ich, potrójnym wałem obwarowany, silny i bezpieczny, mógłby część swojej wysłać załogi, lecz jako już na kresach leżący Rzeczypospolitej, lubo się dziś nie bano hord tatarskich, musiał zawsze mieć się na baczności przed napadem jakich łotrzyków wołoskich.

Nareszcie zaczęto już wysyłać co śmielsze pobereźniki, obyte ze zwierzem lasowym, na przeszpiegi w głębie gór; dodawano im co najśmielszych dojeżdżaczy, jako lud od dziecka wywiczony do tropienia, do narażania się na kły dzika, na łapy niedźwiedzia. Ci też, obszyci prawie w skóry, w skórzanych kaftanach i takichże hajdawerach, zaopatrzeni w blaszane przyłbice, spuszczające się na oczy, dla przedzierania się przez gąszcz kolący, uzbrojeni w garłacze i krótkie kordelasy — zapuszczali się w głąb puszczy, aby powziąć języka, kędy się dziś oddziały Dowboszowe obracają.

Nie jeden śmiałek nie wrócił stamtąd, gdyż go wilki zjadły, lub zeszedł się z niedźwiedziem; czasem który niebacznym zaczął dzika, chcąc mu w gardziel wepchnąć kordelas, lecz gdy żelazo nieszczęściem nie weszło tam po samą rękojeść, odyniec wtedy, rozwścieklony, w mig rozpruł kłem przeciwnika. Nie odstraszało to innych, chcących dawnym zwyczajem białej użyć broni w tych ze zwierzem zapasach.

Od ludu górskiego nie zawsze można się było dowiedzieć wszystkiego, co mu o opryszkach było wiadomo, gdyż jedni trzymali z nimi, drudzy, z obawy przed ich zemstą, milczeli.

Po cerkwiach, kościołach, po żydowskich nawet bożnicach, odprawiano modły na intencję szczęśliwej wyprawy.

Zbierały się liczne hufce.

Dzielono się na cztery oddziały. Dwa z nich ruszyły dolinami obu Bystrzyc w górę; mniejszy, składający się głównie z nadwornego żołnierza dworu pistyńskiego, pociągał dalekim rozworem Prutu, gdzie się teraz najmniej herszta tego spodziewano; największy zaś oddział i najlepiej uzbrojony, różnych panów i szlachty, udał się do Perehińska, skąd doliną Łomnicy miał operować: tam bowiem podług wszelkiego słuchu najprędzej spodziewano się zaskoczyć groźnego watażkę. Inne zaś oddziały miały mu tylko zamknąć drogę na wschód, aby nie umknął ku Czarnohorze, w tamtejsze nieschodzone bory.

W Perehińsku, jakby u wstępu gór wysokich nad górną Łomnicą, zebrały się milicje pojedynczych panów, przeznaczone do oddziału głównie operującego.

W chatach gazdów tamtejszych biwakowali dziś nadworni żołnierze różnej broni i różnych znaków.

Pobereźnicy i inni chłopci lasowi wracali z prze-  
szpiegów, jeden po drugim, przynosząc wieści, iż Dowbosz  
ze swoją drużyną gości właśnie w tych stronach, w głę-  
bokich górach, gdzieś aż koło pasma *Arszyc*<sup>1)</sup>, kędy  
noga nie zachodzi ludzka, to znów między *Ihrowy-  
szczem*<sup>2)</sup> a gromadą dalszą gór bliżej nieznanych.  
Inni mówili, że jest już na węgierskiej stronie.

W bliskości *Perehińska*<sup>3)</sup>, na *plaju* pobrzeżnym  
Łomnicy, wiodącym ku *Jasieniowi*<sup>4)</sup>, pokazywano im  
wychylające się gór wierzchy, należące do grupy *Ihro-  
wyszcz*a. Ludzie tamtejsi zwali podłużny szczyt *Za-  
płata*, wyższy zaś stożek *Wysoką*; w razie jaśniejszej  
pogody wychylało się wyraźniej więcej szczytów. W tam-  
tejszych stronach przebywać dziś musi Dowbosz.

To dodawało otuchy porucznikom i namiestnikom  
nadwornym i biorącej w wyprawie udział szlachcie  
pomniejszej. Byli też wszyscy pewni, że dojadą dziś  
końca hersztowi rabusiów karpackich, przeciw któremu  
i królewskich już używano wojsk, chociaż je nieskoro  
zwykle ruszano: one bowiem do wypraw w górach nie  
bardzo okazały się sposobnemi. Tak liczny jednakże, jak

<sup>1)</sup> *Arszyce* — długie pasmo o wielu wierzchach po zacho-  
dniej stronie Łomnicy.

<sup>2)</sup> *Ihrowyszcz*e, z *Seredną* i z *Wysoką* — grupa  
wysoka po wschodniej stronie Łomnicy.

<sup>3)</sup> *Perehińsko*, rozległa wieś u stóp karpackich, gdzie  
się zwęża już dolina Łomnicy w wązki rozwór.

<sup>4)</sup> *Jasień* — ostatnia wieś górską w dolinie Łomnicy.

dzisiaj, i tak dobrze zorganizowany, nigdy jeszcze nie wybrał się w góry te oddział.

Na wozach przybyły już całe kufy piwa i miodu, fury z mąką i krupami, stosy mięsiwa wędzonego, solonego: bo tam w górach nie ma żywności, trzeba przeto wszystko mieć ze sobą.

Z wozów zaczęto teraz pakować na juki końskie, gdyż tam dróg żadnych nie będzie.

Biwakowano czas niejaki w Perehińsku, a dobrze trzeba było zaopatrzyć się na dni dalsze; nieraz bowiem wypadnie potem suszyć dzień jeden i drugi, a może i całe tygodnie, bo kto wie, jak tam długo przyjdzie uganiać się po pustyni!

W dniu oznaczonym ruszyła część oddziału. Wojsko, uzbrojone w samopały i garłacze, raźnie ciągnęło, gdyż dnia tego jasne wytoczyło się słońce, a w świetle poranem zabłyszczały znaki wojenne.

Dolina Łomnicy zaczęła się powoli zwężać w węższy rozwór, a w godzinę drogi pokazały się chaty ostatniej w tych stronach osady, dzikiego jeszcze wówczas Jasiona.

Nie była to wieś ludna, gęsto zabudowana, jak dzisiaj, wtedy czerniały po zboczach, wzdłuż prawego brzegu rzeki. tu i ówdzie, pojedyncze tylko chaty, mizerne, dranicami pokryte, mało co po nad ziemią wystające; z nich zaś tu i tam wyzierały lękliwie twarze mieszkańców, ogorziałych drapaniem się po górach, narażonych na zawieje, w czarnych koszulach, z długim, niedbale poniżej ramion wiszącym włosiem.

W innych chatach, na widok żołnierzy, pochowano się nawet ze strachu, jakby ci ludzie mienie im wydzierać



mieli. Gdzie którego z Jasińskich zdybano, wypytywano się, czy nie mógłby co więcej powiedzieć o drużynie Dowboszowej, lecz najczęściej udawał chłop przestraszony, że nie wie i niczego się nawet nie dorozumiewa.

Gdy już uszli kawał drogi dzikiem tem siołem, odezwał się pan namiestnik Jabłonowskiego milicyi nagle do pana Zaręby:

— O! o! na prawdę!... tam wysoko... widzi Waś?... za świerkiem stoi człowiek...

— Albo co? — zapytał tamten.

— Co Waś myśli?... On na prawdę wypatruje... O! o! a teraz, mospanie, wydrapał się w górę, jakby kot... ano znikł-ci już...

— To wyglądało na przespiegi — ozwało się kilka głosów. — Oj, będzie Dowboszczuk wiedział, gdzie my się teraz obracamy...

— Patrzcie! patrzcie! tam bo hajduki Potockiego kogoś wiodą... Oho! już przed porucznikiem!... Ciągną z niego... Ano czy pies ten co powie?... Ej! nie chce?... Dalej z nim na gałąź! Założyć stryczek! Niechaj podynda!...

Posuwają się dalej... A tam znów na błoniu za wsią, koło bydła kilku chłopaków jasińskich, czarniawych, na poły nagich, z długim po pas prawie kędzierzem, na widok wojska ciągnącego czempredziej wydrapało się, jakby młode rysiki na jawor gałęzisty... Jednemu z żołnierzy przyszła pustota do głowy, i zaczął trząść gałęziami, tak, że strącił na ziemię dwoje chłopiąt mniejszych... Przestraszone zaczęły uciekać z szybkością kotów... Jeden zaś z nich skoczył przelękniony w rzekę, i przykucznięwszy posuwał się dalej pod wodą, potem

zaś wychylił łeb mokry, świecący, a po głębszej wodzie, z wysileniem i strachem niemalym, bijąc nogami, to wyciągając je na sposób płynącej żaby, dopadł przeciwnego brzegu, dysząc jeno z zaleknienia. Tu czuł się bezpiecznym, a żołnierze w głos się śmiali.

W dalszym pochodzie zdybywano jeszcze konie, pasące się po mokrzynach, między strugami dążącemi do Łomnicy. Żrebce, na widok niezwykle ciągnącego oddziału, patrzyły z początku lękliwie, potem wierzgnęły kopytami i dalej w górę pognały na zbocza, podobnie jak to czyniły stworzenia ludzkie. Nawet i jałówki stawały gdzieniegdzie zdziwione, a po chwili również wierzgnęły i z podniesionym w górę ogonem uciekały, dokąd mogły. Jedne tylko kozy poglądały śmieiej z wyższych zboczy.

W Jasieniu wyszukali pobereźnicy człowieka, który, jako lepiej znający okolicę, pomagał im, gdy panom starszyźnie nie umieli czego wytłómaczyć.

I wnet przywoławszy go zagadnął pan namiestnik milicyi Jabłonowskiego :

— Ty będziesz wiedział, chłopie, co to za potok, któryśmy właśnie co przeszli?...

— To, proszę *waszój myłosty*... ano nasz *Jaworowuj potik*, — on ninie mały, ale i on czasem ma *swoji humory*.

Kroczyli mokrzynami — dolina bezludna stawała się teraz węższą.

— A jak wy zowiecie tę górę za rzeką? — rzekł pan namiestnik, wskazując na prawo.

— To... proszę *waszój myłosty*?... To jest Czuta...

Słońce w tej chwili nieco przysłoniły chmury — i Czuta przybrała inną szatę, barwy niby stalowej,

lecz wnet znowu zajaśniało... i Czuta zmieniła raz jeszcze ciemny swój koloryt, była teraz cała jakby inna w jasnych blaskach.

Pan namiestnik wpatrzył się w nią, jak gdyby coś zajęło jego uwagę, i rzekł do pana Zaręby:

— Patrzaj Wasze... coby to było?...

— Przecież to — ozwał się tamten — nie roje *hostium* tak po niej maszerują do góry?...

A gdzieby, mospanie, tego-ci hultajstwa tyle było?... To prędzej stado owiec do góry się drapie?... Ale cóż bo tam tego!... Ano toć nie owce, nie żaden *pecus*!... To jakby bór wszystek z wiatrem, mospanie, uciekł do góry. Tfy! to jakieś tumany dyable, czy co?

A przywołany chłop jasiński wytłómaczył panom, iż to ani owce, ani też las do góry pędzący..., lecz tylko cień szary od chmury na niebie takie stroi dziwa, jak to często w górach daje się widzieć.

Za Czutą, w górę doliny, siniał przed ich oczyma wysoki grzbiet, który tameczni ludzie zwali *Sehlis*.

Po prawej ręce, jak gdyby gór nie było, tylko tarasowo wznosiły się różne wzgórza. W dali zaś po lewej, w ciemnym szafirze jaśniało wysokie pasmo, które znali pobereźnicy jako *Hryńkó w* — a gdy się tam wojsko zbliżyło, stanął tenże przed ich oczyma ogromny, czarny jak sadza, pokryty nieprzebytą masą świerków.

Gdy się zbliżono do podnóża *Hryńkowa*, *Łomnica* tu się szeroko rozlała, podzielona znów na więcej ramion, które w tem miejscu całą prawie zalały dolinę. Zebrała się starszyzna, rozprawiając, którądy tutaj się przepawić, — oglądali się bowiem za jakim przechodem na przeciwne brzegi.

Leśniczy i jasięscy ludzie powiedzieli im, że tu niema już drogi, gdyż ramię rzeki boczne, aż pod zbocze strome Hryńkowa płynące, nie pozwala iść brzegiem. Chcąc nie chcąc musieli wejść po kamieniach w wodę szumiącą, po same prawie kolana. Niejeden z dalekich płaszczyn szlacheć, a nawet pacholik, nie znający rzek górskich, ciężko obciążony, pośliznął się na kamieniu, po którym biegła woda — i runął jak długi, skąpawszy się cały... Mimo to wstawał czempredzej, a przemokły kroczyć musiał dalej, wywołując tylko wesołość u towarzyszy swoich. Dodawano sobie ducha, gdyż niejednemu było tu już cierpko: dolina stawała się bowiem coraz dzikszą.

Minęli już Szumleczy potok, jak go tu zwano... Potok w tem miejscu, łącząc się z Łomnicą, tworzył teraz jak gdyby szeroko rozlane jezioro: dolina się rozszerzyła, góry po obu bokach nieco rozstały — i znów więcej odwagi nabrano, bo teraz nikt ich na tej przeprawie nie napadnie. Przeszli drugi wkrótce potok — Płajek. Coraz wyraźniej wznosiła się w tej chwili przed nimi wysoka, podłużna, nieco poszczerbiona Zapłata, jako pierwsza z wielkiej a „niedobrej“ grupy Ithrowyszcz, jak tu ich objaśnili pobereźnicy.

— A dlaczego to Ithrowyszcz nie dobre?...

— Ta czemu, proszę wielmożnego pana? — odrzekł pobereźnik — bo tam wszelaka, mówią ludzie, bieda się znajduje... W kamieniach Serednej<sup>1)</sup>, ano i Wysokiej, mają się kryć, uchowaj nas Boże!... upiory skalne... a może inne „złe“.

---

<sup>1)</sup> „Seredna“, „Wysoka“ — szczyty wysokie w grupie Ithrowyszcz.

— Upiory skalne?...

Tu widać było niemały przestrah na twarzach chłopów, noszących barwę kozaków dworskich lub tatarów. Herbowni mniej się bali, każdy ścisnął tylko szablę lub chwycił za dziurę, — ale i taki, gdy pomyślał, iż to sprawa z duchem, a nie z człowiekiem, nie miał ochoty zdybać się z podobną siłą nieczystą.

Gdy tak gwarzyli, dolina nagle zwężyla się w wązki tylko przełom, bardziej dziki i bardziej kamienisty... Łomnica, przyparta do zbocza, najeżonego złomami głazów, ze strasznym po skałach pędziła tu łoskotem, kipiąc warem, rzucając dokoła piany białe... Ze strachem musieli uważnie przesuwac się po głazach nachylonego do rzeki zbocza.

Wtem nagle usłyszano z góry po nad głowami kilka strzałów — i zaczął sypać się grad kamieni...

Powstało niejaki zamieszanie, gdy kilku stoczyło się do wody... Z pospiechem jednak zakomenderowano ognia w górę, i nierówne teraz, lecz gęste zaczęły na oślepiec lecieć do góry strzały, a stamtąd dwa się w dół potoczyły trupy zwisając na zawadach skalistych.

Opryszki w takim ich miejscu opadli!... Czempredziej wydobyto się z ciasnego przełomu na szerszą dalej dolinę... Tutaj byli już bezpieczni.

Zakomenderowano czempredziej środek zająć kotliny, jedna zaś część, i to najśmielszych a obytych z górami, wydrapać się czempredziej miała na zbocze, aby rabusiom przeciąć drogę w dalszą gór głąbię.

Lecz daremna była to robota: zanim oni się wydrapali, tamci już jakby żbiki, kocim chodem, tu i ówdzie powyżej migając między świerkami, pobiegli w głąb

dalszą — i tylko kilka daremnych od milicyi padło strzałów.

Ha! będzie teraz cięższa praca, gdy się zapuszczą w głąb bezdrożną, i zdybią się z całą szajką Dowboszową. Tu w Płytkach była prawdopodobnie część jeno, wysłana na zwiady, usiłująca małą garstką skorzystać z terenu i zmiażdżyć oddział, lecz był on silniejszym, aniżeli sądzono.

W tej w niewielką kotlinkę nieco rozszerzonej dolinie Łomnicy postanowiono spocząć, zanim inne nie nadciągną gromady, do oddziału należące. Właśnie też wróciła na odgłos strzałów straż przednia, co naprzód była pociągnęła doliną, a którą nieprzyjaciel naumyślnie przepuścił. Obawiać się tutaj teraz niespodzianego nie potrzebują napadu, iżby ukryci w miejscach niedostępnych opryski szkodzić im mogli. Przestrzeń tu zanadto obszerna, ażeby strzał z ich puszek, lub z łuków puszczone pociski, z otaczających zboczy mogły aż w to miejsce ich dosięgnąć; do walki zaś orężnej w natłoku opryski nie odważą się: za wielka bowiem jest tu liczba silniej uzbrojonych. A gdy nadciągną jeszcze nowi, nie wymknie się im dziś również i sam herszt opryszków!

W samym środku kotliny zatarasowano się tymczasem — i zaczęto się posilać. Dokoła nich roztoczyła się uroczym kręgiem przepyszna gór panorama. Od zachodu wznosił się dumny Sehlis, siniejący, obok którego ciemniał niższy Todor: ku południowi zaś, gdzie się zebrały teraz czarne deszczowe chmury, wychylił się z długiego łańcucha Arszyc czarny Malij, okrągły, w czarnej szacie z kosodrzewia, ściągający do siebie mgłę deszczową. Od wschodu zdawał się znów zniżać lesisty

Hrynków — a wyższa oden Zapłata piętrzyła się wysoko. Od strony jednak Jasienia krąg tych gór niby się rozrywał.

Teraz nadciągnęły z tyłu inne gromady, bez szwanku. I była radość między wojskiem, że się większa zebrała już liczba.

Po niejakiem czasie nadeszły i konie, objuczone na dalsze dni żywnością, pod osłoną zbrojnych chłopów dworskich.

Dziś już wszyscy mogą być pewni, że w górach tych pustynnych z głodu nie zemrą.

Tymczasem chmury od południa gęstsze spiętrzyły się nad Zapłatą i kopcem Małego, reszta zaś gór przezierała w przezroczystej gazie, lekko się zarysowując. Spodziewano się deszczu, ale górscy ludzie zapewniali, iż tu słońce i pogoda przychodzi niespodzianie: nikt naprzód tego nie odgadnie.

I w samej rzeczy czarne masy gdzieś dalej pociągnęły, a gaza przezroczysta coraz stawała się cieńszą, bardziej przejrzystą... i zdawała się nareszcie zupełnie rozwiewać...

Ruszono zatem dalej. Większy teraz nastal szcęk, gwar, tętent a rzenie koni. Tak się urządzono, że szła naprzód przednia straż, uzbrojona w broń co najlepszą; za główną masą postępowała straż tylna.

Piękna, zielona kotlina, dla oka niby kręgiem gór różnobarwnych zamknięta, teraz zaczęła się wydłużać w bardziej podłużną dolinkę. Wkrótce zdawała się znowu zamykać, i stawała się nader teraz wąską. Tu zwrócić musiano większą bacność, i nie można było spuszczać z oka zboczy pobliskich, zarosłych borami, — choć te

zdawały się zbyt stromemi, ażeby się na nich utrzymać mógł oddział jaki Dowboszów. Mimo to z ostrożnością postępowano, bo opryszki umieją, jakby pazurami, spadzistych trzymać się stoków i choćby wiszących nad przepaścią.

Atoli zaraz tu pasma gór po nad doliną mocno się podniosły, nader stromo, tak, że zdawały się tykać nieba. Strach i zgroza przejmowały patrzących w górę. Po prawej ręce, za rzeką, z hukiem a gwałtem po głazach pędzącą, wznosiło się odrazu tak strome pasmo Podlutego, że tu ptak nie utrzymałby się na stromej ścianie, a nie dopiero człowiek. Obrano zatem to miejsce na nocleg. Lecz trzeba tutaj było przepawić się przez wodę a rozłożyć na drugim brzegu, przypierając się do skalistej ściany, w górę strzelającej.

Cały też tłum zaczął się walić do rzeki, w miejscu, gdzie woda wartko pędząc nie sięgała pasa. Ogromny powstał teraz szum, war i prysk wody, pod tyłu stopami ludzi a kopytami koni.

Zaczęto też powoli rozkładać obóz.

Służba dworska, nieherbowni od stajni, od kuchni, pacholki dworskich, zabrali się czempředzej do rąbania gałęzi i całych świerków; zaczęto teraz na nocleg na tem miejscu robić pokrycia szalasowe na wypadek deszczu, — inni rozpalali ognie. Zdawało się, jakby w tem miejscu powstała nowa osada, na nietkniętej nogą ludzką ziemi.

Była też narada starszyny, namiestników i dowódców pojedynczych milicyi pańskich, do której przywołano, jako bardziej tu obeznanych z temi stronami, ludzi lasowych i pobereźników.

Postanowiono teraz naprzód wybrać na ochotnika śmiałków, którzyby odważyli się pod zasłoną nocy



gąszczem lasowym podsunąć w głąb na przeszpiegi, ażeby wybadać, gdzie się obecnie siły Dowboszowe obracają, i jakby tu zejść je niespodzianie.

Byli tam ludzie perehińscy, zapuszczający się nieraz w głąb daleką za zwierzyną; byli siłacze, co się niedźwiedzia nie bali z kordelasem w rękę; byli i tacy, co się puszczały niegdyś w opryszki, ale od dłuższego już czasu pomagali teraz do tropienia rabusiów. Wiedzieli oni, jak to hojnie wynagradzają za to komisarze i burgrabiowie w imieniu swoich panów. Stało zatem kilkunastu na ochotnika, nie mających nic do stracenia a więcej do zyskania, ludzi odważających się samopas lub po dwóch zapuszczać w różne strony na przeszpiegi, w dzicz nieznaną.

I zaraz wymknęli się cichaczem na tę niebezpieczną wyprawę w głąb lasów, — a tabor cały, rozstawiwszy warty, ułożył się do noclegu.

---



## VII.

Zeszła tak noc i zeszedł dzień następny... zeszła i druga noc.

Na trzeci dzień wrócił pierwszy z rozesłanych: był to hajduk Potockich, chłopak gorącej krwi a ochoczy, jak mało. Ten koniecznie wtedy się wyprosił, ażeby go posłano na zwiady.

Zasapany, strasznie obdarty i pokrwawiony, powtarzał tylko jedno i to samo:

— *Bihme! nema!*... Ni słychu o nich... *Kudaś szczyzły*... Może już w naszych stronach... albo i na *Wuhrach*...

Starszyzna skupiona nie dała temu wiary. Hajduk widać zabląkał się i z niczem wrócił.

Tak samo dwóch jeszcze powróciło, na żadne nie natrafiwszy ślady. Opowiadał tylko z nich jeden, jaką miał rozprawę z dzikiem. Bo gdy mu zręcznym skokiem a silnym rzutem wbił kordelas w gardziel po rękojeść, zaledwie sam uszedł śmierci, odyniec zaś pobiegł dalej

z żelazem, a krew z niego lała się jakby z cebra. Lecz nie było czasu iść za nim.

Wkrótce powstał rumor: zaczęto skupiać się, bo przybyło teraz dwóch, którzy coś więcej mają do powiedzenia.

Zebrała się starszyzna.

Pan namiestnik milicyi Jabłonowskich zagadnął wnet pierwszego z przybyłych. Był nim pobereźnik z pod Perehińska, chłop jak niedźwiedź, z głęboką od dawna na łbie kresą i na pól wygryzionym przez drapieźca jakiegoś policzkiem. Musiał on nieraz być już w nielada opalach.

— Wielmożny panie — rzekł zasapany — szliśmy oba, ja i on. — Tu wskazał na towarzysza w tej wyprawie, dojeżdżacza w służbie Potockich, niewielkiego chłopaka, ale drapieźnego jak rysiak. — Taj tak szliśmy...

— No i co dalej?... gadaj prędzej, chłopie! — odezwał się niecierpliwie pan porucznik Potockich.

— Zaraz, wielmożny panie... bo to człowiek musi wszystko powiedzieć, jak należy... A więc idziem ciągle gąszczem... mokro nie mokro... aż zaszedliśmy w miejsce, gdzie się druga z zachodu, tak samo wielka woda pokazała w ciemnych borach: Jasięscy ją znać wam mają. Ja tu nie chodził. Co teraz robić?... myślimy sobie: iść brzegiem tej, czy tamtej?... Ano tak mi coś mówiło: Idź brzegiem tamtej!... ale i od tej zbyt się nie oddalaj! ażebyś mógł nazad trafić... Wchodzimy w wodę... Trzeba boją przejść... Szukamy brodu... a tutaj huczy, taj szumi, że człowiek naprawdę ogłuchł!... Ano mój chłopak, jak wam się zapuści, toć wpadł po *sam pojás*...

i nuż borykać się z wodą! skąpał się *jucha*. Ano jeszcze bo czujesz? — dodał spojrzawszy na chłopaka, który wstrząsnął tylko głową i odezwał się:

— E! co bo mówić panom, że-ci się człek trochę napił wody!...

— Ano bo i napił... Gdy wam go porwało... człowiek myślał, wielmożni panowie, że się chłop już nie wydostanie... ale on wam łeb wychylił, taj znów zapadł... ale się jakoś wydostał, nieco poturbowany.

— No, i co dalej?... To marne!... Gadaj dalej, chłopie!...

— Dalej, proszę wielmożnego pana, zabłądziliśmy nieco w gąszczu. Las tam.. oddaj się Bogu!... Ani się przedrzesz!... Chłopczysko podarł się i poszarpał, a nie chciał spuszczać skóry na lice... Przebijamy się dalej... Aż tu z daleka coś się zaiskrzyło tam między świerkami... Dalibóg! dwie świeczki... Chłopak mój zobaczył cztery świeczki. To wilki, mospanie.

— Ej! wilki? — ozwało się niechętnie kilka głosów.

— Zaraz, proszę wielmożnych panów, będzie z tego coś!... Ta, my bierzem się do samopałów, a postępujem ciszkiem... Ano mojemu chłopczyskowi zaświeciły ślepie, nito u kota... Poczekaj, chłopcze, będzie-ci tu polowanie!

— Jak to, mospanie? — odezwał się porucznik — chciałeś strzelać, głupi... i dać o sobie znać opryszkom?...

— Ej, gdzie tam! wielmożny panie... nie potrzeba było: bo on tam siedział na drzewie...

— Kto taki?...

— Ta, niby ten... Wylazł wam był na świerk, a cztery bestye dokoła pniak obstały... ano czekały,

póki aż nie złezie... Człowiek myślał, że to swój... jeden może z tych, co wyszedł na zwiady... Dlategośmy biegli na ratunek chłopu... Patrzymy, a ten się wychyla niżej... i jak-ci palnie toporem — od razu rozszczepał łeb jednej z bestyj, a drugie zaraz ją rozszarpały. Mój chłopak, jak był gorący, tak wam wypalił z garłacza swego... ubił drugą... a tamte dwie czempzędziej pognęły... Aż tu ten na świerku, uwolniony, czempzędziej wam zeskoczy... i dalej w nogi!... Człowiek dopiero poznał, iż to był opryszek...

— Opryszek?... — I tu się bliżej skupili inni ciekawi.

— Tak, opryszek, wielmożni panowie!... Ja zaraz zmierzył się i palnął w samą nogę lotrzyka. On się zachwiał... lecz dalej chciał zmykać... Ale tu mój chłopak, jak skoczy... jednym susem... to już był mu na karku i zwałił chłopca, że się ani oglądnał, gdy mój chłopak wbił mu pazury swe jak ryś w gardziel... Ano trzymał, póki ja wam nie nadbiegł, ta nie przyparł szelmę kolanem, aż mu zaczęły trzeszczeć kości.

— Aleście przecież nie zabili szelmy?

— Ta, jakby?... A gdzieby człek wziął wtedy języka o tamtych!... Myśmy go jeno trochę poturbowali... potem zaczęli wiązać, by go tu przywieść przed wielmożnych panów... Ten nam powie... Ale szelma, jak wam się odwinie!... byłać jeszcze szarpanina!... Ano go wleczem związanego... Będiesz teraz prawil, nieboże, panom naszym, kędy tamci?... Ba! ale i nie będziesz prawil... Patrzymy, a on jeno łypie oczami... ziewnął raz, drugi... i wyciągnął się.

— A bodaj was!... żeście nie mogli żywego...

— Ta jak, proszę wielmożnych panów? My go jeno trochę poturbowali, a w takim to przecie dusza twarda?

Choć tu się niczego nie dowiedziano od opryszka, jednak był to znak, że oddział Dowboszów nie odszedł daleko, a watażka gdzieś tu jeszcze gości... Niedaremna zatem będzie dziś wyprawa!

Gdy tak czekano jeszcze na innych, co mogą powrócić i przynieść języka, wtem od strony, gdzie potok rwący ze stoku zachodniego zbiega do Łomnicy, zbliża się z pośpiechem gromadka ludzi... drudzy się wnet do niej przyłączają. Dwaj to wysłani na zwiady, wiodą związanego opryszka. Udało się im na zboczach *Arszyc* pochwycić zbója.

Przywiedli przed starszyznę. Będą z niego teraz ciągnąć... Niechaj mówi! Ależ bo to chłopisko nielada, czarny z kosmatem kędzierzem, na piersiach porosły włosem. Patrzył tylko ku ziemi, raz w raz powtarzając: — *Bihme! ja ne znaju...* Ja nie opryszek...

— A coś ty za jeden, łotrze? — rzekł pan porucznik.

— *Mene pijmały ony.* Ja gazda z siola.

— Ano skąd ty?

— Ta skąd, *pane myłostywyj?* Ja wam z daleka, Ja z *Zelenoj.*

— Jest tu kto, co zna to siolo?

Był tam pajuk jeden, rodem ze Zielonej, który spojrzawszy na spętanego — zaraz zaprzeczył; po odzieniu bowiem poznał, że ten nie może być ze Zielonej.

— Gadajże prędzej! Kędyż wasza szajka?

— *Bihme, ja dobryj czołowik.* Ja ich nie znam. Porwali mnie, a teraz gdzieś pognali.

— *Bresze* jak sobaka. Zaraz tu damy mu radę mospanie, i będzie gadał.

Zaczęto ściągać zeń *kieptar* i pas, potem resztę odzienia. Próbowano kluczyć go teraz ostrymi grotami, że krew tryskała, lecz opryszek zaciął tylko zęby. Pan porucznik kazał go przygrzewać zapalonem łuczywem, a przypiekając tu i ówdzie zmusić do zeznań.

Skrzesano ogień, wyszukano łuczywa, zapalono smolne szczypy, i przytknięto mu do obnażonych pleców, a potem do włosia na piersiach, pod pachami, i do kędzierzy na głowie. Zrazu zęby zacinał, potem wrzasnął przeraźliwie, znać go już dobrze przypiekło, rany nawet pokazały się czarne: lecz chłop lubo zgrzytał zębami, nie więcej nie powiedział, jak tylko, że nic nie wie, bo oni przed nim kryli swe zamiary, a teraz poszli gdzieś daleko, aż za Bystrzycę na wschód słońca; albo może są już pod Czornohorą... ale on nie wie. — Widocznie chciał ich zmylić.

Na łbie osmolonym kędzierze do połowy spłonęły, — po spopieliałych kudłach plisze zostały szczerznięte.

— Nie chce bestya powiedzieć prawdy? Niechaj to pomoże: dalej z nim na gałąź! — krzyknął porucznik. — Ano tam mospanie, koło tamtego!

I wskazał ręką, gdzie trup huśtał się na gałęzi niedawno powieszonoego chłopca, który chciał uciec z oddziału i zdradzić ich szajce Dowboszowej.

Opryszek spojrział na tamtego, i jakoś mu się zrobiło ekliwo. Choć był prawie czarnym, widać jednak było, jak pobiełał. I odezwał się chrypliwym głosem:

— *Pomyłujcie! ja chrystijanyń przecie. Dajcie spowidnyka!*

— Ty chrześcijanin, psie.

— *Bihme!* panie.

I w samej rzeczy ujrzano krzyżyk mosiężny na piersi jego, jaki noszą huculi.

— No, przywołajcie tu jegomości! Niechaj choć dusza ta nie idzie na zatracenie, jeśli Bóg raczy się nad grzesznikiem zmiłować.

Przyprowadzono kapelana zamkowego w Pniowie, który był tu z oddziałem, ażeby ostatni dawać posiłek umierającym.

Spojrzał teraz zbrodniarz takim wzrokiem, że mu się źrenice rozszerzyły... i dodał, że już teraz wszystko panom powie, niechaj tylko litość nad nim mają!

Zaraz się więc dowiedziano, że to chłop z Berezowa, a już od dawna opryszek, i że liczny oddział Dowbosza tutaj się w tych właśnie lasach po nad zachodnimi dopływami Łomnicy znajduje.

Zakuto go i zabrano ze sobą na przewodnika w zapadłych tych ostępach. Dwóch zaś ludzi miało iść ciągle na straży obok niego, z nabitymi samopasy, trzymając ciężkie kordelasy w rękach, gotowi w każdej chwili wbić mu je w gardziel, skoroby najmniejszą okazał chętkę ucieczki lub zwiedzenia ich z drogi.

Wrócili potem i inni z wysłanych na zwiady. Zgodzono się na podstawie zebranych wiadomości, że Dowbosz nie wyszedł jeszcze z tych gór, i że nie tamte oddziały, wyprowadzone za nim wzdłuż Bystrzyc, Prutu, lecz właśnie oni będą mieli z w a t a ż k ą do czynienia. Nie opuści on tak prędko puszczy zapadłych po nad górną Łomnicą i nad jej dopływami; a jak wszystko wskazuje, jest on teraz zapewne w owej dziczy lasowej,



skąd ta druga wielka woda<sup>1)</sup> płynie z zachodu do Łomnicy.

Zebrała się zatem na naradę starszyzna, aby obmyśleć obecnie plan atakowania. Zeszli się do głównego szalasu: pan porucznik Potockich, pan namiestnik Jabłonowskich, ataman kozaków dworskich Potockiego, pan Zaręba, pan Hińcza; przywołano oprócz tego kilku leśnych i pobereźników ze stron tych, jako znających okolicę.

— Waszmoście pozwolą, — ozwał się pan porucznik do zebranych — że ja przystąpię niejako do *meritum* tej sprawy. Gdyby to była sprawa ze Szwedem, Turkiem, albo innym, bijącym się *ordine militari*, tobyśmy *antiquo more* szli prosto i dalej do ataku!

— A tak!... to się rozumie! — odezwało się kilka głosów.

— Ale że tutaj — ciągnął dalej pan porucznik — jakby gonitwa *incarceratorum*, jacy dawno winni byli dać już gardła swoje...

— Ano co z tego, że sprawa *incarceratorum*? — przerwał pan namiestnik — kiedy oni tu po tych debrach a puszczech zatarasowani, jakby we fortecy... ano większej, mocniejszej, niżeli kamieniecka; a ta ich forteca, mospanie, wraz z nimi maszeruje tu to tam... *ubique*.

— Ja też dlatego, że *ubique*, powiadam waszmościom — odezwał się znów pan porucznik — iż trzeba nam rozmyśleć, aby nie dać się dziś pokonać temu hersztowi wszelkich nieprawości... ale utrzymać *decorum*

---

<sup>1)</sup> Ta druga wielka woda — jest to dotychczasowa Młododa, poboczna Łomnicy, w głębokich górach i borach zapadłych, z zachodu ciągnąca.

naszego rycerstwa, i dla *securitatis* rycerstwa i Rzeczypospolitej obsaczyć rabusie a smoka tego złapać. Trzeba zatem wysłać *partem* milicyi naszej na place, gdzieby mu odciąć drogę, by *fuga* herszta była daremną.

— Ma racją Imci pan porucznik — ozwał się pan Zaręba.

Inni również potakiwali.

Nareszcie zgodzono się, że główna masa wojska pociągnie wzdłuż Łomnicy w górę, aż kędy się ta łączy z tą drugą wodą większą, co ma płynąć od zachodu — a potem wzdłuż tej ostatniej wyruszy wojsko w głąb dalszą puszczy, gdzie podług słuchów kryć ma się w a t a ż k a.

Lecz dokądby tu rozesłać inne oddziały, aby przeciąć Dowboszowi drogę, a nie puścić go ani na zachód dalszy, ani na wschód — ani też, na stronę węgierską?... Tutaj jako znajomych miejscowości przywołano leśniczych, — a zapytany stary Trofym z Perehińska ozwał się chyląc do kolan:

— *Welmożni panowie* zechcą mnie posłuchać, to ja jako dworski *słuha*, co nie od wczoraj tu zachodzi i zna niejedno...

— No — przerwał mu pan Zaręba — gdziebyś postawił tak z kilkunastu, albo i więcej?

— Kilkunastu? proszę łaski *welmożnoho*, to *nina-szczo!*... Tu trzeba więcej.

I zatrzymał się nieco, licząc w duchu. Następnie dodał:

— Ot tak, *dwajciat' piat*... ono mało... *tryjciat', sorok*, nie dadzą rady... Trzeba, proszę łaski panów, tak z pół *sotki*...

— Co? pięćdziesiąt żołnierza!

— Ano pięćdziesiąt, *proszu* łaski pańskiej, i to chłop w chłopa! *Tażę tamtii* mają *szczo najlipsi rusznyci a samopały tii, ale* i topory a kordelasy... *Otże wam widsy* na prawo, gdzie *szumyt toj zwir z hory* do naszej wody, w górę hen! *najże tii* nasi idą w las! ano tam, *proszu* łaski pańskiej, wyjdą na wysokie *Arszyce*, taj dalej gróńcem!... Będą mieli na oku świat na lewo i na prawo.

— To ty sądzisz — rzekł pan namiestnik — że gdy zajmą mospanie te *Arszyce*, to nie puszczą tamtędy Dowboszczuka?

— A nie inaczej, *proszę welmożnoho* pana.

— A te *Arszyce*... zali on nie obejdzie? — ozwał się pan Zareba.

— A to jakby. *welmożnyj pane?* Czy to *korotka* góra?... To wam się ciągnie hej daleko!... Nie schodzisz jako żywo! ho! ho! *hony* tam, *hony!* same *ino* kamienie, trawa taj mech, że *zabrydesz po kolina*. Ktoby tam stanął we *tryjciat* nawet, *proszu panyw*, nie przepuści żeby i dwie sotnie: bo jak ono tamtym drapać się *iz dołyny na horu* i to lasem, a potem *kamincem!* To wam takie strome, że *czołowik* się nie utrzyma! Zanimby się wydrapały na gróń, oho! jużby ich wystrzelano. Oni tam, *proszę* łaski panów, nie pójda, skoro staną tam nasi z *puszkami*, oni zostaną się na *dołyni*.

— Dobrze mówi! — zawołano zewsząd. I zgodzono się wydzielić sześćdziesięciu żołnierza, co najlepiej uzbrojonego w garłacze a samopały; dano każdemu co najlepsze kule i zapas siekańca. Tak więc bez zwłoki z dwoma leśnymi i jednym gazdą z *Perehińska*, jako znającymi *Arszyce*, wyprawiono ich na wysokie i długie

to pasmo, ażeby niem postępując, odcięli watażce drogę na północ.

Inny zaś oddziałek, przeznaczony do odcięcia opryszków od strony przeciwnej, wydzielić postanowiono później, gdy wojsko dotrze do miejsca, gdzie się obie spływają wody.

Zaraz też nazajutrz ruszyła główna siła wojska brzegiem lewem Łomnicy, — a ponieważ tu dolina dość była wązka, posuwali się przeto po obu stronach *puszkarze*, dla zasłonięcia boków; silniejszy zaś oddział, z bronią palną i łukami, strzegł taboru koni objuczonych. Straż przednią i tylną również uformowano.

Tak posuwała się główna masa wojska ku południowi w górę Łomnicy.

Pasma po prawej ręce z okrągłymi kopcami, ciemnymi najczorne świerki, pierwszy raz tutaj widziały szeregi zbrojne; po lewej stronie głucho, na zboczach szumiały bory, jak gdyby trwogą zdjęte. Niekiedy unosił się w górę orzeł, zdziwiony, że jakieś niewidziane tu nigdy tłumy zajmują dziś jego dziedzinę; gdzieniegdzie znów umykał *mysio* chrzęszcząc gałęziami, albo ryś śmignawszy z drzewa na drzewo w głąb lasu uchodził czempredziej.

Tłumy wojska posuwały się coraz dalej wzdłuż lewego brzegu rzeki, która rozgłośnic, niepowstrzymana, przedierała się z szumem i hukiem przez różne zawady, to złomy skał, to pniaki do jej łożyska stoczone.

Wkrótce dolina rozszerzyła się w dziką kotlinę, otoczoną kręgiem kopców, w półtonach barw ciemnych szarzącą. Tutaj do Łomnicy z zachodniej strony uchodziła właśnie owa „druga wielka woda“, o której tyle mówiono, i która jeszcze wtedy nazwy nie miała; w jej

zaś kierunku, w dalszej dżiczy, miał obecnie przebywać ze swoim oddziałem Dowbosz.

Gdy się zwrócili ku tej nowej wodzie, mieli po prawej ręce czarne, gąszczem lasów pokryte zbocza przydługich Arszyce; za nimi zaś pozostały za Łomnicą kopiaste odrośla dzisiejszego Matcowa, połączonego z Ihrowyszczem.

Teraz przewodnikiem miał już być jeno zakuty opryszek, obok którego szło dwóch, ostre kordelasy trzymając w rękę, gotowych do pchnięcia na każdy podejrzany ruch spętanego. Jeśli zaś ich nie zdradzi i nie powiedzie na bezdroża, obiecaną ma wówczas amnesticę zupełną za swoje zbrodnie i jeszcze do tego nagrodę niemiałą, że już nie będzie potrzebował chodzić dzikim zwierzem po puszczy, jeno może rozpocząć we wsi gazdowstwo.

Jak było przedtem umówiono, mały oddział złożony z ochotników co najśmielszych, obszytych prawie w skóry, odszedł stąd pod przewodem lasowych ludzi w gąszcz rozciągający się między Łomnicą a tą nową wodą, w kierunku ku Węgrom, odważając się wejść na zbocza gór nieznanych, gdzie stopa może dotychczas nie była jeszcze człowieka. Oddział ten miał za zadanie nie puścić tędy Dowbosza, dając znać strzałami lub zapalonym ogniem, gdyby on tędy zechciał umykać, w którym to razie nadesłanoby pomoc z głównego oddziału, a możeby i cała siła nadszła, aby stoczyć z nim bój rozstrzygający.

Główna więc masa posuwa się teraz lewym brzegiem wody, pędzącej z puszczy zachodnich.

Droga, jak na taką pustynię i takie od świata oddalenie, była dość jeszcze wygodna. Nawet tabor koński

z żywnością mógł się dłuższym sznurym posuwać po tem wybrzeżu kamienistym. Bór choć dochodził tu do rzeki na jednym to na drugim miejscu, mimo tego był dość przystępnym.

Nie spodziewano się takiej drogi w zapadłej gór głębi, gdzie noga ludzka nigdy jeszcze nie powstała.

Rzeka ta zachodnia szumiała nawet weselej. Czasami w niej w jakim miejscu łeb kosmaty wychyliła wydra, niezwykłym widokiem zdziwiona. Żołnierze chcieli zaśpiewać sobie dla ochoty, niektórzy już próbowali... Lecz wtem bory stały się gęstsze a ciemniejsze i wiatr w górze się poruszył. Głucho teraz szumiały drzewa. Taborowi koni już ciężiej przychodziło z jukami przedzierać się przez drzew zarośla.

Nareszcie ci, co szli przodem, w pochodzie czegoś stanęli — i cały oddział musiał się zatrzymać.

Powstał gwar, zapytywali się jedni drugich, coby to zaszło, gdy nieprzyjaciela tutaj nigdzie jeszcze nie widać? Zapewne już natrafiono na jakieś ślady. Spętany opryszek, idący w asystencyi dwóch owych z bronią, łypnął żywiej oczyma, lecz oni mu bliżej jeszcze przed oczy zaświecili żelazem.

W samej rzeczy były tu ślady krwi i trawa nawet stłoczona. Szukając zaś nadybano buty poszarpane, a w nich resztki nogi, w niejakiej odległości leżała puszka rozbita, torba pogryziona i toporek nieuszkodzony. Musiały to być szczątki któregoś z wysłanych niedawno na zwiady, co się tak daleko zapuścił.

Nie była to jednakże sprawka opryszków, lecz wilków. Po zbitej zaś trawie poznać było można, że śmiałek ów nie łatwo się im poddał!

Nie długo nad tem się zastanawiano: — trzeba było posuwać się dalej. Atoli im dalej zachodzili, tem trudniejszą stawała się droga, gąszcz był coraz większy.

Na domiar trudności ujrzeni nowy potok, w tym samym kierunku, z zachodu płynący, mniejszy, lecz bardziej dziki i zarosły: potok ten się łączył teraz z wodą, brzegiem której szli, ona zaś tuż zaginając się w kolano, wiodła jakby ku stronie węgierskiej.

Teraz spętany wskazał im opryszek, żeby nie szli w górę większej tej wody, lecz właśnie w kierunku nowego potoku.

Musieli mu wierzyć, gdyż opryszka nęciła dziś nagroda a nadzieja gazdowstwa. Tędy posuną się nawet równolegle z *Arszycami*, gdzie drogę właśnie odciąć miał Dowboszowi w pierw wysłany oddział.

Dalej jednak posuwać się z taborem było niepodobna... Trzeba go było tutaj zostawić z żywnością: żołnierze zatem nabrali w torby, ile tylko wlażło, resztę zaś żywności z końmi pozostawiono pod strażą, w tej samej kotlinie.

Ruszono teraz w głąb nieznaną, trzymając się potoku. Ten był cały głuchym borem zarosły. Musiano przesuwać się pomiędzy świerki. Śladu nigdzie nie było tu człowieka: miejscami widywano korę zdartą na starym świerku łapą niedźwiedzia, albo też rogi jelenia, zagryzionego przez *mysia*. Droga stawała się coraz niedostępniejszą. Jak nie było Dowboszowej drużyny, tak też i nie było. Niektórzy radzili już nawrócić i gdzie w dogodniejszym poczekać miejscu, albo nowe wysłać przespīgi: lecz przeważyło zdanie, iż można się jeszcze dalej nieco posunąć.

Nareszcie i ten potok opuścić im przyszło, a posunąć się dalej drugim, jeszcze dzikszym i bardziej zarosłym, który nawet stałego nie miał koryta, tylko raz w raz rozdzielał się na boczne odnogi, sączące się między zaroślami.

Tu chciano już zawrócić, bo się pokazywały i drzew załomy. Lecz niektórym się zdawało, iż dostrzegają ślady teraz ludzkie. Temu i owemu w oczach coś jakby zamajaczyło, — i zdawało się, jakby mignęła gdzieś w górze postać opryszka. Ale czy to nie były jeno majaki?...

Spętany zaś ich zapewniał, że on poznaje tutaj ślady drużyny Dowboszowej — węchem jeno opryszka, inni bowiem poznać nie byli w stanie.

Były teraz narady, lecz chcąc nie chcąc trzeba było dalej postępować, bo się wkrótce na prawdę wyraźniejsze pokazywały ślady. Mieli teraz nadzieję, że natrafiwszy na oddział jego, w jednej chwili rozdziela się w mniejsze kompanie, a ze wszech stron obsaczywszy złapią i do szczętu wytluką opryszków.

Wicher coraz gwałtowniejszy szumiał powyżej, lecz na dole mniej się uczuć dawał. Gąszcz paproci i olbrzymie łopuchy zakrywały ninie drogę... Pod gąszczem zielska chlupała woda... Weszli w jakieś mokrzyny nadbrzeżne: widać, że nowy ten potok nie tylko korytem nie stałem rozbijał się po kamieniach ślizkich, omszonych, ale i podszyciem leśnego zielska chciał się dalej posuwać. Co chwila przechodzić trzeba było na jedną, to na drugą stronę.

Wtem nieznacznie weszli w załomy jakieś większe. Świerki leżały tu na świerkach, wichrami poobalane, grube, omszone, ślizkie od wilgoci, dalszy całkiem już tamując pochód.



Ależ czy im to raz już przychodziło przebijać się przez takie zawady? Przecież tak ciągle nie będzie?... Gdzieś to się musi skończyć! Tak przecież zawsze bywa w górach: — ten i ów zapewniał.

Atoli tym razem coś tego mozolu więcej było niż zwykle. Tu i ówdzie tak się zaplątali w gąszcz zielska między drzew załomy, że niektórzy nie mogli się już wygramolić... Powstało niejaki zamieszanie — i kierunek nawet drogi zgubiono... Ten i ów musiał się wydrapać na kłodę sterczącą wysoko, aby wnet spuścić się na drugą, lub upaść gdzie pomiędzy inne, kości swe rozbijając... Pod spodem zaś ciekła woda... Były to jakieś wiszary czy mokrzyny, i grzęzło się w nich powyżej kolan. Do tego jeszcze wichur stawał się teraz coraz głośniejszym, a zimno przejmowało do kości. Żołnierze, strudzeni, obdarci, popadli w taką sieć zielska, młodych świerków, kłód poobalanych, sterczących wyżej głowy — że się tylko trudzono tą myślą, jakby stąd się wycować.

Wtem nagle... padły z góry strzały — i zaczęto walić kamieniami.

Powstał popłoch i zamieszanie...

Z góry staczano już całe kłody świerkowe, które tocząc się waliły swym ciężarem inne drzewa. Wrzawa powstała okropna... Żołnierze zaczęli strzelać, z rusznic, z samopalów, to z łuków, ale prawie na oślep. M o ł o d c y byli im na karku.

Niejeden wyskoczył na kłodę, lecz w tej chwili pośliznąwszy się, zapadł w gąszcz, by już nie powstać, drugimi przytłoczony... Inny znów, zamiast we wroga, wycelował w swojego... Na innym miejscu jeden i drugi z żołnierzy nadwornych, chwycony za gardło przez opryszka,

stoczył się z nim w gąszcz zielska, gdzie się doduszano sposobem dzikich zwierząt... Kule leciały, toporki spadały, łby rozbijano maczugami, tratowano ciała jeszcze dygocące.

Ręka tam w górze w a t a ż k i kierowała.

Oddział nie mógł się wydobyć z matni; wicher przygłuszał jęki ginących.

Kiedy się wreszcie stąd wydobyto, oddział stopniał na połowę. Lecz teraz śmielej poczynali z nimi m o ł o d c y. Samego w a t a ż k ę było już widać. Straszliwy, z włosiem rozwianym, biegł górą, kierując drużyną swoją. Wojsko zaś, pckrwawione, poszarpane, ostatnich sił dobywało... aby uciec. M o ł o d c y zaś dopadali ich z góry, gdy jako obrotniejsi w gąszczu, w zaroślach puszczy.

Dopiero dano im odetchnąć i ścigać przestano, gdy przybyli na wolniejsze nieco miejsce nad szerszym potokiem, — lecz wtedy już i trzeciej części ich nie było, pokaleczonych, zaledwie uszłych z życiem.

Silili się teraz dobiedz do taboru, aby tu módz spocząć i nieco się pokrzepić. Lecz gdy doszli do miejsca, gdzie tabor był pozostawiony, tego już tam nie natrafili; stłoczona na tem miejscu była jeno trawa, a tu i ówdzie leżały drgające jeszcze ciała. Samopas zaś, tu, to tam, kilka żałośnie rżących rumaków sililo się, jak gdyby do życia przywołać panów swoich.

Ze zgrozą poznano, że Dowbosz ubiegł tabor: zabrał żywność i konie, resztę zaś zostawił.

Zamiast wypoczynku, trzeba było czempędzej uchodzić tą samą drogą.

Gdy się dowlekli do Łomnicy, zdybano tu dwóch niedobitków z owego oddziału, który miał się posuwać

Arszycami, dla zagrodzenia Dowboszowi odwrotu. Od nich się dowiedziano, że Dowbosz pierwaj jeszcze, przed głównem spotkaniem, zniósł tamten oddział na górach arszyckich, i tylko oni dwaj, niedobitki, w załomach kamieni ukryci, powstali później, a błakając się po zboczach, aż tu się dowlekli; inni może jeszcze gdzie się przedzierają, na oślep uciekając gęstwiną borów.

O trzecim zaś oddziale, który miał się posuwać borami ku stronie węgierskiej, nigdy już potem nie słyszano. Albo gdzie go wybito, lub może dzikie pożarły zwierzęta.

Z całej tej wyprawy wróciły tylko niedobitki do Perehińska.

Przestrach teraz był powszechny.

Oddziały, posuwające się jedną i drugą Bystrycą, wkrótce powróciły, nikogo w głębi gór nie nadybawszy, a Ponińskich oddział, ciągnący wzdłuż Prutu, odszedł do domu, dowiedziawszy się, że Dowbosz w innej zupełnie jest stronie.

Tak się skończyła ta wielka wyprawa na watażkę mołodców!



## VIII.

Na całym podgórzu — po wsiach, po dworach, po zamkach większych — osiadł dziś przestach i błada trwoga.

Po miastach zbierano się i o czemś radzono — chciano nawet sypać okopy, by mienia swego bronić. Żydzi biegali, tu, to tam, z podarunkami do dworów, z pieniędzmi za pasem, — ale nie można było dojść do niczego.

Uzbrajali się zrazu odważniejsi mieszczenie: — wspomniawszy jednak na wojska dworów, wyćwiczone, broń sieczną i palną mające, w jakim one stanie do domu popowracały — dano pokój wszystkiemu. Nieme wszystkich odwładnęło zwątpienie.

Dzień każdy mógł nadejść z wieścią, że Dowbosz wyszedł z gór ze swoją drużyną... że jest w pochodzie na to, na tamto miasto. Zamki warowne nie obronią dziś mieszkańców: on niezwyciężony.

Sam król, co siedzi na stolicy, nie dałby tobie rady, w a t a ż k o m o ł o d c ó w ! . . . Wszakeś znosił i jego

wojska koronne?... Wszyscy się ciebie boją — szlachta i lud. Ale lud ten, nawet gdy przed tobą drży ze strachu, to ciebie miłuje: podziw jego przechodzi w uwielbienie! — —

Atoli jest przecież jeden pośród tego ludu, który ciebie nie miłuje, nie wielbi, ze strachu przed grozą twojego nie drży imienia! Ten nie ma wojsk, nie siedzi w grodzie obwarowanym murem a wałami, — jednak odważa się ciebie nienawidzić!... On dybie na twoją zgubę, choć wie, żeś niezwyciężony, że się ciebie, jak mówią, nawet kula nie ima!... Mimo to przemyśliwa, jakby pomścić się swojej krzywdy. Boś mu uczynił krzywdę, w a t a ż k o!... Odebrałeś mu, co jego — ukradłeś mu serce, które przed ołtarzem jemu miłość i wierność zaprzysięgło!

Stefan Dźwińczuk dowiedział się już o niewierności żony.

Chociaż w pierwszym gniewie byłby może chwycił ją za włosy, żebra kobiecie połamał, jednak na jej szczęście, a może i jego, ona się wtedy jemu nie nawinęła. Miał zatem czas przyjść do siebie i opanować gwałtowność pierwszego wybuchu. Przypomnił sobie, że jest nie od dzisiaj myśliwym, — a jako taki nauczył się długie czasy tropić i wyczekiwać. Natura tropiącego myśliwca wzięła dziś górę: postanowił zatem lepiej tu się rozpatrzeć i przekonać, czy ona już na prawdę od niego odbiegła, a innemu się oddała... czy w samej rzeczy tamten już ją całkiem oczarował?... Wszak ona dotychczas wierną mu była? wszak pilnowała chaty i dobytku jego, jak *Hospod' Boh* przykazał a ksiądz w cerkwi naucza? Stefan jeszcze nie chciałby wierzyć. Będzie czas niejaki uważał i śledził.

Ale do watażki młodców czuł teraz potrójną nienawiść. Do krzywd dawnych, jakie herszt ten wyrządził ludziom, przybyła i osobista krzywda gazdy.

Ona zaś, od czasu, kiedy wróciła od znachorki na Ilci, nie miała już spokoju! Kobiętę dręczyła myśl dowiedzenia się całej prawdy: czy jej watażkę podbiła już ta przekłeta dziewczyna bolechowska, czy to tylko wieści były fałszywe?... A może to nie Oleksa Dowbosz dla siebie ją porwał, tylko który z jego drużyny?... Wszak każdemu z nich wolno?...

Irena brała się do pracy codziennej, jak mogła: chciałaby teraz we dwójnasób obarczyć się robotą, byle się nie truć w sobie myślą o tem, co by zapomnieć rada. Unikała przytem częstszego schodzenia się ze swoim gazdą: była przeto bardzo zajęta pracą różnorodną i tysiącem drobiazgow a kłopotów gazdowstwa kobiecego. Gaździe swojemu w oczy popatrzeć dziś nie śmiała, a gdy kiedy do niego przemówiła, była strasznie zafrasowana. Wszak i on przecież wiedzieć musi, ile to kłopotów ma niewiasta, która się oddała gaździe i gospodarstwu?... Taka chwila nie ma spoczynku!... Wstawaj jeszcze w nocy, a kładź się, gdy już wszystko chrapie! na dzień jutrzejszy znowu robota!

Tak myślała Irena, sądząc, że gazdę swojego tem omami. Ale i on jej nie czynił w tem trudności; Stefan również unikał żony. I on wiele miał do czynienia: to chodzić na *połoninę*, czy tam bydłu i owcom jego nie robią krzywdy, to z kosą najętych pilnować kosiarzy, lub nareszcie wozic na koniu *berbenice* do miasta — to też i jemu nie pozostawało wiele czasu dla żony!

Irena nie chciałaby dziś sama zostawać w chacie ze Stefanem; on również częściej wtedy przychodził, gdy byli i inni, co się łatwo mogło przytrafić w domu, w którym było tyle czeladzi.

Stan taki stawał się dla niej coraz bardziej nieznośnym... Modliła się dzisiaj, by *Hospod' Boh* dał jej o tamtym zapomnieć, a żyć ze swoim, jak w cerkwi nakazują. Ona poszłaby już i na odpust na tę intencję i suszyła rok cały... lecz gdy jej na myśl przyjdzie tamta, bolechowska, czuje w sobie coś, co jej krew wszystką zatruwa. Irena nie chciałaby już watażki dla siebie, byle i tamta jego nie miała.

Pewnego razu dowiedziała się, że jest w tych dniach większe nabożeństwo przed obrazem *Matery Bożej* w kołomyjskiej cerkwi. Tam też się wybrała... Może jej *Maty Boża* da jaką ulgę w jej ciężkiem utrapieniu?...

---



## IX.

Kiedy wychodziła z domu Irena, była kotlina kosmacka jeszcze w zmroku, tylko w przeciwległej od wschodu stronie, na wyższych szczytach, zdawało się być jaśniej. Księżyc na niebie bladł coraz bardziej, i kilka gwiazd większych mrugało konającym blaskiem, ledwo widocznym.

Wydostając się na wzgórza, przedzielające sióło rodzinne od sąsiednich Akreszor, ujrzała ona teraz wierzchy gór w pełnym blasku. Głęb sam kotliny zaś jeszcze ciemniał.

Szepecząc pacierz i całując zawieszony krzyżyk mościężny na szyi, przeszła zarośla i tarasy pasma, przedzielające Kosmacz od Akreszor. Słońce teraz wielkim świeciło kręgiem, a wszystko wróżyło dziś na pogodę: krzaki, zioła i trawa błyszczwały od rosy porannej, i ptaki radośnie śpiewały, ciesząc się życiem a pogodą.

Ludzie akreszorscy, choć jeszcze górski to lud, czynili na niej jednak strojem i nawet nieco gwarą wrażenie



obcych. Ludzie z płaszczyzn wzięliby ich za huculów, wzrok zaś kosmactek musi dostrzegać tu już różnicy widocznej.

Szła tak ciągle zboczami, bliżej podnóża wzgórzy, po nad wsią, raz się nieco wznosząc, to znowu schodząc... I przeszła wkrótce Berezów niżny, dalej Słobodę rungurską, bardzo jeszcze w owych czasach nieznaną.

Po całodziennym pochodzie, strudzona, szukać musiała miejsca na nocleg. Do chaty żadnej wejść nie chciała. W lesie zaś gdziebądź noc przebyć można: pod każdym drzewem gotowy nocleg.

Położywszy się umęczona, długo zasnąć nie mogła. Myśli obsiadły ją, jakby chmura komarów, lecz znużona całodziennym chodem nareszcie usnęła.

I zdało się jej po chwili, że jest w Kosmaczu, w swojej chacie, że się ciągle wybiera, lecz czeka, póki gazda nie wyjdzie z domu... ale gazda, jakby na złość, wychodzi to wraca. Słońce już wysoko na niebie, a ona wyjść nie może... i nawet wyszukać niczego nie jest w stanie do drogi. Sąsiadki zaś kiwają głowami znacząco, a jedna z nich, podobna do tej starej na Ilci, patrzy na nią, nie spuszczać oka, nareszcie ozwała się do innych: „Ona idzie się modlić — a podchodzi gazdę swojego!...” I wszystkie patrzyły na nią złośliwie... Wtem otworzyła oczy... zaczęła się rozglądać... a ona tu pod drzewem, na obcym miejscu...

Tam zaś w górze tylko miesiąc wielkiem na nią patrzył okiem. Zastanowiła się nad snem swoim, przeżegnała, i do snu znowu się ułożyła. Ale już nie śpiąc do rana przeleżała.

Powstawszy przed świtem, westchnęła, a mówiąc pacierz, puściła się dalej. Na wschodzie ciągnęły się nad

ziemią długie smugi, szare, to czerwieniejące — a tam w zmięczeniu widniała już Kołomyja.

Przyciągnęła nareszcie nad Prut. Tu był przewodnik koło przewozu. Siadła do łodzi — a rączę fale, prute z ukosa, zaniosły ją prędko na brzeg przeciwny.

Wszedłszy do miasta nad rankiem, zdybywała wiele ludzi. Schodziło się niemało obcych, bo w dniu tym większe będzie nabożeństwo. Choć jeszcze księży nie było, zastała tam przed cerkwią na cmentarzu siedzące niewiasty, chłopcy i drobniejszą czeladź — czekających na początek służby bożej.

Dowiedziała się tu, że teraz właśnie będzie wielki odpust w dalekim Hoszowie, i że pod przewodnictwem jednego ze starców stąd również odejdzie procesya. Ten Hoszów ma być w pobliżu Bolechowa. Wiadomość ta ją tknęła... I zaczęła się bliżej o to wypytywać... Coś ją ciągnęło, aby i ona w tem uczestniczyć mogła. Mówiono jej, że w Hoszowie będzie odpust, sławny na świat cały, bo tam dzieją się cuda. Ona tak cudu potrzebowała! Coś ją strasznie ciągnęło na ten odpust... I postanowiła wziąć również w tem udział. Wszak stąd idą tam ludzie?...

Po odbytem nabożeństwie, nazajutrz, wychodziła z Kołomyi liczna procesya... Ona też się do niej przyłączyła.

Gdy już uszli kawał drogi, widziała tutaj ta kobieta z gór świat całkiem inny, równy: wszędzie ciągnęły się pola i łąki, zboża było w bród. Dziwiła się gęstym siołom i bogactwu pól, ale za nic w świecie żyćby tutaj nie chciała. Woli swoją żętycę i placek owsiany, niżeliby tu miała jeść chleb żytni, a nawet kołacz.

Krocząc tak z innymi, ujrzała pod wieczór zdaleka nieznane jej miasto większe, które idący z nią ludzie zwali „Stanisławowem“ Potockich.

Zanim jeszcze tam doszli, w jednej z gospod przemocowano. Drugiego dnia szli dalej pątnicy, i około południa zdybywano już inne procesye, dążące również na odpust hoszowski. Coraz więcej spotykano pobożnych, idących do Hoszowa.

Jechały i wózki ze szlachtą i większe karoce, otoczone pompą pańską z dworzanami na koniach, a nieraz i z wozami z rojną *barwą* dworską.

Przed każdą *figurą* przydrożną zdybywano grupy modlące się i piejące *psaltery*. Teraz łączono się do wspólnej akcji pobożnej.

Ciągnęła Irena wraz z drugimi: niektórzy dziwili się jej pobożności, że aż z dalekiego Kosmacza wybrała się sama jedna.

Nareszcie minąwszy już tyle wsi i miasto niejedno, przeszedłszy już niejedną rzekę, ujrzała zdała na wysokiej górze, czarnej, lasem pokrytej, wychylający się z za drzew wierzch kościoła. Tej chwili, w świętym porywie, wraz z innymi, padła na kolana mówiąc pacierz. Dokoła też widziała klęczące i modlące się grupy, na widok miejsca świętego, dokąd wszyscy dziś dążą.

Im bardziej się tam zbliżała, tem więcej roilo się ludu. Lęk jakiś ją zdjął niewytlómaczony, gdy już była u podnóża góry, gdzie miała ulżyć swemu sumieniu.

Na stoku stromym, ocienionym drzew gałęziami, mijali ją spieszący w górę.

Był tam różny naród, ze stron przeróżnych; byli i z węgierskiej ziemi. A nie tylko samych widziano tu

włościan. — niemało tam zmierzało mieszczan i szlachty. Nawet pańskie ciągnęły orszaki.

Gdy byli już na szczycie, zaszumiały drzewa, kościół i klasztor okalające. Od wschodu w głębi huczała Świeca. Na prawo, na lewo, wszędzie dokoła, pomiędzy drzewami, na tle zielonej murawy, krzyżem rozciągnięte leżały postacie człowiecze, jak gdyby do ziemi przybite. Tu i ówdzie dziad siedział na ziemi, szeptał pacierze, wyciągając ręce do przechodzących: roilo tam się również i wiele służby dworskiej. Zewsząd ściągaly się kaleki, bo hoszowska *Maty Boża* cudowna, nad nimi przeto zmiłować się raczy i może niejednego uleczy. Dreszcz świętego przestרחu przejął do głębi Irenę: czuła to, że modlitwa na tem miejscu powinna być szczerą, — kto bowiem tu wchodzi, chcąc dostąpić odpustu, ten winien zapomnieć o wszystkich marnościach życia. Zali ona może zapomnieć wszystkiego?... Cudowna jednak jest moc *Bohorodycy Hoszowskiej*!

Chciałaby teraz uklęknąć przed Matką Bożą, błagając o zmiłowanie dla siebie; w natłoku jednak docisnąć się nie mogła. Przed otwartymi drzwiami cerkwi stały różne tłumy. W środku zaledwie było miejsca dla znaczniejszych, tylu bowiem tam zjechało się panów z rodzinami i ze służbą.

Słońce już chyliło się na spoczynek: ludzie odchodzili szukając na nocleg miejsca. Cele tu wszystkie zakonników pozajmywane przez znaczniejszych panów: korytarz klasztorny, po obu stronach wzdłuż ścian, zajęła czempredzej służba różnoraka i uboższa szlachta, również i mieszczanie. Lud drobniejszy roztasował się na dworze

— nawet miejsca pod murami były zajęte. Ona spoczęła pod jednym z drzew. Wkrótce wszystko już spało.

Nazajutrz rano wielki był natłok około wychodzących ze stulą na ramieniu księży, — całe tłoczyły się gromady, łaknące świętej spowiedzi w dniu odpustowym. Irena zadrżała: bo i ją miejsce to wzywa, by wyjawiała, co jej ciąży na sumieniu, ale ona dziś jeszcze nie przygotowana. Niezupełna spowiedź byłaby świętokradztwem — tak ją uczono w cerkwi... Objawić zatem miałyby wszystko?... Mróz ją przeszedł do szpiku! I żałowała, że tutaj przybyła. Jak to? Powróci zatem dziś gorszą, niżeli przyszła?... A czyż ona jedna jest tu grzesznicą, gdzie tylu ludzi?... Niejeden dźwiga również grzech ciężki, dlatego łaknie odpustu.

Irena popatrzyła lękliwie... ten i ów klęczy na murawie przed ojcem duchownym, szepcząc mu swoje utrapienia. Zali ona sama wróci bez spowiedzi!... Czy ksiądz będzie jej pytał o jego nazwisko? Dla kapłana dość będzie na wyjawieniu grzechu niewierności: imion on nie potrzebuje...

Walczyła z sobą... nareszcie pochyliła głowę i zaczęła modlić się gorąco. *Maty Bożą* święta Hoszowska, da jej jaką radę!

Skończywszy, zbliżyła się do jednej z gromadek, a gdy na nią przyszła kolej, uklękła, i wszystkie swe utrapienia, cały ciężar duszy wyjawiała przed ojcem duchownym.

Otrzymaawszy rozgrzeszenie, odeszła w pokorze ducha i poczęła odmawiać pokutę. Postanowiła teraz zapomnieć o wszystkim, zapomnieć kusiciela, choćby jej to najciężej przyszło... wrócić do domu — i być teraz wierną żoną swojemu gaździe.

W tem postanowieniu schodziła ze świętego wzgórza. Odpust się kończył, i rozchodzili się ludzie na wszystkie strony, piejąc *psaltery*.

Schodząc zaś w dół, zwróciła wzrok nieznacznie na lewo... a tam w dali szarzało miasto. Chwilę przystała, zadumawszy się; potem prędkim krokiem szła dalej. Lecz schodząc popatrzyła się raz jeszcze... I poznała, że ją coś tam ciągnie. Ale tu śpiewy głośniejsze pobożnych doszły jej uszu — i postanowiła wracać już prosto do domu.

Gdy jednak później głosy te coraz bardziej nikły, przystawała chwilę, jakby jej żal było, że tak blisko jest miasto, w którymby się mogła dowiedzieć całkowitej dziś prawdy... Wszak ona tutaj mogłaby dojść tego, co by ją więcej jeszcze w jej postanowieniu utwierdziło? Bo może on nawet nie godzien, żeby ona dla niego duszę swą kalala?... Wmawiała w siebie, że to ją bardziej wyleczy, gdy się dowie czystej prawdy.

Nieznacznie zatem zwróciła się ku stronie, gdzie zdala mglil się jeszcze Bolechów... Czegoż ma się teraz obawiać?... Czyli nie jest dziś pod opieką Matki Hoszowskiej?...

Podszedłszy pod miasto — stanęła na chwilę, jak gdyby się chciała zawrócić... Lecz teraz zaczęły już pokazywać się ogrody, to chaty, do miasta należące...

Gdy zaś wstępowała już w część środkową miasta, gdzie więcej miało być domów, przed jej oczyma dwa stały tu tylko szeregi gruzów: gdzieniegdzie sterczał konin bez wierzchu, lub stał zrąb zwęglony... Tu i ówdzie zaczęli już niektórzy nowe wznosić domy, widać też było białe zręby świeżo opravione: w innych miejscach ruch

był niemały ciesielski i nawoływanie robotników. Lecz najwięcej zdybywała wszędzie gruzu a popiołu i czarnych zwęglonych słupów, wskazujących, że tu niedawno wesoła siedziała rodzina, a dziś też sama jest bez dachu, płacząca na swoją niedolę, przeklinająca sprawców tej niedoli.

Czasami zdybywała się z głosami, które wymawiały imię dobrze jej znane. Wtedy biła jej krew do głowy, wtedy spuszczała wzrok ku ziemi. Ale gdy zaczęto kląć i wołać Boga o pomstę na niego, wówczas uczuła gniew w sobie do onych ludzi — i strasznie ją bodło, że wszyscy klną mu, gdy ona jedna chciałaby od niego odwrócić ich złorzeczenia.

Swąd pogorzeli owiewał ją dokoła, — w lachmanach tułały się dzieci jeść wołające, a nie było, kto by je nakarmił, gdyż zasoby poniszczone, matki chodziły zaturbowane... i jak tu rok ten ciężki teraz przeżyć przyjdzie?

Zdawało się jej, jak gdyby widok ten oskarżał i ją samą... jakby czad, co tu się rozchodził, przenikał ją na wskrós do głębi! Tyle widoku tak okropnego! Chciałaby stąd odejść czemprędzej.

Naraz usłyszała harmider szwargocącego żydowstwa, stawiającego nowe kramy, — ci zaś, wymawiając imię w a t a ż k i, mieli na ustach równe przekleństwo. Tego już było jej zanadto! Złorzeczenia tamtych zniosłaby jeszcze, — ale od tego plugawstwa, toć już za wiele! I wmówiła w siebie, iż on dobrze czynił: lepiej bowiem przecież, żeby w posiadaniu bożych skarbów raczej był taki, który drugim je rozdaje, niżeli te *pohany* plugawe. W tej chwili wydał on się jej na prawdę wspaniałym!

Lecz gdy widziała i takich, co jeszcze biadali za dziećmi, w popłochu wówczas popalonemi, — gdy

nareszcie pokazano jej matkę, co od czasu napadu tego straciła córkę, która była dla niej okiem w głowie: — zaczęła się nieco ciekawiej rozpytywać...

Tu sama nie wiedziała, czemu tak uważnie teraz przypatruje się postaci tej matki... widząc zaś ją, choć w niemłodym już wieku, lecz niezwykłą jeszcze okazującą na wiek swój urodę — uczuła pewną ku niej niechęć. Gdy zaś jej powiedziano, że córka tej matki było to cudo prawdziwe siły a urody, przez co musiała wpaść w oko w a t a ż c e, który drugiej takiej nie znajdzie: — zadrżała wtedy — i wszystko, o czem chciałaby dziś zapomnieć, stanęło jej naraz w oczach.

Kobiecina, pokazująca Irenie nieszczęśliwą swą sąsiadkę, której córkę porwali opryszki, rada była, iż może z kim gwarzyć i opowiadać o różnych nieszczęściach swojego miasta. Gdy zaś dostrzegła, że obca także udział bierze niemały w doli tej nieszczęśliwej matki, ciągnęła dalej — a Irena słuchała mileżąc. Nareszcie odezwiała się:

— Ej, co wy mówicie, matko?... Kto-ci to wie, zali to prawda!... Może tak tylko ludzie gadają?... ona zaś *dońka* sama wrócić radaby do swojej *matery*?

— A! ba... czy tylko?... Zali ja sobie z palca wyssała?... Wiedzą tu wszystko. Jest przecież człowiek w mieście, który jeździ wam po świecie za kupnem... Gdzie bo on nie bywał... Raz w raz, to do Kałusza, do Sołotwiny, to do Tyśmienicy!... Był-ci nawet... aż gdzieś na granicy... Mówią, iż tam jest miasto, có je zowią K u t y... To gdzieś już ma być koło Tureccyzny... albo może zaczynają się tam Tatarzy?... Czy ja-ci już wiem!... Ale tam bo siedzą... *wirmeny*... Ja ich nigdy



nie widziała... ale powiadają, że to *sami bohaczi*... U nich *hroszej* więcej, niż u nas grochu.

I byłaby baba zeszła na Ormian, o których słyszeć nie była ciekawa Irena: nieznacznie też skierowała ona gadatliwą kobiecinę, dokąd jej trzeba było. Ale gdy stara znów do swojego wróciła tematu, ozwała się Irena:

— Ta i czego-to ma się tak smucić... ta biedna *maty*?... Człowiek ten przecież nie był w drużynie Dowboszowej?... toć i nie wie?...

— Ta, pewnie, że-ci on tam nie był!... Ale on zawždy rad wiedzieć, gdzie się obraca ten straszny herszt... uchowaj nas przed nim Matko Hoszowska!... ano w których on stronach: bo ten człowiek handluje, a zawsze ma ze sobą *hroszi*.

— To on unika — rzekła Irena — zejścia się z nimi?... Przecież nie widział nigdy Dowbosza?

— Pewnie, że nie widział jego, ale on widział niedawno człowieka z jego bandy.

— Z jego bandy?... z bandy Dowboszowej?...

— A! tak... W Kałuszu złapali jednego z bandy Dowboszowej, co wracał do domu... Myślano zawsze, że to gazda, a to-ci był opryszek...

— I ten może mówił o tej bandzie?...

Tu krew podeszła jej do lica.

— A tak!... On-ci niejedno mówił...

— I o tej dziewczynie... gadał jej *matery*? — ozwała się drżąc nieznacznie Irena.

— A! widzisz, że tak!... On ją na własne oczy widział... tak, jak ja was tu widzę... Z początku bała się wam tego Dowbosza, bo on ma być bardzo straszny... ba! ale i chłop rosły, a taki, choć zbój, podoba

się dziewczce... Ona takie rzuciła nań czary, iż on wszystkie inne opuścił. I ktoby był o tej Melance pomyślał! Prawda, że dziewczka jako *jałycia*... ale żeby aż w bandzie Dowboszowej znalazła kochanka. i to samego Dowbosza... tegoby ja nie myślała!... No, ale kiedy tak się stało, to już płacz, stara *maty*!... Ojciec zaś wyrzekł się córki... Na co mu kochanki takiego smoka! chroń nas panie Boże od tego człowieka!

I tu się przeżegnała.

Irena, słysząc to, ledwie wytrzymać mogła... W tej chwili czuła, jak jej krew z serca uchodzi — dreszcz ją zaczyna przejmować; czuła teraz nienawiść do tej właśnie dziewczyny i nienawiść do w a t a ż k i! Byłaby szczęśliwą, gdyby się dziś mogła pomścić na nich obojgu! —

I wychodziła z miasta pełna goryczy a żalu. Czuła to dobrze, że nie tak łatwo przyjdzie jej o nim zapomnieć. Nie, ona go zapomnieć dziś już nie może!... Gdyby się nie był zwrócił ku drugiej, wtedy możeby się przemogła... Ale tak, jak się stało — ona tego przenieść nie może! W tej chwili widziała siebie wzgardzoną — podeptaną... a za to, iż tyle dłań poświęciła! Zazdrość ku rywalce krew jej wszystką zatrąła.

Jak szalona wracała do domu; z łe znowu górę nad nią wzięło.



## X.

Powróciwszy do domu, ust nie otworzyła; poglądała jeno ku ziemi ponuro. Wzięła się jednak do roboty, zwykłej, codziennej, około gazdowstwa. Stefan również przyjął ją milcząco, i o nic nie pytał. Nie pytał nawet, dlaczego tyle dni w nie tak bardzo odległej stąd Kołomyi bawiła. Widocznie dziś oboje unikali pierwszego słowa. Chwilami pozierał on na nią z pod oka, lecz czemprędzej się odwracał.

Ona wiedziała dobrze, że stosunek między nimi obojgiem dzisiaj inny, ale wszak to już tak od dawna! Czyli on się czego domyśla? czy to tylko kłopoty jego gospodarskie chmurzą mu czoło?...

Sąsiadki jej się pytały, czemu tak długo za domem bawiła?... lecz ona je, czem mogła, zbywała, odpowiadając niechętnie jednym słówkiem. Nie chciała więcej o tem mówić. Kobiety ruszały znacząco głowami.

Chwilowo gdy nikt nie uważał, stawała, wbiwszy wzrok przed siebie, nic nie widząc i nie słysząc. Gubiła

się we własnych myślach. Gazda zdaleka nieraz to spostrzegł, lecz odchodził nie mówiąc.

Razu pewnego po dłuższem milczeniu, gdy już niejaki czas sami byli w chacie, a ona, zajęta koło ognia, nie mogła w tej chwili odejść — popatrzył Stefan na nią z pod oka i zwolna zagadnął:

— I jak ty znalazła ten Hoszów?... Tam dużo było *świaszczenników*?...

Ona na niego spojrziała i mróz ją przeszedł. A on dodał jeszcze:

— W tym dalekim... Hoszowie... przecież wielki był odpust?...

— Skąd ty to wiesz?

Stefan nic na to nie odpowiedział — jeno spokojnie zapytał jeszcze:

— Ano ludzie tam się nie spowiadali, jak na innych odpustach?

— Ta, czemu nie!... *Świaszczenników* było dosyć.

— I cóż tobie *świaszczennik* powiedział?

— Na co? — półgłosem wycodziła.

— Wszakżeś do Hoszowa tam... tak daleko chodziła... ta na odpust przecie?... Ano może gdzie indziej?...

— Ty wiesz przecie?...

— Nie mi nie mówiłaś...

— Boś się mnie nie pytał.

— A tyby mi powiedziała, gdybym się był zapytał? — rzekł z przekąsem.

Tu nastąpiła chwila milczenia. Potem odezwała się Irena:

— Do Hoszowa... chodzą z bardzo dalekich stron ludzie.

— Ta wiem... bo ty aż z Kosmacza tam zaszła — dodał Stefan.

— Tam byli z dalszych jeszcze stron.

Tu Stefan zapytał się czemprowadzej:

— Czy oni i Bolechów odwiedzali?

— Ta skąd mnie to wiedzieć? — mruknęła Irena.

— Ano, któż powie, jeśli nie taki, co sam tam był?...

— Ja nie rozumiem ciebie...

I tu była cała blada.

— Ale zrozumiesz, gdy-ci powiem, że byli, co cię tam widzieli. Bo kołomyjscy i tam chodzą.

— Ty byłeś w Kołomyi?... Tu wpatrzyła się w niego.

— Jeśli ty była aż w Bolechowie, czemu ja nie miał być w Kołomyi?

Ona zadrżała. Mróz przejął ją do kości.

— Prawda, że silny, straszny, musi być człowiek, który całe miasto tak-ci *sprawił*?... Dla niego już można porzucić tego, który nie posiada tylu skarbów, pościąganych po ludziach?

Ona była blada — on miał w oku krwawą grozę. Milczeli oboje.

W powietrzu zdawała się przelatywać jakaś ponura teraz godzina.

Po jakimś czasie zerwała się nagle Irena w rozpacz: — Zabij mnie, gazdo!

— Były chwile, żem ci chciał żebra połamać, ale dałem ci pokój... Co mi po kobiecie, która oddała się drugiemu.

Ona się wstrzęsła. On dodał:

— Ta, niechaj-ci idzie za nim!... pomyślałem...  
On taki silny, taki urodziwy!... tylu ma m o ł o d c ó w!...  
A Stefan Dźwińczuk czyż mierzy garncami korale?  
Ustroi-ż kobietę w perły pozbierane z *bind nechrestów*?..

Słyszając to patrzała Irena ku ziemi. Wreszcie chwiejąc się zawołała:

— Zabij mnie, a nie pastw się! Czy ja to... dziś już jego!

— Tak więc z tobą teraz stoi?... Dlatego ten twój smutek?... Ty *tużysz* za nim? Ciebie opuścił, bo musi mieć inną?..

— Co mnie obchodzi, czy ma... czy nie ma!...  
Ja o nim nie myślę!

— Chciałabyś się do mnie nawrócić?... ale, *pohana*  
— i tu zmienił głos — ty myślisz, że ja, gazda prosty, mam to przyjmować, co on odrzucił?... On ciebie nogą kopnął, a ja miałbym dzisiaj się *przyhołubić*!...

Na podobne słowa krew błysła w oku kobiety.

— Ty nie mów tego, bom ja teraz nie widziała!  
Czemu mnie gnębisz? Co ja temu winna, że on na mnie rzucił czary!... Ale ja się... dzisiaj na nim...

Tu dokończyć nie mogła, jeno zgrzytnęła zębami.

— Ty? kobieta?... A czego miałabyś mścić się na nim? — rzekł chytrze. — Czy on nie w a t a ż k a?...  
Czy dla niego nie są wszystkie kobiety nasze?... Ma on z niemi czynić korowody?... Ho! ho! dajcie sobie z tem pokój!... On miasta i dwory zatrważa sobą, a miałby z wami czynić korowody! Rzuca jedną, to bierze drugą.  
Takby każdy czynił na jego miejscu.

— Ale i kobieta... zemścić się może na nim!... i na niej! — dodała ciszej, jak gdyby sama do siebie.

— Tobie... mścić się?... Zapomnij o zemście!... Bo co ty mu zrobisz?... Cha, cha, cha! — zaśmiał się, koso na nią patrząc, że po niej ciarki przeszły. — Dajmy temu pokój!... On cię podeptał... jak już niejedną... i rzucił, skoro mu się tak podobało!

— Ale i ja mam sposób na niego!...

— A cóż mu zrobisz?... On drwi ze wszystkiego!... Jego kula się nie ima!...

I tu zbliżył się nieco, a wzrok miał w tej chwili pytający.

— Jego — rzekła — kula się nie ima... kula taka, jak na was... Ale jeżeli zechcę... kupię... odleję srebrną...

On kiwał głową niedowierzająco. Szyderstwo miał w oku, ale niecierpliwość wyczekiwania w duszy...

Ona dodała czempredzej w gniewie:

— I dodam *proskurnej* pszenicy... tak, jak mówił... ziaren dwanaście, nad którymi *świaszczennik* — —

— Dwanaście *służb bożych* odmówiłby — dodał czempredzej z chciwością.

— A ty skąd to wiesz?

— Bo to wiedzą i inni.

Irena nie poznała, że Stefan w tej chwili tajemnicę wyłowił.

Oj! źle to uczyniłeś, w a t a ż k o huculów, żeś wykrył swoją tajemnicę przed kobietą!

Ona też się i sama zatrwożyła — ale gdy gazda na pozór uspokoił się i udał zupełną obojętność, dała podejść się nierozważna. Widać, że Stefan Dźwińczuk

nie darmo nawykł od młodości cierpliwie tropić zwierza, — namiętny zaś człowiek jest krwi chciwy, a nieogłędny, jako zwierz leśny. Niedźwiedzia i dzika nieinaczej się bierze: gdy się rozzłości, i jeden *zamurkuci*, a drugiemu piana zacznie ciec z pyska, to wtedy na oślep lecą na żelazo silnej a pewnej dłoni. Stefan miał dłoń pewną. I tym razem go nie omyli.

---





## XI.

Jakaś posepność dziwna, złowroga, osiadła w całym domostwie naszych gazdów. Zdawało się, jak gdyby to była chwila przed burzą. Ptactwo złowróźbne skrzeczało do koła, jakby chciało przed czemś ostrzegać dziś mieszkańców. Gazda chodził zamyślony, Irena zaś miała złe jakieś przeczucie i niepokój w duszy.

Następnie dni parę nie było w domu gospodarza. Chodził gdzieś do miasta i szukał czegoś po żydach. Chodził nawet do dworu w Łuczy, lecz tu go z niczem odprawiono. Wrócił się zatem do żydów, — i u jednego z nich znalazł srebro, które tenże posiadał z różnych, bądź zastawnych, bądź raczej złupionych towarów.

Gazda krył się z tem wszystkim. Ale gdy w chacie nikogo nie było, gdy zapory we drzwiach mocno zasunął, wtedy coś zbijał do kupy przyspasabiając i przymierzał do lufy swojej *puszki*.

Chodził następnie do księży, — i tam dzień po dniu odprawiano *służbę bożą*. Były tam i ziarna *proskurnej*

pszenicy, co ma cudowną moc w wielu razach. Gazda widocznie z czerns się nosił ważnem.

Irena widywała go, gdy wracał do domu, lecz nie mogła nic z twarzy jego poznać, — zresztą Stefan nie szedł sypiać do chaty, jeno odchodził dla spoczynku na bróg siana. Ona rozumiała, że on się na nią patrzeć nie może. Jej zaś było tak marnie na duszy, iż nie wiedziała, co z sobą począć. Chodziła już nieraz na brzeg wysoki po nad wyrwą, gdzie ciemniejsza wirowała woda, i wpatrywała się w nią godzinami...

Rozchodziły się wieści, że Dowbosz zjawił się znowu w tych stronach; były nawet pewne tego oznaki, wracali bowiem do chat ludzie, wiatrem wysmagani, opaleni, których dawno już nie widywano.

Irena coraz zdawała się niespokojniejszą. Zachowanie męża niepokoiło ją; — wolałaby, aby od razu męki jej zakończył, niżeli tak wyczekiwać czegoś, o czem nie wie!

Dnia jednego, gdy już pod noc wszystko się uciszyło, i wszystkie ognie po chatach pogasły, gdy sen wszystkich objął, a tylko Irena nie mogąc zasnąć chodziła po sadzie między drzewami ciężko jeno oddychając — usłyszała, jak gdyby ktoś przez *worynie* przelał... W samej rzeczy coś zatrzeszczało... Krew się w niej zatrzymała w biegu.

W tej chwili stanął on koło niej. Wstrząsła się gwałtownie całym ciałem, lecz nie wydała okrzyku, nie ruszyła się z miejsca.

— Ano, ty mnie dzisiaj nie poznajesz?

Irena patrzyła, lecz nie mogła słowa wymówić.

— Nie spodziewałaś się mnie, *mołodyco*?... Czy ty o mnie już *zabuła*?

— Ja o tobie? — odezwała się wreszcie blada, drżąc cała. — Ja o tobie nie *zabuła*... Ale ty... o mnie *zabuw*!

— A to czemu, kobieto?

— Ta czemu? — I tu spojrziała posepnie: — Ano czemu ty mówisz? — i dodała blednąc bardziej jeszcze: — Bo masz dziś inną... Ach!

I własnej myśli się przeraziła.

— Cha, cha, *durna hołowa!*... Śmieję się sama z siebie!...

— Dlaczego ja mam się śmiać?...

Patrzała w niego, jakby na pół we śnie.

— Bo czy ja jednej tamtej miałbym się już zaprzedać?... Czy ja z nią ślub brał?... Nas *świaszczennik* przecież nie wiązał, *mołodyco!*... Porwałem, bo mi się podobała... Młoda i silna... Świeże dziewczę! A ty wiesz, że Dowbosz takie lubi... Czy to jego pierwsza?... Bo czy on chłop, jak wasi w siole? On watażka! Dla niego wszystko stoi otworem. Ale ty moja najpierwsza!... Ja o tobie nigdy nie *zabuw!*...

Ona nie nie mówiła — tylko się cała trzęsła.

— To ci Stefan już dzisiaj miły, żeś o mnie *zabuła?*... Ha! skoro tak... ja ci teraz nie winien. Ale dla chłopca przecież nie rzucisz watażki, który przewodzi nad *mołodcami?*...

Jej się łzy z oczu puściły... chciała je wstrzymać, ale nie mogła.

— Et, *durna!*... po co tu płaczu?

I chciał ją objąć, lecz ona się uchyliła.

— Czy ty zdurniała?... Nie widzisz, że to watażka przed tobą stoi, który nie nauczył się prosić?... On

rozkazuje młodcom! Gdy się pojawi, drżą miasta i dwory... i dwory panów! Rozumiesz ty, kobieto?... A ty mi czynisz takie korowody? Toż on ciebie gotów teraz na prawdę rzucić!...

— Ty mnie już przecież rzucił!...

— Et, prawisz!...

— Ty jesteś takim, jako pierwej?...

— *Taż* ty moja krasawica... Ja zawždy o tobie myślał.

Tu cisnął takim spojrzeniem, że nią do głębi wstrzęsło. Czula, iż ją siła jakaś „zła“ obejmuje, której oprzeć się nie zdoła; on jej zaś nie dał przyjsć do przytomności.

I była już całkiem w jego mocy.

— Ale... ach! co ty czynisz!... Tutaj tobie niebezpieczno...

— Dłaczego, Ireno?

— Ja nie wiem... ty tutaj... Ty tutaj! Mogą cię zobaczyć!...

— Mnie zobaczyć?... I co z tego?... Ja Dowbosz!...

— Ależ... lepiej, żeby ty tu nie był!...

— Jaby się kryć miał?... a przed kim?... No, niechajby w waszym Kosmaczu podnieśli się na mnie wszyscy, moi młodcy zrównaliby całe to gniazdo z ziemią!... Cha, cha, cha... z ziemią!... Wy wiecie, że Dowbosz nie żartuje! Poznał go Bolechów, znał go i Kałusz... ta i wasz Pistryń!... Przyjdą jeszcze czasy, że i te dwory w Nadwornie, w Pistryniu, taj ten z trzema okopami kosowski, przemienią się w kupę kamieni... Klnę się, że im nie daruję!

Gdy to mówił, ona drżała... Chciałaby go wstrzymać, lecz niepodobna.

— Ale ty mnie kochasz jeszcze, *mołodyco*?...

I tu błysnął okiem, które ją do głębi przejęło.

— No, nic nie odpowiadasz?

— *Hospod' Boh*... mnie za to kochanie skarże!

— Et, durna!... *Hospod' Boh*, gdyby nie chciał tego, nie dałby mnie takiej siły a urody! *Hospod' Boh* nie pozwoliłby Dowboszowi karać po dołach miasta ich i dwory!... Toć Jego wola!... Ja przecież *chrystijanyn* dobry... Patrz! u mnie przecież *chrest* na piersiach!...

Tu jej pokazał z pod swojej *soroczki*. I dodał:

— Widzisz! pod tym znakiem ja biję innych i palę ich osady!... *Hospod' Boh* mnie to oddaje skarby wasze... one do mnie należą!

I zaczął się do niej przymilać. Potem się odezwał:

— I ty także mnie wskażesz, kędy one?...

— Czego ty chcesz odemnie?

— Czego ja chcę?... Oto mnie pokażesz, gdzie chowa on swoi *bili*, a może i *żowti*?... Ty mi je sama przyniesiesz... a jeśli boisz się, toć pokażesz... a ja ze swoimi po nie przyjdę.

I znowu się przymilił słodkim umizgiem.

— Ty chcesz... jego mienia?...

— Albo co?... Zali *Hospod' Boh* mnie na to nie trzyma?... A czy ja nie wydał teraz nie mało *hroszej* na olów, na *siekaniec*?... Nam bowiem tamto wyszło z tymi hajdukami Potockich, ta Jabłonowskich!

— Ty chcesz jego *hroszej*?...

I tu odstępowała, blednąc...

— A z czego żyć mają moi *mołodcy*?

— Ach! on nie dla mnie dziś przybył! — mruknęła ponuro sama do siebie.

— Ta, czemu odstępujesz?

W tej chwili zdawało się jej, że coś mignęło za drzewami. Instynktowo chwyciła go za ramię, chcąc na bok zwrócić. Szepnęła:

— Uchodź!... oj, uchodź!...

I była w wielkiej obawie.

— Ta dobrze, kiedy się boisz... ale powiedz mi pierwej, gdzie on je chowa?

Ona znów ręce opuściła, pomyślawszy:

— Ha! on mnie zdradza... a ja bym go miała teraz ocalać?... Niechaj się co chce stanie!...

I patrzała ponuro. Była teraz blada.

On coraz natarczywiej żądał, aby mu wskazała miejsce... ona zaś coraz bardziej posępniała... a w tej posępności było coś strasznego...

Wtem zoczyła lufę między gałęziami... I chwyciła go za ramię nieprzytomna — chcąc w bok odepchnąć... Lecz już było zapóźno...

Strzał padł... w a t a ż k a powalił się na ziemię.

— Ty... mnie... zdradziła... ty przekłeta!...

I silił się powstać jeszcze chwytając rękami, lecz upadł znowu.

— Ha, kula moja poświęcona!... *dwanajciat służb bożych* odprawiono nad nią — zagrzmiął głos mściwy, dobrze im obojgu znany...

Ona stała przerażona, w osłupieniu. Na widok męża dopiero czempredzej odbiegła, jakby „złem“ gnana.

Gazda z początku odskoczył na widok poruszającego się jeszcze w a t a ż k i, potem wznosił *puszkę* — chcąc go kolbą dobić...

— Stój!... Tyby, chłopie, śmiać?... Dowbosza?... Ta prawda! gdy zwierz silniejszy leży powalony... lada pies go szarpie...

Gazda wstrzymał się na te słowa.

— Ta co z tego! — ciągnął już słabym głosem konający. — Raz człowiekowi przychodzi umierać... Ha! żyłem... i dość się wam dałem we znaki. Ta, dość się nażyłem. Znają mnie wasze chaty i wasze dwory...

— Ale teraz już koniec temu — rzekł gazda.

— Ach! przywołaj jeszcze moich młódców — odezwał się słabszym już głosem Dowbosz. — Niechaj się z nimi watażka ich pożegna... taj każe, co mają robić... Nie bój się!... ja im dam rozkaz, żeby ci nic złego nie czynili...

— Nie potrzeba! Skoro ciebie nie będzie, ich bać się nie potrzeba.

— Nie mów tak!...

I tu oczy mu się mroczyły... Lecz jeszcze rzucał rękami, jakby chciał chwytać powietrze.

— Zadrzyj jeno nogi ty: oni wnet się sami rozlecą! Popatrz! — lecz tamten leżał już martwy.

Tymczasem na strzał wybiegło z pobliskich chat kilkoro ludzi. I wnet się zbliżyły wartownicy nocne.

On spojrział i zapytał o Irenę, a tu jeden z wartowników odpowiedział, że tam w wyrwę głęboką coś chlupnęło, jakby człowiek skoczył do wody...

— Ha! taka była jej dola! — odezwał się z ponurym fatalizmem.

Ruch się zrobił we wsi — zaczęto wstawać. Stąd i zowąd zbiegali się ludzie.

Stefan Dźwińczuk mówił prawdę: — mieszkańcy, widząc trupem watażkę, śmieiej już i bez bojaźni zbroili się na m o ł o d c ó w. Głowy dziś niema, — ciało, choćby i potężne, bez niej się nie ostoi.

\*

\*

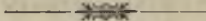
\*

Dziewczyna zaś bolechowska, gdy się o śmierci watażki dowiedziała, wżgardziwszy każdym innym z m o ł o d c ó w, którzy się do niej zalecali, uszła pewnej nocy z ich obozowiska, a błakając się czas niejaki, wróciła do domu, jako skruszona grzesznica. Ojciec jej przyjąć zrazu nie chciał, lecz matka go ubłagała — i dziewczyna weszła w dom rodzicielski, aby dźwigać ciężar pokutnicy.

Gdy się wieść rozeszła po siołach, po miastach, że straszny w a t a ż k a nie żyje — nabrano wszędzie otuchy i zaczęto się zbroić.

Powoli rozbiegła się drużyna Dowboszowa, resztę do szczętu wybito.

D o w b o s z zaś przeszedł w pieśni i podania ludowe.





---

---

# SKARB W BORZE

na tle życia ludu w górskiej dolinie Bystrzycy  
Nadworniańskiej.

---

---





## I.

Ze złomów skał na skały, z szumem a hukiem, między dwoma pasmami ciemnym pokrytymi borem świerkowym, pędzi Bystrzyca, cała rozpieniona. W wąskiej, czarownej jej dolinie, na prawo i na lewo, ciągną się niskie, drewniane, dranicami pokryte, chaty huculów, pojedynkiem, to po dwie, to po kilka razem.

Od samej, u stóp Karpat rozłożonej, Nadwórny, nieprzerwanym ciągiem rozsiadły się Pniów, Pasieczna i Zielona, wąską doliną między dwoma górskimi pasmami — niby jedna ogromna, cztery prawie mile<sup>1)</sup> ciągnąca się osada huculska. Dawnymi laty nie było tu chałup: świat był tutaj wtedy jakoby deskami zabity. Żadnej drogi!... Chyba tylko *plajem*, na górskim huculku, wiozł wieśniak swoje *berbenice*, na sprzedaż do mniejszej w owych jeszcze czasach Nadwórny.

---

<sup>1)</sup> Mila dawniejsza — nieco więcej, niżeli siedm kilometrów.

Dziś tu inaczej. Cała dolina zabudowana chatami huculów, a między temi raz po raz pojawiają się większe i bielsze domy żydów, rozsiadłych między ludem tamtejszym.

Ruch handlowy bardziej wzmógł się jeszcze, gdy w Pasiecznej odkryto obfite źródła nafty, wskutek czego wielu tu obcych osiadło przybyszów, i wieś ta, ciągnąca się przeszło milę, niemało większych otrzymała domów. Nafta, to skarbnica wielu okolic karpackich i podkarpackich!

Jakby różdżką czarodziejską zmienia ona dolę mieszkańców, daje bogactwa niesłychane, na wyższy podnosi szczebel społeczeństwa, podnosi, to zniża, bogaci i uboży, tworzy krociowych i jakby dla swej igraszki przerzuca ich potem w żebraków! Nowe rodzi żądze i nowe zabiegi przodkom nieznanne.

Między innymi przybył tu również przed kilku laty jakiś obcy, którego lud tutejszy raz uważał za mazura, bo zacinał z mazurska, to znów za Niemca, gdyż ubierał się surdutowo.

Człowiek ten przyszedł w te strony z kilkudziesięciu reńszczakami. Ale gdzie tylko wziął się do kopania studni, obfite źródło pokazywało się tam nafty. Nawet i żydzi, szukający za tym skarbem, powtarzali za chłopami, że on ma już na to „swoje“ sposoby, gdyż to patrzy mu z oczu, lub też może i ze „złem“ jest w znowie.

Nie może już być co innego, tylko to muszą być czary. Boć żyd, to co innego! ten na to jest przecież, aby robił pieniądze... ale chrześcijanin... do tego jeszcze chłop?... To już chyba *niesamowity*, jeżeli mu się same rodzą pieniądze. A stary patrzy z pod oka: idący koło

niego omijają go nawet, żeby ich się co nie czepiło, zwłaszcza gdy już po zachodzie słońca.

Ale mimo to syn Hrehorego, czarnobrewy Jurko innem wcale okiem patrzył się na chatę starego. Dla niego chata Szymonowa miała jakiś urok niewypowiedziany, gdyż wieczorami po robocie codziennej często tam stawał, nieco wprawdzie z daleka, pod starą rozłożystą gruszą, jakby na co oczekiwał. A ktoby tam go dłużej uważał, spostrzegłby, że z poza domu nieznacznie druga postać się wychyla, a krążąc nieśmiało koło chaty i z rzadka rosnących olch a jarzębin, coraz się bardziej zbliża do czekającego parobka.

I dziś tak samo, jak zawsze, zbliżyli się do siebie.

— Oj, dobrze, żeś jest, moja ty Halko, moja ty złota: boć jużem chciał odejść... Dziś będzie ciemno, a noc ma już *swoje prawo*. Koło chaty starej Ireny, mówią, że tamtej nocy coś było, jakby pod samą strzechę...

— Oj, oj, Matko Kalwaryjska! Co ty mówisz? — rzekło z obawą przestraszone dziewczę.

— Jam-ci się przeżegnał, taj poszedł swoją drogą. Anim się oglądnał. Alem tu długo dziś na ciebie czekał, dziewczyno.

— Nie można było prędeż, Jurku, bo tatuś byli się jeszcze nie położyli.

— Ale czy tylko oni się na prawdę położyli, boć gdyby zdybali, ta już ciebie a ze mną..., oj byłaby bieda!

— Tać się położyli. Ale mnie zawsze jednaki strach zbiera.

Miesiączek zaś wyjrzał z za chmury, ciekawy, a z po za świerku padł jakiś cień, lecz oni oboje tego nie widzieli.

— Jam nie głodzien ich pieniędzy... Jabym im zostawił to wszystko... Niechajby ciebie tylko w jednej

*soroczce* mnie dali. Mój *nienio* ma chatę... taj konie jego a owce pasą się na łące... Ma dość, chwalić Boga!... Nie pomrzemy z głodu. A gdyby i tego nie było — ma twój Jurko rąk dwoje... taćby zapracował.

Krasawica zamyśliła się i zapytała po chwili: — Powiedz mi, po co są te pieniądze na świecie?... Gdyby ich nie było, możeć byłoby lepiej!

(Chłopiec spojrzawszy na nią rzekł zaraz: — Oj, co prawdę mówisz, to już prawdę. Ja sam, gdy byłem jeszcze małym chłopięciem, ta pastuszkim koło domu, pamiętam, że tu nie było tyle bogactw, ani tych żydów, ani niemców. O *duczkach*<sup>1)</sup> nikomu się ani śniło. Kędy dziś niejednym dom stoi, by miastowa kamienica, wtedy tam sadziliśmy jeszcze *ripe*<sup>2)</sup>).

I jakoś chłopu było lepiej... Miał-ci bydło i konie i huk kóz a owiec, gdy dzisiaj na łąkach obce woły się wypasają... a dawny gazda służy za pastucha... Ale co ja prawie? Wszystko to Boża wola!... Gdyby nie te studnie z naftą... i wasby tu nie było obojga z ojcem... i Jurko nie poznałby swojej Halki... A teraz jemu tak dobrze: błogosławi dziś złotą dolę, że was do nas przyniosła... hej! tam z mazurów... Przecież tu wam dobrze.

Lecz w tej chwili zdało się, jakby się coś za kępiną olch poruszyło. I oboje zadrżeli. Ale po chwili rzekł Jurko: — Ej, ptak jakiś wyleciał z krzaków... Lecz czemu tak w nocy?... Et, co tam! — i dodał po chwili, jakby nic nie było: — Zali tam, Halko moja, są gdzie takie góry, jak te nasze?

1) *Duczka* — studnia, z której wydobywają naftę.

2) *Ripa* — tak zwą w tych stronach ziemniaki.

— Ot, także?... Tam kraj równy, gdzie okiem zajrzysz... i rzeki nie płyną tak wartko. Ja dobrze nie pamiętam, bom była-ci jeszcze mała, lecz tatuś powiadają.

— Aleć tam, mówią, jest huk zboża? Chleba być ma więcej?... Jabym-ci tam przez to nie chciał mieszkać... Tam musi być *skuczno* człowiekowi?... Nigdzie góry ni doliny, jak nasze! Same tylko pola a pola! Ej! tu nam będzie lepiej, moja ty złota!

I objął dziewczynę w ramiona swoje.

— Ha! Mamże was?... I wyskoczywszy z za krzaków chwycił stary za rękę usiłującą uciec dziewczynę. A zwróciwszy się do parobka krzyknął w gniewie: — O! niedoczekanie twoje, żeby ci już było lepiej, psie podły!

— *Djedku*... ja tu nie miał-ci złej myśli. I ja wam nie pies!...

— Gorzej, niżeli pies!... Ty mi się zakradasz do tego, co moje... jak złodziej... Oj, rety, rety!... Ale ty mnie nie okradniesz...

— Ja nie głodny waszego grosza... Trzymajcie sobie!... Ale ja kocham waszą dziewczkę... taj szczerze — po bożemu... kiedy już to wykryliście.

— Ale nie będziesz jej miał! Nie dla takiego, jak ty, ona. Patrzaj go, żebrak! I on po moje dziecko... po moje pieniądze? Chce mnie okraść!

I zwróciwszy się do dziewczyny, chcącej się wyrwać, dodał: — A ty teraz ruszaj do swojego domu!... żeby ci tu gości twoich...

I gonił córkę do domu rozsierdzony.

A za nim wołał Jurko: — Trzymaj sobie, stary, swoje reńszczaki! Ta one ci i tak przepadną, bo to jakby ze „złem“ w zmowie — i dalej kończył już do siebie

pomrukując: — A to jucha, stary! Nazwał mnie złodziejem. Co ja mu ukradł? *Poźdaj! Hospod' Boh* kieruje ludzką dolą. I twój grosz mazią się rozleje, bo to *did'ko* takie ci przed oczy *puska tumany*, że ty dużo *honorny*<sup>1)</sup> syna gospodarskiego zowiesz żebrakiem. Oj! biednać Halka, że ma takiego ojca... Ale ja jej nie puszcę! Oj! co nie puszcę, to nie puszcę!

A stary gnał dziewczynę do domu, klnąc coraz bardziej zastraszonej. Ha! przybył-ci w te strony z kilkudziesięciu reńszczakami, znojną może pracą gdzieindziej zebranymi, i próbował tu szczęścia, kupiwszy sobie wcale niepokazne miejsce na *duczkę*. Lecz gdy się obfite tam pokazało źródło nafty, wygrał jakby na loteryi: szczęście wpadło mu samo w ręce.

Szymon nie porzucił już potem tego przemysłu, i kopiąc studnie doszedł do majątku jak na podobnego gospodarza wcale nie małego. Dawniej na owe kilkadziesiąt reńszczaków pracował krwawo i zbierał je może z jakie lat kilkanaście, dzisiaj w przeciągu trzech czy czterech lat, bez pracy, bez trudu, doszedł do kilku tysięcy, a jak mówiono, do kilkunastu. Z rosnącym majątkiem rosła i żądza u prostodusznego niegdyś człowieka. Wiele też mówiono o skąpstwie naszego bogacza. Dziwiono się, gdzie też podziewa pieniądze, gdyż żyje, jak dawniej, po swojemu, i nigdzie nie widać żadnych rzeczy kosztowniejszych w jego domostwie. Mówiono, że gdzieś musi mieć skarb swój zakopany. A skarb musiał to być nielada, gdyż pieniądź sam mu przychodził do ręki.

---

<sup>1)</sup> *Honorny* — dumny.



Teraz goniąc dziewczynę do dom był-ci chwilami mocno zamysłony. Bo z głowy nie mogły mu wyjść słowa Jurkowe, jakby wyrzeczone we „złej“ godzinie, że mu pieniądze jego uzbierane przepaść dziś mają.

— One ci i tak przepadną?... Tak gadał?... On teraz jak złodziej będzie ich szukał.

I wstrząsł się na samą myśl, by ich kto nie znalazł. Stary nie mógł pojąć, żeby Jurka ciągnęła tutaj miłość do jego dziewczyny. On w to nie wierzył. Pewnym był przeciwnie, że to skarb jego ciągnie tu *leginia*<sup>1)</sup>, i że ten go nareszcie okradnie. Chciwość zamroczyła zmysły staremu. Drżąc dzień w dzień przed złodziejami, prawie był pewnym, że Jurko zakradł się do jego dziewczki, by ją otumanić i wyludzić od młodej, ażeby wykryła, gdzie to rodzic chowa swoje pieniądze, a potem, jednej nocy... I tu zbladł na samą myśl, że mu młodzian wynieść może skarb tak dobrze ukryty. Lecz się tem pocieszał, że on dobrze schowany, a nawet i córka domyśleć się nie może kryjówki. Dawniej trzymał pieniądze swe w chacie, lecz bojąc się, by go nie okradli lub nie zrabowali, wyniósł z domu wszystkie swoje reńszczaki, piątki i dziesiątki, dobrze pozawijane — i znalazł już sobie na to kryjówkę.

Tak rozmyślając a klnąc dziewczynie, kazał jej położyć się spać — i sam niby również do snu się ułożył.

Lecz po godzinie, gdy już był pewnym, że córka zasnęła, powstał ostrożnie z posłania, zarzucił na siebie stary sierak — i po cichu wyszedł z chaty. Przystanął jeszcze przed domem, nasłuchując, czyli też wszystko spi w siole.

---

1) *Legiń* — młodzian, parobek, u huculów.

Na niebie ciągnęły chmury, jedna po drugiej, i księżyc przesłaniały. Cisza była do koła. Tylko zdala szumiała Bystrzyca, raz po raz głośniejszym wybuchając szumem a hukiem, jakby każdy jej krok utrudniać usiłowały złomy kamieni, uparte, nieprzejednane.

Wiatr dzienny jakby również usnął i ptak żaden nawet się nie odzywał, tylko gdzieniegdzie dochodziło psów szczekanie. to rżenie koni z pobliskich połonin.

Gdy już stary był pewnym, że wszystko spi spokojnie, poszedł, przekradając się między grusze rozsiadłe po zagrodach, raz po raz przelażąc ostrożnie *worynia*, które mu ciągle w drodze stawały, i zbliżył się błoniem, zarosłem gdzieniegdzie niskim jałowcem. do podnóża pasma gęściej borem jodłowym pokrytego. Tu wychodził do góry nad urwistym, dziko poszarpanym jarem, w którego głębi huczał, to ciszej chwilami dyszał, potok z góry pędzący. Nareszcie obok znajomego kamienia sterczącego nad węższym tu już *zworem*, zboczył na lewo — i wszedł w gęstwinę, przelażąc raz po raz leżące, w dzikim nieładzie wichrami gór a piorunami poobalane jodły i świerki, próchnem się rozsypujące, to stąpając po kupach próchna omszonego z dawniej poobalanych drzewin... I tak zaszedł do miejsca, dziko nastrzępionego złomami głazów, a oglądawszy się jeszcze raz do koła, postąpił ostrożnie pod jeden z głazów i zaglądnął pod niego. — pochyliwszy się zaś z wielką troskliwością, zdawał się coś liczyć, a oblicze jego błogo się uśmiechało. On się poił widokiem tego, co tu widział!

Cisza była dokoła. Chwilami tylko przeleciał między drzewami gacek lub ozwał się puhacz leśny. Lecz ten go nie zdradzi. To stróż nocy i nocnych skarbów!

Zdaleka gdzieś w wielkiem oddaleniu słyhać było niby poryk niedźwiedzia. Ale i ten jego skarbów nie potrzebuje.

Nikogo tu nie było. Tylko księżyc wyjrzał z za chmury, ciekawy, jakby chciał razem ze starym przeliczyć skarb jego.

Lecz i ktoś drugi również ciekawy wychylił się z poza grubego świerku. Staremu się zdało, że się coś ruszyło, jakby kto nogą stąpił po suchych szpilkach świerkowych... Aleć obejrzawszy się drżący, zoczył, że to gałąź sucha na dół zleciała, i niepotrzebnie go tylko przeraziła.

— Jest wszystko — wyrzekł zadowolony i nazad tam włożył, a z wielką troskliwością i miłością pod głaz ten spojierał.

Nareszcie powstał i wyszeptał po cichu:

— Niedoczekanie twoje!... Nie okradniesz ty mnie!... On tu dobrze schowany.

A wtem coś się drugi raz ruszyło — i puhacz złowrogo mu zachychotał.

Stary się przeraził, lecz usłyszawszy tylko trzepot ptaka nocnego, poszedł swoją drogą — zamyślony jednak, dlaczego puhacz właśnie wtedy zawołał tak nagle, gdy on jakby wymawiał zaklęcie na złodzieja, za którego chciał uważać Jurka.

— O! gdyby mnie... tu... co kiedy... — I nie chciał dokończyć, a przeraził się na samą myśl — lecz się nie powstrzymał, by jeszcze nie dodać:

— O! jabym wiedział wtedy, kto to taki... Dobrze, że-ci wiem... Halka moja durna, jak zwykle dziewczka... A ty przez nią gotówbyś się jeszcze do mojego skarbu... Ależ co tam!... ona nie wie, ani żadna żywa dusza.

I odszedł spokojny.

A tam — po chwili — z poza świerku wyszedł ostrożnie ktoś drugi, przez cały czas jakby przyczajony.

I gdy księżyc raz jeszcze miejsce to oświecił, widać było człowieka. Ale nie był to kochanek Halki. Gdy ten wysmukły, by świerk młody, a krucze kędziory spadały mu na ramiona, równo jeno nad owalnem czołem przycięte, obecny tutaj zaś chłop wzrostu był niższego, ale w pasie nierównie grubszy, a gęste kędzierze w dzikim nieładzie oczy mu prawie zakrywały. I był-ci to chłop wiekiem starszy.

Stał tutaj czas niejaki... i jakby się zamyśliwał, a patrzył w stronę, kędy odszedł stary. I trzął się jakby we febrze. Nie wiedzieć, azali ze strachu, czy z chciwości?... Ha! odkrył miejsce, gdzie stary krył skarb swój drogi. Zdawał się być jeszcze niezdecydowanym. A puhacz ten sam zawołał:

— Puhu-puhu-huhuhu... na tu-u-u-u-u.

I jakby się naigrawał z obawy człowieka. Wołał i wołał zachęcając... A człowiek ów jakby nasłuchiwał.

Nareszcie zajrzał powoli pod ów kamień, a ręce mu drżały. Wiatr się zerwał złowrogi — i człowiek się cofnął jakby przerażony. Ale ciągnęło go tam strasznie... Zajrzał raz drugi — i wyjął garnek, a w nim błyszczało samo srebro, że aż oczy ślepy — i biedak dostał jakby zawrotu głowy.

Chciał nazad włożyć, jakby się obawiał, ażeby srebro nie wybuchło płomieniem i ręki na węgiel nie spaliło. Ha! tego-ci może jaki bies czarny strzeże!...

Gdy już nazad tam kładł w to samo miejsce, wpadł mu w oczy jakiś nito pakiet. Wyjął go ostrożnie

— i otworzył. Ha! zoczył cały zwitek banknotów — i zaczął dygotać jak w zimnicy. Przecierał oczy, czyli mu się nie śni to wszystko.

Lecz w tej chwili wiatr drugi raz zawiał i puhacz zawołał. Zdało mu się wtedy, że słyszy jakieś głuche nito psów ujadanie, a nad głową zdały się latać czarne nietoperze. I drzewa głucho szumiały, a szum był jakby nie z tego świata.

Po chwili jednak wszystko ucichło.

— Hej! toć czart takie *puszcza tumany*... „Złe“ się ruszyło i bieda wszelaka. Ot, dajmy temu pokój!

Lecz chcąc ów zwitek papieru nazad położyć, nie mógł go wydobyć z ręki, bo palce mu jakby zeszywniały. I nie wiedział, jakim sposobem, miasto uwolnienia z swych rąk banknotów, garnek ów nazad dostał mu się do ręki, — zanim zaś miał odejść, chciał się tam jeszcze popatrzeć. I okropnie go ciągnęło, tak, że oczu nie mógł odwrócić.

Nareszcie zdobył się na tyle siły, że się potrójnym krzyżem przeżegnał. I spokojnie złożył garnek wraz z owym zwitkiem złowrogim.

Lecz postąpiwszy dalej krokiem, zatrzymał się i jeszcze raz obejrzał na owo miejsce. I nie mógł odjąć oczu.

— Żyłeś lat tyle, Todosy, byleś zawsze biednym, chodziłeś na zarobek ze wsi do wsi, nie tylko w tych górach — a złodziejem przecież nie byleś?... — Tak ze sobą rozmawiał. Ale wnet dodał: — A czy bo to kradzież?... Wszak-ci jam to znalazł w lesie?... Tać moje... Czy to ja chodził gdzie za tem do czyjej komory?... Zali może drzwi wyłamał?... Kto tu może powiedzieć, żem ja ukradł?... Jam-ci znalazł... *Hospod' Boh* dał mnie.

Lecz tu puszczyk, jakby zawołał: — Hi-hi-hi-hi-kujwit-kujwit-ss-s-s-ss...

— Ta, gdzie mi dał *Hospod' Boh*?... Aj, jak „złe“ chychoce a syczy! Wszak-ci wiem, czyj to skarb i kto go tu schował?... To bo rzecz cudza. Ha! czyja?... Tego starego... A czy on go zarobił prawym sposobem?... Może pracą, jak ja, co nie nie mam?... Aj!... to nie grzech! To nie jest kradzież. On sam kradł... tak... okradał ludzi, biedniejszych... robotników koło jam musiał okradać... No, pewnie, że-ci okradł, skoro taki skąpy a *łukawy*... Taj musiał im odciągać z ich krwawej pracy?... A skąd ja-ci to wiem?... Pewnie, że tak było... tak być musiało. Inaczej nie miałby tyle pieniędzy. Takiemu, nie grzech przecież, odebrać! Wyśmianoby człowieka, gdyby skarb porzucił na drodze i odszedł.

Wrócił się i rękę wyciągnął pod kamień, lecz „zły“ wichur jakby zawiał i drzewa głucho zaszumiały. A on rękę do połowy już wyciągnąwszy wstrzymał ją jeszcze niepewny: — Ha! może to „złe“ jakie *puszcza* tylko *tumany*? Może to nie pieniądze?... Ej, zobaczymy raz drugi, czy one tam będą teraz?... Schylił się i wyciągnął napowrót, i ucieszył się, że to nie żadna złuda, lecz skarb prawdziwy. I trzął się cały. Lecz mniej już teraz ze strachu, a bardziej z chciwości, gdyż widok taki i cnotę w pokusę wprowadzić może. On był teraz wszystkim w gorączce. Oczy mu płonęły żarem, na skroni krople wychodziły potu, wargi drgały, a włos rozwiany w nieładzie kędzierzawy spadał mu na czoło, to lice, to oczy mu oba zakrywał. On uchodził z pośpiechem, cisnąc do piersi skarb drogi, żeby mu go co nie wydarło.

Uchodził z pośpiechem, a nie oglądał się palony namiętnością, strachem przerażony, choć zdało mu się, jakoby za nim wołało: Obróć się, chłopie! Zbierz tam... o! tam, zgubiłeś... aj, aj!... Lecz on się nie obracał. wiedząc, że to niebezpiecznie w takim się razie obracać, bo się „złe siły“ poruszyły, chcąc mu skarb ten odebrać.

— Oj, oj, oj! gwałtu!... Ratuj, bo lecę do jamy, w przepaść!... Tu się nie obrócił, wiedział bowiem dobrze, że-ci to nie żaden potrzebujący już ratunku, lecz „złe“, udające jeno płacz i lament: a gdy się nie obróci, toć się *parą rozwieje*. Ach! żeby jeno z tego boru... to już „złe“ wszelakie minie!<sup>1)</sup>

Śpiesząc rozogniony, namiętny, raz po raz leżące przeskakiwał jodły, to nogą rozmiądział w pruchno rozpadające się kłody, lub krwawił stopy o ostre na zboczach kamienie — a biegł coraz niżej — coraz prędzej...

Po niejakim już czasie Todosy zbiegłszy niżej, gdzie się bór kończył, przemyślał teraz — gdzieby się z tem jemu udać?... Gdyby go teraz tak ujrzano, myślanoby, że on ukradł, że zrabował kogo... a on-ci przecież znalazł... I gwałtem w siebie wmawiał, że to znalezione.

Do siola wracać nie może... gdyż co on tam z tym skarbem robić będzie?... Domu ni *kołyby*<sup>2)</sup> nawet swej

<sup>1)</sup> Według wyobrażeń gminu, gdy kto w nocy ze skarbem wykopany w lesie uchodzi, różne w tej porze ruszają się „złe“ siły, usiłujące skarb odebrać człowiekowi. Nieraz się zdarza, że coś za uchodzącym woła jęcząc i płacząc, wołając ratunku, aby tenże się obrócił. Lecz w takim razie nie należy się obracać, gdyż wtedy skarb zniknie. To są tylko majaki, którymi zły duch stara się omanić człowieka.

<sup>2)</sup> *Kołyba* — szałas w górach u huculów.

własnej nie ma... Wszystko, co posiada, jest na nim... W siole tem nie może przecież osiąść — ni stąd ni z owąd zakupić grunt i zacząć na prawdę jak jaki zasobny gazda gospodarować?... Nawet teraz bał się wracać do siola.

I tak przeszedłszy koło ogrodzeń chat huculskich, trzymając się ciągle z dala od mieszkań ludzkich, spostrzegł się, że mu już ani w myśli wracać do wsi — pomiędzy ludzi, co go znali jako biedaka.

Ha! dziś on pracował dzień cały — ciężko — żydowi w lesie, około drzewa — tak samo, jak wczoraj i onegdaj. Pracował cały tydzień — i skończył swoją robotę. Żyd się z nim już obrachował — odciągnął wszystko, co dawał naprzód — i co mu dziś zostało?... Miał jeno dla żyda robotę swoją nieco poprawić... Toć się wrócił w las — i dokonał, jak żyd zażądał... Taj co dziś ma?... Ot, wszystkiego kilkadziesiąt centów. Jutro przyjdzie mu do nowej gdzie komu najać się roboty. Może do *duczek*?... Znużony dziś usiadł był sobie po robocie na kłodzie, wyjął z zanadrza flaszkę, taj się krzepił — a pokrzepiony nie wiedział, jak sam usnął. Kto nie ma chaty, ten się do dom nie śpieszy. Cóż mu z tego, że usnął na chwilę — zmęczony! Za to zaś, gdy się przebudził, naniosło mu szczęście starego, co mu skarb odkrył w borze. Tak już dał *Hospod' Boh*. Dość długo męczył się i trudił na tym świecie — i co osiągnął pracą?...

Tak rozbierał w sobie Todosy, coraz dalej postępując wzdłuż doliny, omijając zaś właściwą drogę... Lecz tu krążyć musiał do koła sadyb ludzkich, idąc poza ogrodami przez *caryny* u podnóża pasma wysokiego.



Na niebie zbierały się chmury... Bystrzyca raz głośniej, to ciszej, huczała po głazach — chwilami rzucając się wściekle ze złomów na złomy kamieni — dalej pędząc niepowstrzymana.

Pasma gór na prawo i pasmo na lewo szarzało teraz większe i straszniejsze, niżeli za dnia białego.

Zali końca dziś nie będzie sadybom tu ludzkim?... On przeklinał dziś P a s i e c z n e, że się tak długo ciągnęła, jakby jej końca już być nie miało.

Miejscami przystawał, jak gdyby kogo spostrzegł nito stojącego na błoniu... Ale nie... To był tylko pień jakiś bez gałęzi — pokoszlawiony! I zdziwił się, dlaczego się teraz tak boi, skoro przecież nikt go zaczepić nie może. Zbójników po dziś dzień niema w tych górach, żeby na człowieka skąd-ci wyskoczyli. Zresztą biedaka w takiej, jak on, odzieży, nikt przecież nie napadnie.

Idąc koło figury, gdzie cd dawna miał być upior pochowany, pobladł nagle, gdyż zdawało mu się, że upior tam stoi, pod krzyżem. ogromny, ze wzrokiem płomiennym, i jakby topor czyścił skrwawiony. Na widok taki tyle jeno znalazł w sobie siły, że próbował się przeżegnać, nie zrobiwszy nawet krzyża, gdyż zaraz mu w oczach pociemniało... I pędził coraz dalej, słysząc za sobą szum nito głuchy, jakby upior ów za nim gonił.

Lecz w tej chwili wyjrzał księżyc — i upioru już nie było.

Cała teraz dolina, pasma gór wznoszące się po nad parów, zostały jakby bladym srebrem księżycy oblane. Okolica wyglądała cała jakoś smętnie, żalobnie, nito jeden wielki cmentarz, drzewa gdzieniegdzie stały jakby krzyże na grobach. Ach! czy temu siołu nie będzie końca?...

Nareszcie doszedł już do końca Pasieczny. Ale gdzie tam! Tam jeszcze jedna stoi chata... och! za nią w oddaleniu znów druga... Lecz łańcuch gór z jednej strony już niższy, a z drugiej coraz bardziej się pochyla, raz w raz więcej się oddalając. Ha! toć już Pniów niedaleko!

I szedł na otwartą drogę, ale się iść nią nie odważył, boć tędy idą wszyscy, a niezbyt już daleko stąd do miasta. Mógłby się zdybać z niejedną furą, a słysząc w samej rzeczy w tej chwili turkot kół w oddaleniu, zeszedł czempredziej na prawo, — idąc zaś łąką i przechodząc sączące się po niej strumyki zapomniał, że zaszedł w sam środek Pniowa, a Pniów nie tylko wzdłuż się rozciąga, lecz jeszcze bardziej wszere. Chcąc zatem przejść czempredziej sioło, wszedł jakby w labirynt ogrodów i ogrodzeń, należących do różnych gazdów. On Pniowa nie znał, jak Pasieczny: toż nie wiedział, że tu wszere tyle rozciąga się sadyb ludzkich. Chciał się czempredziej wycofać, aleć już nie na lewo, na drogę kołową, jeno na drugą stronę, gdzie nie mogło być gościńca, i gdzie dolina wychodziła na niewielkie wzgórze.

Tam on zdązał nareszcie, przeciskając się, to przez gęstwiny wierzb i olszyn, to przeskakując sączące się małe poniki. A ze wsi odzywały się psy gospodarskie. On spieszył się coraz prędzej, cisnąc przy sobie skarb swój. Ot, już ominął... już tutaj na żadnego może człowieka nie natrafi. Wszak do tego jeszcze i północ? O północy nikt tędy nie chodzi. A tuż w oddaleniu idzie ich aż dwóch, jakby wązką ścieżyną. Spojrzał i zoczył, że i on wzdłuż nieznaczej po nocy postępuje ścieżyny. Przestraszył się i chciał zejść na bok, a ukryć się

tymczasem. Lecz tu gęstwiny żadnej nie było. Po lewej stronie widział tylko wzgórze, a na wzgórzu mury stare, opuszczone, które dawniej z daleka tylko widywał.

Wylazł śpiesznie na wzgórze ono, chcąc się skryć za te mury. — lecz tu wchodząc zadziwił się, że przeszedł niby ogromną, wiekiem czerniałą bramę, jakiegoś może zamku, bo i coś nakształt baszty stało, przez długie lata już się rozsypującej.

Przeszedł jakby pod sklepieniem w kącie zakrzywionej bramy... a chcąc przejść czempredziej te mury, spostrzegł, że on teraz jakby na jakimś dziedzińcu obszernym, zarosłym, otoczonym ze wszech stron murem starym, poczerniałym, wśród którego sterczały nito baszty <sup>1)</sup>).

Co tu robić?... Przełęczniony chciał zemknąć, lecz słyszał za sobą jakby wchodzących tą samą bramą. Czempredziej też zeszedł w jeden z rogów zamczyńska tego i ukrył się w jakiejś dolnej, dziś już rozpadającej się celi basztowej.

— Czy i owi dwaj weszli w te mury, czy jemu tylko tak się zdawało?... Nie wiedzieć teraz!

Wstrzymując oddech ze strachu, zoczył, że w tej celi zarosłej chaszczem wysokim tam w głębi loch się jakiś otwierał, lecz bał się tam wsunąć. Został zatem na dawnym miejscu. O dawnych zamkach dziwne przecież rzeczy prawią ludzie?... Może i tu są jakie dusze zakłęte?... Strach go zdjął, gdyż teraz sama prawie północ — a północ ma już „swoje prawo“. Wszystkie „złe“ siły wtedy poruszone.

---

<sup>1)</sup> Ruiny zamku tego są tu z całą ścisłością oddane.

Księżyc ukrył się za chmury, które całe niebo pokryły. Tu zaś nic nie było żyjącego!

Oddech teraz wstrzymał, by nie dać znać o sobie... A tu się coś ruszyło, potem drugie i trzecie — i zaczęło się nawoływanie z przeciwnych sobie rogów tonącego w cieniach podwórza. Mrowie po nim przeszło, gdyż teraz nie wiedzieć, zali to nocne puszczyki rozpoczęły złowrogi swój rozgovor, lub może dwie poruszone dusze nieboszczyków?

Spojrzał na skarb swój — i przeraził się teraz, żeby ten nie przyciągnął o tej porze jakie „złe“ siły. Żałował w tej chwili, że go nawet wziął ze sobą. Wolał był raczej w borze nic nie ruszać. Odłożył go z bojaźnią na bok — i chciał niejako uciec. Lecz w tej chwili coś z lochu z pomiędzy gąszczu śmignęło i dalej czmychło... Krew w nim się zatrzymała. Ej! To-ci nie był lis? Ono tylko postać lisa przybrało. Wtem się zaśmiały puszczyki — i rozpoczął się dyabli ptactwa tego rozgovor.

Dziwił się biedak, po co tu wlaź? Wolał był już narazić się na zdybanie ludzi o tej porze. Wszakby go może nie wzięli za złodzieja? Bo czyż mogli oni wiedzieć, co on niósł przy sobie!... Tu się zatrzymał. I czemu w nim lęk się budzi, skoro on skarbu nie ukradł, jeno szczęście mu go przyniosło?... Lecz choć się silił, aby w siebie wmówić, jednak zawsze coś w wnętrzu mówiło, że to z tym skarbem nieczysta sprawa. Ha! Możeby go tu zostawić, w tem okropnem miejscu?... Lecz puszczyki znów zawołały — i wicher jakiś „niedobry“ ruszył się, bo coś przez podwórze przeleciało... i wszystkie już ruszyły się „złe siły“. Powstał teraz niby gwar, niby sejm dyabli.

Zimno mu się zrobiło, przypadł do ziemi i czuł, jak życie z niego uchodziło. W oczach zrobiło mu się ciemno, w uszach szumiało, czuł okropne osłabienie. I dalej już nie wiedział, co się z nim działo.

A tu staje przed nim we własnej postaci ten, którego imienia nie należy nigdy wymawiać, i zapytał go: — „Skąd masz ten skarb?... To nie twój! On do nas należy“. — I chwycił za garnek — i wylał z niego sam żar czerwony, a dokoła buchnęło płomieniem czerwonym by krew — i zaczęły się palić mury zamkowe — i powstał pożar ogromny.

On chciał uciekać, lecz ani rusz dalej postąpić, jakby go przykuło do miejsca! I słyszał tylko śmiech ze wszech stron i wołanie piekielne. Silił się, ruszyć zaś nie mógł z miejsca. A gdy się tak szamotał, otworzył oczy — i obudził się.

Ha! toć on tak zasnął! A tu zamczysko stoi-ci, jak stało... Te same mury, czarne, popękane, i skarb cały koło niego — nieruszony. Czuł tylko wielkie osłabienie, a pot lał się zeń ciurkiem.

— Ej! tu drzemać nie można. To „niedobre“ miejsce.

Chciał powstać i wyjść z miejsca zakłętego. Lecz sił mu zabrakło. Musiał na miejscu pozostać.

I powoli zaczęły mu się oczy kleić... Słyszał tylko do koła siebie jakiś szum głuchy i klekotanie. Ziemia jakby drgała i mury drgały. I ogromne stado przyleciało ptactwa. Ach! co to za ptactwo? On takiego nigdy nie widział. I całe chmury komarów, ale innych, straszniejszych, wszędzie do koła wirowały. I całkiem się ciemno zrobiło. Lecz wtem powstały jakieś piski... Aj, aj, aj!... Z dziur wszystkich, ze szczelin wszystkich, wychodziło tyle myszy...

i tu... i tam... wszędzie... Chryste Jezu! Co się to stanie?... Ej, czy to myszy? Bo dostają skrzydeł jakby u gacka — i coraz prędzej a prędzej gonią — podnosząc się w górę a trzepocąc. I gacki te potworne obsiadły wszystkie szczeliny murów, zaglądając tam do wnętrza... Oj, z tych myszy powstało tyle tego!... A teraz przylatują ze wszech stron krogulce, chciwe, żarłoczne. Oj, to będą jatki... Wszystko po te gacki... Aj! Aj! Jakiż tu pisk a gwar!... Krew wszędzie tryska, krew wszędzie, krwi pełno. Nic już więcej nie widać i — otworzył oczy...

A on w tej samej baszcie — i do koła stoją te same mury. Lecz tam już świt na niebie.

Powoli się rozglądął do koła — i strach go opuścił. Noc się prawie już skończyła. Już „złe“ nie ma mocy. I skarb leży koło niego — nietknięty. Ej! to były nocne majaki! Teraz z nastaniem świtu „złe“ pierzchło. Sam się sobie dziwi, że tak długo spał w takim miejscu. Drugiej nocy podobnej nie chciałby się doczekać.

Popatrzył w górę — a tam na wschodzie wązki, białawy smug mgławego światła, i ptactwa budzącego się dochodzi z dala świegotanie... Lecz nie były to już ptaki owe złowrogie nocne, mieszkające zamczyska tego, ale z drzewin pobliskich zamkowi. Wysokie, pocerniałe mury spustoszonego zamczyska i baszty, okrągłe, kątowe, rysowały się już wyraźnie.

Spojrzał na skarb, który był w nocy odrzucił — i zdawało mu się teraz, że byłby już chyba głupi, gdyby go tutaj zostawił.

Wziął go zatem ze sobą — i wyszedł z tych murów piekielnych. Przeszedłszy nazad ową bramę sklepioną, był już na zboczu wzgórza, i widział przed sobą poniżej

roztaczające się łąki i pola i ogrody i w cieniach jeszcze nocy drzemiący P n i ó w. Lecz już gdzieś skrzypiały wrota i na „dzieńdobry“ piałły kury. A na niebie smug jasny stawał się coraz szerszym i coraz jaśniejszym.

Spojrzał ku północnej stronie — a tam w mroku nocy ciemno, nieznacznie, mglily się domy N a d w ó r n y. Zeszedł szybko ze wzgórza, jakby mu dzień nowych sił użyczył — i podążył w kierunku miasta. W P n i o w i e budziło się już wszystko, i słychać było rżenie raz po raz koni i poryki bydła. Chwilami zdybywał jeszcze po drodze spiące na koniach chłopięta małe, z głową nachyloną we śnie pogrążone. Obejmowały mocno rękoma szyję końską, a gunie zroszone od nocy zakrywały ich z głową naprzód podaną.

Ale już się niczego nie lękał — i szedł dalej w kierunku północnym, a skarb dobrze cisnął koło siebie.

---



## II.

W Pasiecznej ruch był poranny. Konie pozostałe w siole do furmanki napawano u brzegów Bystrzycy, dziewczęta biegly czerpać wodę u pobliskich źródeł, z wielkim gwałtem pędzących do Bystrzycy.

Ranek z początku wróżył jasną pogodę, lecz ze szczelin gór i kotlin zaczęła powoli wznosić się *mraka* i niepowstrzymanie obejmowała wierzchołki gór. Mgły się snuły, na prawo, na lewo, ścieliły się, to znów rozwiewały.

Nareszcie *mraka* na kilku miejscach porozdzierała się i słońce wychyliło w całej okazałości. A ptactwo wesolem je śpiewem powitało.

Tylko jeden stary nasz Szymon wstał dziś niechętny, ospały, jakby nocą zmordowany.

Sny miał niedobre. Śniło mu się, że chodził po borze, między znane złomy głązów, i nie mógł znaleźć miejsca, kędy skarb swój ukrył. Chodził i szukał, lecz znajome niby głązy tak mu się mieszały, że kryjówki,



ani rusz! było odnaleźć. Zrozpaczony biegł od jednego głazu do drugiego, i tu jakby go *błąd* wodził. Potem się sen zmienił... I zdało mu się, że stał koło jego chaty czarnooki Jurko, patrzył nań szydersko, i groził mu, że go czeka wielkie nieszczęście. Stary się zamachnął na niego, by odbić biedę, lecz *łegin* podniósł rękę — a on stanął nie mogąc się ruszyć z miejsca.

Gdy się obudził, uczuł zimny pot na skroni, i zaczął długo przemyśliwać, co ten sen oznacza... Zjawienie się w nocy *lubasa*<sup>1)</sup> Halki, nie dobrze mu wróżyło, a tam znów skarbu swego nie mógł odnaleźć. Czyżby ten człowiek nastawał dziś na skarb jego?... Chciał się zerwać i pobiedz do boru, aby zaglądnąć, co się dzieje z jego skarbem, — ale się wstrzymał, gdyż w dzień tam biedz nie uważał za bezpieczne. Mogliby go wytropić. Wszak zawsze chodził tam o zmroku lub bardzo wczesnie przed świtem, gdy niewielki dawał się jeszcze słyszeć ruch w siole. A tu dziś wstał później. Dawno już było słońce weszło. Należałoby zatem przeczekać do nocy.

Halka miała również noc niespokojną. Śniło się jej, że uciekała gdzieś ze swym czarnookim chłopcem, a ojciec ich gonił z pałąką wielką, nareszcie dogonił — i kochanka zabił. A ona zawodziła nad zabitym.

Gdy wstała, przeraziła się, gdyż sen ten niedobrze jej wróżył. Ona była pewną, że coś się stanie między jej ojcem a kochankiem.

I poszła smutna a utroskana czerpać wodę u bliskiego źródła, lecz na bok odłożyła konewkę, i tylko się zadumała. A nad nią żalno świegotały ptaszki ukryte w ga-

---

1) *Lubas* — tak zwą huculi kochanka.

łęziach pobliskiej czeremchy, i wilga odzywała się z pobliskiego boru. Dziewczyna jasnowłosa patrzyła się w wodę, bystrą, a spieszącą się po kamykach do większej Bystrzycy, — lecz jej nie czerpała, dumając ciągle, że się coś złego stanie, gdyż sen taki nie przychodził daremnie.

Na halawy leśne wychodzili kosarze, z bliskich połonin odzywały się głosy *bouharów*<sup>1)</sup> i *kozarów*<sup>2)</sup>, ze stoków gór pokrytych borami dochodził stuk rąbania — a ona tu stoi i nic nie robi. Wzięła zatem konew do ręki, zaczerpnęła czempredziej wody świeżej, źródlanej, i do dom pognęła.

Wróciwszy z wodą zastała ojca nader niespokojnego. Gniewał się i zżymał, dlaczego tak długo bawiła. Nareszcie kazał jej nie wydalac się z domu, gdyż idzie tylko do trzeciej stąd chaty i niebawem wróci.

Ale stary wcale nie myślał iść do trzeciej stąd chaty. On się dalej wybierał; bo miał zawsze zwyczaj, mówić co innego, a co innego robić. Toż i teraz nie mógł dać się domyśleć córce, w jakim celu wychodził.

Sen bowiem nocny, pełen jakiejś wróżby dlań niedobrej, nie dawał mu spoczynku. Coś go czekało z *lubasem*, i drżał na samę myśl, żeby się co nie wydarzyło z jego skarbem.

O! wtedy byłby już bez litości! Trudząc się myślami i dręcząc poznał, że niepodobna dziś mu dotrwać tak do zmroku wieczornego; postanowił zatem pójść zaraz i zaglądnąć, czy wszystko tam, jak było wczoraj, jak onegdaj.

---

1) *Bouhar* — pastuch od bydła rogatego.

2) *Kozar* — pastuch od kóz.

Wyszedszy więc z chaty skierował się naprzód w inną stronę, niżeli tam, dokąd pójść zamierzał.

I tak idąc wzdłuż chat przełaził *worynia* różnych gazdów, nie witany przez tych, co go zdybali, przerażeni nawet ponurym jego wzrokiem. Nareszcie gdy *plaj* prowadził bliżej boru, a drzewa go i z prawej i z lewej strony zasłaniały, zboczył nieznacznie w gęstwinę — i tam już niewidziany skierował drogę swoją ku miejscu znajomemu.

Szedł teraz z pośpiechem przedzierając się przez gąszcz boru, gdyż tędy nie wiódł już *plaj* żaden, wdzierał się sapiąc a dysząc na zbocze tu bardziej strome, przełaził zawadzające mu raz po raz kłody omszone, przegniłe a tamujące mu drogę przez swoje sterczące, by ogromne kolce, poschłe już gałęzie — i tak drapał się coraz wyżej a wyżej, krwawiąc sobie ciało i szarpiąc na sobie odzież.

Chwilami zaś nie mogąc iść już dalej, przystawał sapiąc głęboko i ocierając obfity pot z czoła, — lecz po chwili znów się zrywał i drapał wyżej a wyżej.

Nareszcie wszedł w gąszcz inną i natrafił na *plaj* mu znany, bardzo nieznaczny, gdyż mało kto tędy chodzi, *plaj* ten, prawie niewidoczny, gubił się, i nie łatwo było go odszukać. Lecz mieszkańcy gór znajdują go zawsze, to po jakim śladzie, to po nawozie bodaj kozy. Nasz stary chociaż zrodzony na równinach, jednak tutaj mieszkając, obył się już z górą tak, że umiał kierować się jak hucul rodowity. Prędko też znalazł ścieżkę zgubioną. Ależ tu postąpiwszy kroków parę nagle przystanął, gdyż naprzeciw niego tą samą ścieżką szedł sobie kum niedźwiedź, który zoczywszy człowieka również przystanął... Stary zbladł nieco chwając się, co tu teraz począć, zdybawszy się z niemiłym takim gazdą lasowym. Lecz bał się

zawrócić, ażeby *mysio* tego nie wziął za ucieczkę, i nie dostał ochoty pójść za człowiekiem. Wiedział bowiem z opowiadań tych, co w podobnym znajdowali się przypadku, że w takim razie należy iść sobie dalej, jakby się kuma nie uważało: więc i on ruszył się naprzód, a *mysio* tak samo postąpił parę kroków... Ha! nasz stary znów stanął — i zwierz sobie stanął. Co tu robić?... Chyba zejść w krzaki? A nuż *mysio* dostanie ochoty i pójdzie za nim, taj położy mu na plecy łapę swoją?... Ba! gdy-ci ją potem odejmie — podziękuj wtedy za jego pieczyoty, gdy przyczepi się do niej kawał twojego mięsa!... A więc tutaj się nie ustąpić! Niechaj bury jegomość zejdzie sam z drogi! Lecz w tej chwili przypomniał sobie, co tam było raz ze śmiałym Jantoszkim, gdy spotkał mrukliwego kuma. Jary parobek nie chciał mu się ustąpić, jakby nie wiedział, że niedźwiedź ma siłę dwunastu chłopów<sup>1)</sup>, jak mówią starzy, — szedł przeto prosto na niego z kosturem, aby sobie utorować drogę; lecz jak-ci się oba porwali za barki, chłop z niedźwiedziem, w jednej chwili chłop był na dole a niedźwiedź na nim gnąc go całem swem cielskiem. Chłop ryczał z bólu, i nie mógł się z pod zwierza wydobyć, a ten mu tylko łapę położył na głowie, tać niby głaszcząc... Ha! nie wiedzieć, coby się już stało z jarym parobkiem, gdyby się w pobliżu nie był zjawił gajowy ze strzelbą! Ten wystrzeliwszy w powietrze *mysia* odegnał, który nie lubi wystrzału i ma respekt przed podobną sztuczką człowieka. A gdyby go był trafił kulka, gorzejby było, gdyż zraniony.

---

<sup>1)</sup> Według wyobrażeń u huculów, niedźwiedź ma mieć siłę dwunastu chłopów.

przeciwnik rozsierzdziłby się za podobne przywitanie... Ale i tak krasny parobek wyszedł niecało z pod swego zapaśnika. Ten bowiem odjąwszy łapę zdarł mu skórę z głowy ze wszystkiem gęstem jego kędzierzem, tak, że uwisło z tyłu by czapka spadająca. I tak zostawił prawie do połowy nagą czaszkę jaremu parobkowi. Lecz mu jakoś potem zeszyli na łbie skórę, która zrosła, chociaż już miejscami włos wylazł, i młody chodził na przyszość z łysiną w kilku miejscach.

Tak przypomniał sobie stary... Ba! Ale on nie głupi doprowadzić do takiej hecy! Wolał też raczej zejść już *mysiowi* z drogi, ostrożnie cofając się w bok, udając, że mu tamtędy przypadła droga, — ale oczy miał zwrócone na zwierza, który widząc to postępował dalej swoją drogą, lecz łeb swój ciągle miał zwrócony na człowieka i wzrok jakby w niego wbity. Ten patrzył i ów patrzył. I tak idąc zeszyli sobie z drogi.

Skoro zatem stary uszedł niebezpieczeństwa, pośpieszył czempredziej w swoje miejsce — i wkrótce zziązany, strudzony, był już między znajomymi złomami głazów.

Poskoczył czempredziej do swojej kryjówki, nachylił się — i zaczął szukać rękami.

Lecz w tej chwili, jakby skamieniał. I pot zimny wystąpił mu na czoło.

Przecierał oczy, czyli nie spi przypadkiem... Ale nie! To straszliwa jawa — i on poznał, co się stało.

Ha! sen się sprawdził. O! teraz pewny, że to nikt inny, tylko ten przekłety Jurko okradł go — zrabował. Wszak we śnie mu groził, że się coś stanie. I dokazał swego. Och! teraz czempredziej dognać zbója i odebrać mu skarb swój drogi!

Biegł na dół, jak szalony, przeskakiwał kłody i tamujące drogę głazy, nogi mu się trzęsły, i raz po raz upadał, lecz się zaraz dzwigał i staczał już na dół — niepowstrzymany... A włos jego siwy latał rozwiany, i pot ciekł kroplisty, a w oczach jego rozżarzonych wrzała rozpacz i zemsta. Kiedy padał, krzyczał i jęczał i lzy mu się lały z oczu krwawe. Niedolą swoją jakby groził wszystkim i wszystkiemu! Gdyby teraz miał się ze siólem całem chwycić za barki, Jurka wyrwie z pośród nich, i za włosy wywlecze, a zmusi wskazać, gdzie skarb jego ukrył!

I tak zbiegając szybko na dół, zziajany, skrwawiony, z włosiem siwym rozczochranym, pędził przez łąki jak szalony, przelażąc *worynia*, jakoby wściekły... Zdybujący człowieka tego sądzili, że dostał napadu szaleństwa, napawszy się *ziela denderewa*, lub go „niedobry“ może wicher podwiał.

Przebiegłszy tak kilkanaście ogrodzeń wpadł straszny, obłąkany, na podwórze ojca Jurkowego, który sobie zupełnie spokojny naprawiał coś koło wozu.

Spostrzegłszy ten starego Szymona, przerwał robotę — i wypatrzył się na niego. Lecz ów zaledwie zdołał wymówić: — Gdzie ten zbój... ten wisielec wasz?...

— Czyś, stary, zwaryował?... Kogo ty tu szukasz?...

— Kogo? kogo?... Tego zbója, co mnie zrabował, okradł, zabił?... Gdzie on teraz?

— Kto taki? — ozwał się gazda już niecierpliw.

— Kto? — jąknie — Ten... ten... I nie mógł dokończyć. Potem krzyknął: — Ja go wsadzę zaraz do kryminału!... Niechaj mi odda! Niechaj zaraz pokaże, gdzie ukrył.

— Kto ukrył? Co ci ukrył?

— A ot, idzie! — I skoczył wraz na nadchodzącego Jurka, którego ojciec gotował się już do drogi. Skoczywszy na *leginia*, chwycił go za gardło wołając: — Oddaj, coś wziął!

— Co ja wam wziął? Odczep się, biedo! — I zrzucił ze siebie starego, że ten aż zatoczył się na ziemię. Lecz wnet powstawszy, napadł Jurka napowrót, krzycząc i jęcząc: — Zbóju! złodzieju! Oddaj!... Ja cię wsadzę do kryminału, do ciemnicy! Zegniesz!

Jurko się przeżegnał, aż stary zbliżył się Hrehory:

— Co ci tam? Co chcecie od chłopca mojego?

— On mnie okradł, zabił, zrabował!

— Kto? Chłopiec mój?

— A tak, on! Wyście nie wiedzieli. A on mnie całkiem zrabował!

— Co?... Ja ciebie zrabował?... Zwaryował stary.

I znów się *legiń* przeżegnał.

— Aj! słuchaj! Ja ci daruję... Tylko mi pokaż, gdzie ukryłeś. — Zaczął teraz błagać, prosić, a potem znowu krzycheć i grozić.

Nareszcie na tem się skończyło, że go obaj, ojciec ze synem, wyrzucili z podwórza ze złości się pieniącego.

Za chwilę znów powrócił, i próbował w rozpacz swej wejść z nimi w układ. A gdy to nie pomogło, postanowił, krok w krok chodzić za Jurkiem i mieć *leginia* na oku zdaleka, niewidziany: gdyż sądził, że-ci on skarb gdzieś ukrył tymczasem, ale przecież musi do niego zaglądnąć — a wtedy chwyci go na uczynku.

Bił i dręczył nawet dziewczynę swoją, aby z niej wydobyć, zali kiedy *lubasowi* nie wskazała kryjówki.

wytropiwszy już ślady ojca swego. Lecz zdziwiona dziewczyna zaklinała się na wszystkie świętości, że o niczem nic nie wie, i że nawet się nie domyśliwała, by ojciec gdzieś miał co zakopanego.

Nareszcie gdy już nic nie pomogło, a obaj, ojciec ze synem, upierali się przy swoim, postanowił stary użyć nareszcie Sądu. On musi przyjść do swego a Jurka wpakować do ciemnicy! Niechaj tam skapie! Będzie wtedy dlań zemsta!

Poszedłszy zatem do miasta, wrócił od jakiegoś pokątnego pisarza, z tym dodatkiem, że potrzebuje koniecznie dowieść świadkami. Wypada więc znaleźć takich, coby to widzieli.

Szukał też i wypytywał się, opisując dzień i godzinę, kiedy Jurko iść miał w kierunku wiodącym do kryjówki onej w borze. Wmawiał nawet w ludzi, lecz niepodobna było co zrobić: nikt bowiem nie widział.

Nareszcie przyszło mu na myśl, że skoro sam jest pewny, iż to nikt go inny nie okradł, jeno *lubas* jego dziewczki, może przeto dziś podać jakichbądź świadków, którzyby to widzieli; oni mogą mimo to przysięgnąć przed Sądem z czystym sumieniem, gdyż on im, na swoją duszę, na swoje zbawienie, zaklnie się, że to szczerą prawdą. Wszak sam był o tem mocno przekonany?

Udał się zatem do jednego z robotników od jam naftowych, o którym wiedział, że zwabiony groszem przyjmie na siebie rolę świadka — i złoży przysięgę; a to tem bardziej, gdy go na swoje sumienie zapewni, iż złożywszy świadectwo nie popełni krzywoprzysięstwa, gdy to szczerą prawdą. Ten zaś wszystkie dni tygodnia roboczego czerpał w pocie czoła kipiącą, otumanioną



i pijany gazami wydobywającymi się z głębi studzien, w sobotę znów zaś i niedzielę zarobek całego tygodnia zostawiał w karczmie, — dał się przeto dość prędko przekonać wymową i groszem starego. Tak samo znalazł i drugiego paryasa od *duczek*, odartego pijanicę, którego moralność dawno już w wódce zatopiono. Ten nawet wiele nie stawiał trudności, wcale do roztrząsania sumienia swego nieprzyzyczajony.

Zawiódł zatem do Sądu dwóch świadków. Ci też mieli zeznać, że na własne oczy widzieli — i to jeden z nich, jak Jurko szedł owej pamiętnej nocy do boru wskazanego, a drugi, że nawet na własne oczy widział, jak *legić* skarb z pod kamienia wyjmował.

I zostało popełnione krzywoprzysięstwo.

A przyczyną onego — nędza i ciemnota. Skarby ziemi wcale nie przyniosły tu błogosławieństwa ludowi temu, lecz pomnożyły tylko liczbę zbrodni.

Syna teraz Hrehorowego powleczono do kaźni. Został zasądzony, jako zbrodniarz. A własny rodzic, przekonany dziś o winie haniebnej syna, wyrzekł go się, nie mogąc tego przenieść, że syna ma w kryminale.

Tylko jedna Halka pozostała kochankowi wierną, jak dawniej. Ona jedna nie dała się niczem przekonać — i wierzyła w jego niewinność.

Znękana i zrozpaczona, z gorzkiemi łzami udała się do Mateńki Bożej, ażeby raczyła się nad nim zmiłować i wykryć niewinność jego.

Stary zaś chodził roznamiętniony chciwością a zemstą — i szukał po omacku skarbu, ukrytego przez jęczącego w więzieniu kochanka swej córki.

I wśród ludu spokojnego, trudniącego się dawniej chowem bydła i splawianiem drzewa, musiano odkryć obfite źródła nafty!

Źródła te w innych krajach, dają błogosławieństwo mieszkańcom swoim, przyczyną są ich przemysłu i lepszego bytu, — tutaj przeciwnie pomnożyły tylko liczbę zbrodni, zrodziły nowe jej rodzaje! Dały jednym bogactwo bez pracy, od razu, jakby na wygranej loteryjnej, innych przy pracy ciężkiej, podziemnej, doprowadziły do nędzy fizycznej i moralnej; lud pracowity doprowadziły do stanu zbydłęcia! One zrodziły w górach i na podgórzu nową nieznaną dawniej klasę paryasów!

---



### III.

Płyną wody Dniestru. Po świetle księżycy nito olbrzymie mury wznoszą się dwa pasma. Lecz wyszedłszy na jedno lub drugie poznasz, że to nie są góry, ani skały... jeno brzegowiska jaru Dniestrowego, pokryte do samego wierzchu ciemnym lasem.

Głucho szumią wody, nikogo tu nie widać, cisza i samotność do koła. Ale tam pod krzakiem, u samego brzegu rzeki usnął jakiś człowiek, sam jeden w tem samotnem ustroniu... Tam na skrócie stoki skaliste brzegowiska, w biały dzień czerwone, teraz stoją szare.

Spiący się ruszył, powstał i patrzy, jak nurty płyną Dniestrowe. On zdawał się jakby nasłuchiwać... Był to nasz Todosy. Ale inaczej dziś wyglądał... Odzież na nim porządniejsza, boć to nie jest już ów zarobnik dzienny w stronach karpackich, co przed kilku jeszcze miesiącami w Pasiecznej drugim się wysługiwał: dzisiaj on dostatni gospodarz. Zaszedłszy niedawno w strony, gdzie głęboki, malowniczy jar Strypy spływa z głębszym jeszcze,

okazalszym rozworem Dniestru — kupił sobie grunt i gospodarstwo, i zaczął się lepiej zabudowywać. We wsi tutaj podolskiej nie znano jego, nikt nie wiedział, skąd przybył i jaka była jego przeszłość; wiedziano tylko, że przybył z gotowymi pieniędzmi, kupił sobie gospodarstwo i osiadł między sobie obcymi.

Z wielkim pośpiechem wziął się do pracy i zagospodarowania. Lecz widywano go, jak nieraz stawał ponuro zamyślony, w jakichś dumach niby ugrzęzły, a kiedy się ocknął, robota już szła mu niesporo.

W dzień jeszcze było mu jako tako, ale w nocy wstawał nieraz, jakby spać nie mógł i brał się do roboty.

Dzisiaj tu usnął nad brzegiem Dniestrowym. Czemuż więc oddalił się od domu i tutaj położył, w tej dzikiej skalistej okolicy?

Gdybyśmy do wnętrza jego zajrzeli, pokazałoby się, że to ten sam niepokój i teraz wygnał go tutaj, nad brzeg Dniestru. Podobnie jak nieraz wyszedł on i dzisiaj, zali się przecież nie zdybie z jakim spławem lub galarami ze stron innych, gdzieby mógł od ludzi zaczerpnąć jakiej wieści o Pasiecznej — niepoznany.

Od czasu, jak uszedł z owym skarbem, nie wiedział, co się tam działo we wsi owej... Ach! on nawet z początku unikał wszelkiej o niej myśli, jakby usiłował zapomnieć, że tam był niegdyś. Lecz sny miewał złowrogie. Zawsze mu się coś śniło o stronach tamtejszych. Raz widział we śnie, jak płonęły bory na górach, a on uchodził gnany przez ludzi tamtejszych, za nim wołających, że to on je podpalił a teraz umknąć usiłuje. Innym znów razem zdawało mu się, że Bystrzyca wezbrana całą zalała dolinę, a chaty huculskie stały do połowy już

w wodzie: jedna zaś chata, którą znał dobrze, porwana prądem wody płynęła coraz dalej, coraz prędzej, a na dachu dranicowym siedział stary Szymon ze swoją dziewczką, wołając ratunku! Wtedy on przyłynął na jakimś brusie, chcąc ich dwoje ratować... ale nie śmiał, bo stary okropnym spojrzal wzrokiem, jakby chciał mówić: — Okradłeś nas, zrabowałeś!... a teraz ratujesz?... Ona zaś wyjąknęła: — Zabijeś mi kochanka! Zabij i mnie! — I zaczęła zawodzić wielkim lamentem.

Te i tym podobne sny nie dawały mu spokoju: on przeczuwał, że się jakieś nieszczęście stać musiało w Pasiecznej, którego on jest winą. Niepokoiło go, co się też ze starym stać mogło, kiedy już nie znalazł skarbu swego. Może się z rozpaczy obwiesił, a dziewczka jego została sierotą?... Może ona miała kochanka, a ten ją opuścił, gdy stary nic już nie posiadał... nieszczęśliwa zaś z rozpaczy w wodę skoczyła?...

Niepokojony takimi myślami wychodził nad brzeg Dniestru, czyli kogo nie zdybie na *splawach*, coby mu jaką taką wieść przyniósł o Pasiecznej i o znanym sobie Szymonie. Musiał zaś czynić to bardzo ostrożnie, aby się nie zdradzić.

Przepływały raz po raz *splawy* i *galary*, lecz choć znano wieść tę górską, jednak nie mógł się on właśnie tego dowiedzieć, o co mu najbardziej chodziło.

Dreńczony tak ciągle i nękany we wnętrzu swoim, postanowił nareszcie sam wybrać się w drogę, a niepoznany zbliżyć się w tamte strony — i naocznie przekonać, co tam się dzieje, zwłaszcza w chacie starego.

I tak jednego dnia równo ze świtem wybrał się w drogę.

Przeprawiwszy się przez Dniestr, szedł południowym jego brzegiem. Wysokie tutaj brzegowiska, nito skały, ścisnęły rzekę, to się znów pasmo północne obniżyło, gdy za to południowe jeszcze bardziej się wzniosło w górę, ubrane w szatę czarnych lasów. Gdzieniedzie znów zniknęły drzewa po zboczach brzegowiska — i tylko nagie sterczały głązy; miejscami zaś mały potoczek, ledwie dojrzany, wyłobiwszy sobie jar ogromny dla siebie, przypadał do Dniestru, rozszarpawszy wysoki brzeg łóżyska strumienia większego.

Ale wszystkich tych czarów przyrody Todosy nie widział. On szedł ponury, własnym dumom oddany, chwilkami jakoś się łękliwie poza siebie oglądając. Nieraz nawet, zdybawszy idących, chciał ich pozdrowić dobrem słowem; lecz zaledwie wymówiwszy: „Niechaj będzie pochwalony Jez..“, nie mógł dokończyć, jakby imię Zbawiciela, przezeń wymówione, było świętokradztwem. Czasami zabrakło mu jakby sił do dalszego pochodu. Wtedy stawał i chciał się nazad zawrócić, lecz siła go jakaś niepojęta naprzód gnała.

Zdawało mu się, że inaczej nie będzie mógł dokończyć rozpoczętych zabudowań, jeśli się sam nie przekona naocznie, że sny jego były tylko marą.

I tak idąc zaszedł już pod wieczór do szerokiego skrzyżowania Dniestrowego, gdzie się nad północnym brzegiem strumienia długim szeregiem rozciągały chaty wsi Łuki. Szedł wąską ścieżyną u podnóża stromego brzegowiska południowego: a z północnej strony długim szeregiem płonęły światła z chat wieśniaczych, jedno po drugim, nieprzerwanym ciągiem, a drugi szereg światel, pierwszemu podobny, płonął tak samo w głębinach już Dniestru.

W niektórych zaś miejscach ściana brzegowiska wznosiła się prawie prosto od samego Dniestru, że tylko z trudem mógł przejść tamtędy.

On radby teraz odpocząć, w której z chat pobliskich, lecz coś go przestraszało, jakoby się obawiał spokojnego ogniska dobrych ludzi. Szedł zatem dalej nocą, a brzegowiska coraz stawały się straszniejsze i ogromniejsze.

Nareszcie opuścić musiał brzeg Dniestru, gdyż droga dalsza wiodła już przez pola i lasy. Uszedł tak z godzinę, poczem znużony usiąść musiał — i sen go objął. Lecz sen to był niespokojny. Raz wraz się budził, i zasypiał znowu, a zdawało mu się, że on dalej idzie, gdy tymczasem leżał we śnie głębokim.

Nie doczekawszy rana wstał zmoczony nocną rosą — i szedł dalej przez pola, lasy i wzgórza, aż doszedł nareszcie do drugiego skrętu Dniestrowego<sup>1)</sup>, gdzie się rozciąga wioska Dolina.

Słońce już wstało i ozłociło czerwieniejące skały tego skrętu dziwnej piękności. Skały z czerwonego piaskowca stały nad wodą prosto a równo, jakby mury z jakichś ogromnych cegieł. Prześliczny to skręt Dniestrowy, a teraz ozłocony światłem słonecznym jeszcze cudniej wyglądał! Nawet Todosy spojrział w zadziwieniu na tę krasę przyrody — i coś jakby uroczystego obudziło się w jego piersi, gdyż zaczął po cichu szeptać pacierz... I zdawało mu się, że byłby szczęśliwszy, gdyby mógł ulżyć sumieniu swojemu!

---

<sup>1)</sup> Okolice jaru Dniestrowego odmalowane tu wiernie z natury.

Teraz znów po drugi raz opuścić musiał brzegi Dniestru, a przechodząc okolicę nader żmudną, wzgórzystą i lesistą, raz po raz debrami poprzerewaną, doszedł do Koropca, gdzie zastał *splawy* tu odpoczywające; wszedłszy zaś ze sternikami w rozmowę, próbował się dowiedzieć, co zamierzał właściwie — lecz to go wcale do celu nie zawiadło. Przeprowadził się tylko na lewy brzeg Dniestru i szedł dalej. Znużony zaś drogą, tak trudzącą, musiał odpocząć.

Posiliwszy się nieco z własnej torby, a ciągnąc dalej pod wieczór zaszedł do Niżniowa, gdzie mu się miała już kończyć droga w kierunku Dniestrowym.

Przeszedł wielki most, a dalej wiódł już gościniec murowany.

Niżniów rozsiadł się w głębokim jarze spływającym do jaru Dniestrowego, a ze wszech stron wznosiły się wzgórza: miescina ta przysiadła sobie tutaj w kotlinie.

Todosy, nie chcąc nocować w mieście pomiędzy ludźmi, przeszedł czempredziej Niżniów i udał się na gościniec wiodący w kierunku do Stanisławowa.

Uszedłszy z godzinę musiał znów wypocząć.

Zalewie usnął nieco, roje marzeń sennych opadły go, jak chmara ómów nocnych i kęsających komarów... Przebudził się i powstał niby... jakby szedł dalej swoją drogą: lecz to mu się tylko śniło. Strudzony drogą i niewyspaniem zasnął głęboko, ale się we śnie zrywał i jęczał i na głos mówił.

Nakoniec się zbudził na prawdę rozglądając uważnie do koła, jakoby się dziwił, że to był sen tylko. A tam na wschodzie szarzał już na poły jaśniejszy smug światła, lecz do koła jeszcze ciemność całe niebo pokrywała.



Zimno mu było, odzież jego jakby zmokła i kędziory były mokre od rosy nocnej... Trząśł się ze zimna, lecz musiał wstać i zebrać się do dalszej drogi. W krzakach budziły się ptaszki z urywanym świegotem, napół jeszcze senne. A na wschodzie smug światła stawał się coraz wyraźniejszym.

Zapowiadało na pogodę. Ale w piersi jego nie było pogody. Czem więcej już się zbliżał do celu drogi, tem bardziej ponure opadały go myśli i czuł głośniejsze serca bicie. Zdawało mu się, że niegdyś jako dzienny najemnik, z dnia na dzień pracujący na zrębach lasowych, to schodząc do jam głębokich, naftowych, spokojniejsze miał sumienie: żadna wtedy krzywda na nim nie ciążyła... On nikogo nie okradł!

Co? okradł... Aż on się włamał gdzie do komory lub rozbijał kłódki ludziom?... Choć się silił wmówić w siebie i przytłumić głosy wewnętrzne, jednak nękające myśli, by roje robactwa, raz po raz wychodziły nito z bagniska złego sumienia — i obsiadały pierś jego, gryzły go i męczyły...

A tam na niebie smug światła, jasny, świetlany, coraz więcej przechodził w barwę czerwoną, płomienną... Nareszcie pół nieba oblała zorza czerwona by krew — i żarem swoim dosięgła krańców dalszych już obłoków. Todosy patrzył w górę i zdawał się chcieć wyczytać, co mu to wróży... A czerwien płomienna przechodziła na niebie nito w miedź roztopioną.

Murowanym gościńcem sunęły to bryki cięższe, to wozy ze zbożem, lub dążyli pojedynczy pieszo. Todosy chciał chwilami zaczepić którego i czegoś się wywiedzieć, lecz sił mu nie stawało, jakby się lękał, aby go nie

poznano. Otwierał już usta, ale wnet w piersi jego zaczynało bić niby młotem i oddech mu się zapierał, tak, że słowa niedomówione nazad w gardle grzęzły.

Na niebie zaś coraz się więcej rozjaśniało. Żar ów miedzi coraz bardziej blednął... już nawet znikał z dalszych obłoków, coraz bardziej blady, i coraz bardziej nieznacznym... nareszcie jakby się rozplątał — i wystrzelił pierwszy promień na wschodzie, a ptaki powitały go radosnym świegotem. Za nim wystrzelił drugi i trzeci — i wychyliło się słońce w całym uroku, — a wszystko, co żyło w przyrodzie, powitało je hymnem wesela! Drzewa zaszumiały rozgłosnie, i ptactwo uderzyło w hymn szczęścia a radości!

I człowiek ukłękawszy tu pierwszy raz w swej wędrówce zaczął się modlić głośno do Stwórcy, żeby się raczył zmiłować nad nim i ulżył już jego sumieniu!

Krocząc coraz raźniej i coraz dalej — przeszedł już Stanisławów, okrążywszy go dokoła błoniami po nad Bystrzycą. Tu się zatrzymał nad tą rzeką i smutne go myśli opadły. Spojrzał na miasto, a nad miastem zbierały się ze wszech stron chmury, i ogromna, czarna by sadza, ciągnęła z zachodu, a ptactwo wystraszone uciekało w swoje nory. Po nad rzeką lotem strzały dotykając się prawie wody przelatywały jaskółki — i cała przyroda stała jakby zalękniona. I on cały stał przerażony, oczu nie mogąc oderwać, bo zdawało mu się, że w tem miejscu coś mu wróży niedobrego, mimo to coś go ciągnęło.

W powietrzu rozlana była jakaś posępna rozpacz. A gdy chciał iść dalej, coś go jakby nie puszczalo. Musiał stać i patrzeć na miasto, co miało się niejako pogрузić w ciemnię chmur. I raz po raz przelatywały błyskawice.

On się przeżegnał potrójnym krzyżem — i odszedł gwałtem tylko oderwawszy się od miejsca. A wicher za nim zahuczał ponury. On słyszał jakby głosy złowrogie, wyjące:

— Kędy idziesz... tu stój... tu stój!

Lecz on dalej śpieszył niepowstrzymany, a wicher coraz gwałtowniejszy huczał i ogromne krople z rzadka już padały, pojedynkiem jeszcze, jakby wielką tuczę zapowiadając.

Powoli zaś burza ta straszna, gwałtowna, rozbiła chmury — i tucza poszła dalej. Ale on nie śmiał spojrzeć na miasto za sobą pozostawione i nie wiedział, dlaczego tu mu było najgroźniej. Zali tutaj jego przeznaczenie?

Uszedłszy z pośpiechem mil parę, jakby siłą jaką gnany niepowstrzymaną, zdybał dziada hucuć w góry wracającego.

— Niech będzie pochwalony! — pozdrowił go dziad z białą do pasa brodą.

— Na wieki wieków — odrzekł on ciszej.

— A gdzie to droga wiedzie?

— Ot, idę na Węgry — skłamał z obawy Todosy.

— Na Węgry?... Toć droga nas obydwóch w jedną stronę wiedzie.

— A gdzież bo wy idziecie? — wymówił lękliwie.

— Ot, jak dziada prowadzi — do Pniowa, taj do Pasieczny... Tam dobrzy ludzie. Tać nie puszcza starego.

Na słowo Pasieczna pobladł nasz podróżny, i serce zdało się w tej chwili pierś mu rozpierać. I nie mógł słowa wymówić, jakby mu mowę odjęło.

A dziad spojrział nań i wyrzekł: — Wy coś z dalekiej drogi, boście dużo strudzeni?

— Tać tak... Ja idę z daleka. Ja gazda z Podola.

— Oj, byłem-ci i tam. Gdzie to człowiek nie był!

— Wy zapewne z tej Pasieczny, gdy tam idziecie? — opanował się o tyle, że próbował zapytać o tę wieś nieszczęsną.

— Nie, ja ze Zielony. Byłem-ci tam niegdyś gazdą. Ha! pomarli wszyscy, gruntu nie było. Żydzi kupili połoninkę, siły czleka opuścili, że pracować nie mógł. Co było, to przeszło — i człowiek żyje łaskawym chlebem od dobrych ludzi...

— Dalekoż stąd... do tej... Pasieczny jeszcze, kędy wy idziecie? — zapytał się Todosy, jak gdyby miejsc tych nie znał.

— Ta, ot, z mila jeszcze do Nadworny... ta, potem zaraz Pniów, ano dalej Pasieczna.

I tak gwarzył stary swoim sposobem.

Lecz Todosy spróbował nawiązać rozmowę na swoje i zapytał się nieznacznie:

— Tam w tej... Pasiecznej... jak słyhać w dali nawet, ma być podobnoś nafta?... I tu jakby się własnego przeraził zapytania.

— Oj, co jest, to już jest tam dosyć tego, na nieszczęście! Ot, lepiej wtedy było i szczęściło się ludziom, gdy jej w dawnych czasach nikt wam nie widział. I ludziom szło lepiej, paszy huk było po połoninach i bydło okrągłejsze i niemałe stada kóz a owiec. Ano dzisiaj?... Dziś tam żydy gospodarują i niemcy, taj jakaś niecnota. Same jamy a duczki! Gdzie się zwrócisz, ciągną ten plód dyabelski ze ziemi, a to cuchnie by smoła z piekiel. I człowieka odurza, że-ci wyciągają go z jamy, by odurniającego, jakby go „zle“ podcięło. Dają-ci i zarobek niby

dobry... Ale ono nie grosz, to jakiś *tuman*! Człowiekowi na szczęście grosz żydowski nie wychodzi. Pracuje wam cały tydzień boży i grosz zbiera, lecz w sobotę pokazuje się już, że nic nie ma z tej zapłaty. Gdzieś szczezło, i niejeden, jak nic nie miał, tak i nie ma. Gdzie tam nie ma! ? Gorzej, jak nic! Dawniej biedak choć w *soroczce* chodził białej, a dzisiaj czarny jak *dit'ko*, tak w onej ropie by w smole obmaczany. Aj ta nafta! Ja wam mówię, że to jucha jakaś dyabla.

I tak coraz dalej gwarzył stary, Todosy słuchał, lecz nie śmiał się pytać.

Nareszcie odważył się zagadnąć starego: — Ta, dziś tam muszą być i bogaci ludzie?

— Oj, bogaci! Chyba żydy, taj niemcy. Był-ci tam jeden, jakiś nito niemiec nito mazur, i człowiek *lukawy*, bo dużo zarobił na tych duczkach.

— To był mazur? — wyjąknął nieśmiało głosem przygłuszonym Todosy.

— A tak, niby mazur. Ta kto go tam znał! Bo z obca przygnał w te strony. Zwali go... taj Szymon.

Ale tu zbladł podróżny i serce mu biło, jak młotem. A stary ciągnął dalej: — I miał wam dziewczkę, a ta Halka, miała wam *lubasa*. Taj się schodzili, a stary nie wiedział. On tylko kochał grosz swój, co mu ten... nie daj Boże wymówić imienia jego! Bo „zle“ tylko oddawało mu grosz swój — i on miał wam gdzieś ogromne skarby zakopane, tać w borze. A nikt nie wiedział, gdzie to było. Lecz ów *lubas* wytropił wam miejsce, gdzie stary skarb swój schował.

— Kto? *Lubas*?... I przeraził się Todosy. Dygotał, jak we febrze.

— A tak, kochanek dziewczki, Jurko. Ale was coś jakby zimnica napadła?...

— Ej, nic mnie... tak zimno, nie spałem, a noc taka chłodna... nie zważajcie na to! — bełkotał Todosy — i zdawało mu się, że krew w nim ustaje.

Niejaki czas było milczenie, gdyż urwał stary. Lecz po chwili nieśmiało wyjąknął Todosy: — I co się stało z owym kochankiem?...

— Ta, co się stało?... Ot, co się miało stać. Stary zapakował go do kryminału.

— Do kryminału?

I ledwo utrzymał się na nogach.

— A tak, siedzi już od paru miesięcy w Stanisławowie. Gdzieś tam gnije w jakiejś ciemnicy.

— Gni...je w cie...mni...cy, mówicie?

— No, cóż ma robić?... Ale was to przeraziło?

— Nie... dziadku... Mnie wam coś zakłuło we środku, jak często... lecz już przechodzi. — I trząśł się jak we febrze.

— Ej, tak, tak, nieboże! Młody i jary parobek... I jemu było się tykać nieczystego grosza! Byli, co widzieli, jak skarb wyjmował z pod kamienia.

— Widzieli? — Tu zrobił wielkie oczy — ciągle przerażony.

— A tak, widzieli dwa świadki. Taj zaprzysięgli w Sądzie, a Jurko poszedł do kryminału.

— Ale to być nie może!

-- Czemu nie może?

I Todosy poznał, że się mógł wymówić, dodał też zaraz: — Bo gdzieżby aż dwaj w nocy właśnie być mieli w borze?

— Ta już byli, co widzieli. Ano przysięgli na krzyż Pański.

— A chłopiec ów przyznał się? — ciszej z odwróconą twarzą zapytał Todosy.

— Ta gdzie się przyznał! On się do dziś dnia nie przyznaje. Gada, że niewinny. A był to wam syn gospodarza. I ojciec go się wyrzekł i wieś cała klnie, że ruszył skarb może *niesamowity*, co tylko „złe“ ściągnie na siolo całe.

A gdy tak prawił stary, Todosemu się wydawało, jakoby życie zeń uchodziło — i musiał już opuścić starego. Dlatego też zwróciwszy się doń rzekł słabym głosem:

— Idźcie, dziadu, swoją drogą... Ja muszę tu pozostać chwilę... Mnie napadła zimnica...

I dygotał cały. Aby się pozbyć dziada, wyjął groszy parę i dał staremu.

— Ot! zmówcie za moje zdrowie! Ja tutaj... ot... pod tem drzewem... trochę się przeleżę... i będzie mi dobrze...

A stary wzięwszy grosz z wdzięcznością rozpoczął głośno pacierz. Todosy zaś poszedł i legł pod czeremchą przydrożną... Zdało mu się, że już kona a dziad nad nim pacierz odmawia.

Tak przeleżał w martwym milczeniu — i coś przemyślał.

A gdy oczy podniósł, dziad już poszedł był dalej swoją drogą.

Nareszcie powstał i zwrócił się w przeciwną stronę, szybkim krokiem, jak oparzony, z włosem rozwianym, dygocąc cały gonił do Stanisławowa.

Tutaj dopytał się do sędziów.

Ha! Oddał się sam w ręce sądowi!

Nie mógł przenieść na siebie, żeby kto drugi, niewinny, za niego zasądzony gnić miał w ciemnicy. Tego już było zanadto!... Nigdy mu przedtem przez myśl nie przeszło, żeby sprawa ta obrót podobny wziąć mogła.

A zaraz ze Sądu posłano do Pasieczny po poszkodowanego i owych ludzi, którzy jako świadkowie przy sięgę wykonali na niedolę siedzącego dziś w kaźni.

Gdy oni przybyli, rzecz się cała wykryła, gdyż jeden ze świadków, ciągniony do protokołu i do kaźni, przyznał się, że popełnił krzywoprzysięstwo, bo go namówił poszkodowany.

I stary Szymon się przeraził, nie tylko z obawy przed karą, ale... że niewinnego wsadził do kaźni: on go zawsze miał za winnego.

A gdy się o drugiego świadka pytano, pokazało się, że ten już nie żył. Pijąc coraz bardziej — obwiesił się dnia pewnego na świerku, poczerniałym od piorunu. Ludzie, co byli przyszli, zeznawali, że on często mawiał, iż raz w życiu przysięgł fałszywie, lecz nie chciał powiedzieć, gdzie to było.

Nareszcie stary Szymon wszystko opowiedział, jak było i jak świadków sam namówił, gdyż był pewny, że to na winnego. A skoro Jurko niewinny — toż teraz z ochotą przyjmie karę, aby odpokutować za zbrodnię, którą popełnił, i że drugich namówił do krzywoprzysięstwa.

Ha! to wszystko zrobiła nafta i żądza grosza niezapracowanego.

I rzecz się zmieniła. Jurko wyszedł z kaźni, a natomiast weszli tam Todosy i Szymon. Teraz nie narzekali, jeno przyjęli karę dobrowolnie.



A Jurko wrócił do wsi rodzinnej, witany przez swoich i obcych. Własny rodzic kłął sobie i płakał i całował ręce syna, prosząc go o przebaczenie, że śmiał uwierzyć złym ludziom.

Jedna tylko Halka nie wierzyła nigdy, ażeby jej luby miał być zbrodniarzem... Ona ani na chwilę o nim nie zwątpiła. Tylko oboje byli teraz już nie do poznania. Jurko był bladej i chudszy, siedząc w kaźni zrozpaczony, oddany smutnym myślom, a jego Halka przez cały ten czas chodziła, jakby pod nogami swemi nie czuła już ziemi — chodziła i płakała, smutne zawodząc żale... I tylko chyba płaczkowie leśni, żałośnie nad nią śpiewając, czuli niedolę dziewczyny.

Lecz teraz wszystko już przeszło: oboje byli znów razem ze sobą. I stary ojciec po kilku miesiącach wrócił z więzienia. Jako łagodzącą okoliczność uważano, że namawiał do grzechu drugich będąc sam pewnym, iż to na szczerą prawdę: gdyż miał zawsze *leginia* za winnego.

Po odsiedzeniu kary wypuszczono już Todosego, gdyż on nie był tak zatwardziałym zbrodniarzem. Na pół bowiem uważał czyn swój za kradzież a na pół skarb ten był dlań jakby znaleziony — niby to mu samo szczęście wpadło w ręce.

Stary Szymon odpokutował wprawdzie w kaźni zbrodnię namawiania drugich do grzechu — ale wiedział przeto, że jeszcze nie naprawił złego, które był w nierównie wyższej mierze wyrządził biednemu chłopcu.

Aby też złe naprawić, z całego serca przyzwolili teraz na związek Jurka ze swoją dziewczyną.

I oddał im wszystko, co miał. Lecz to, co miał, było teraz tam — za Dniestrem w owem gospodarstwie

zakupionem przez Todosego. To-ci teraz zostało Jurkowem. A Todosy dziś rad był, że się pozbył nieczystego majątku, który nabył z taką drugich krzywdą.

Lecz ponieważ syn gór i górskich dolin nie myślał opuszczać gór swych rodzinnych a odchodzić gdzieś na równiny, postanowiono zatem sprzedać gospodarstwo i grunt ów zadniestrzański i dalej pozostać w Pasiecznej, na ziemi swej rodzinnej, w górach swoich.

A stary Szymon nie chciał już nic mieć do czynienia z jamami ni naftą... On nie chciał teraz grosza łatwo zebranego, ani skarbów, co z niego zrobiły zbrodniarza. Postanowił dziś pracować przy dzieciach swoich i wedle sił swoich im dopomagać. On sam dzisiaj ich nauczał, że tylko praca powolna, z trudami połączona, zbogaca prawdziwie, a wygrane jakby na loteryi — przepada, albo też wiedzie człeka czystego jeno do grzechu.

I nieszczęsny Todosy postanowił dziś jako robotnik rąbać dalej drzewo w lesie i pracować na spławach, a do jam naftowych ani zaglądnąć, gdyż przemieszkuje tam w głębi tylko nędza i chciwość niepomierna grosza. Bo stamtąd wydobywają się gazy, jakby piekielne, co człeka odurzają, że mu rozum odbiera, a pcha do grzechu i zbrodni. Praca tylko powolna i z trudem połączona wychodzi człowiekowi na zdrowie.

---

---

# ROMAN Z POROHÓW

NOWELA

z życia ludu z górskiej doliny Bystrzycy  
Sołotwińskiej.

---

---





## I.

I cóżeś się tak *zuszuryu*, gazdo?

— „Zali niema nad czem kobieto?” — odrzekł z niechęcią *Semen*, który wróciwszy z *kosowyci* siadł na przyzbie przed chatą i wbił oczy w ziemię.

— *Semene*, oj, *Semene*, takżeć ledwo co nie widać naszych kosarzy... a ty tu siedzisz i dumasz. Ta kto pójdzie dla nich po *mohorycz*?

— Ej! daj mi pokój, babo... Majorcko nie nie chciał dać... On swoje prawil, że mu się winno. A czy ja-ci tam wiem, ile tego... Ot, żydowski rachunek.

— I co dalej będzie?... Ty zapewne i dziś znów pójdiesz do tego rudego, by ci dał *hroszej* dla robotników... Taj może jeszcze dać ma na *horiwkę*<sup>1)</sup> do Majorcka?

— A jak-ci ma być inaczej?... Ta skąd ja wezmę, jeśli *Abramko* nie da?

---

<sup>1)</sup> *Horiwka* — gorzałka, wódka.

— Ej, Semene, Semene... Ten rudy to z ciebie nakoniec ściągnie soroczkę... Byłeś gazdą dobrym... a dziś na wszystkie strony długi... to u Mechla, to u Majorka... Ale już najgorzej dybie na nas ten rudy pies...

— Ta, czy ja jeden winien dziś żydom?

— Co z tego, że nie ty jeden!... Ale do kogo się oni wzięli, wyprowadzili na dziada. Ano co zrobili z Wasylem?... Był dobrym gazdą, miał-ci połoninę na trzydzieści sztuk *marzyny*... A dziś co?... Połonina — już żydowska, i chata żyda... O *Maty Boża!* Zmiłuj się nad naszym siolem!... Dawniej w całych *Porohach* ani jednego nie było żyda... a dzisiaj tyle tego parszywstwa... Co najlepsze połoniny, należą dziś do nich — a *chrystyjany* *ano maje, szczo sia łyszyló*.

Tak prawiała gazdyni do swojego gazdy, który spuściwszy głowę na piersi, siedział jakby już chciał zostawić wszystko własnemu biegowi rzeczy.

A z pobliza dochodził ich szum *Bystrzy* *cy*. Raz po raz tamowały jej drogę złomy skał, to w poprzek leżące jodły... ale ona coraz dalej biegła — niewstrzymana.

Słońce już zaszło, tylko na zachodzie krwawo patrzył ciemny bór świerkowy, jakby go pożar ogarnął. Ludzie wracali z roboty. Po chatach płonęły ognie wieczorne.

*Semeny* *cha* przed chwilą rozpaliwszy, przystawiła garnek z ziemniakami do ognia, gdyż kosarzom trzeba dać wieczerzę... przecież wkrótce już nadejdą. Nareszcie i *Semen*, machnąwszy ręką, z pewnym rzekł fatalizmem: „Niech już będzie, co ma być!...“ i powlókł się z podanemi naprzód kolanami po *mohorycz* dla kosarzy, a właściwie do *Abramka* po pieniądze — gdyż

karczmarz nie chce dziś dawać wódki na rachunek. Semenycha zaś patrząc za nim załamała ręce... i weszła nazad do środka chaty warzyć wieczrę dla robotników.

Zorza na zachodzie coraz bardziej bladła — nareszcie powoli się roztopiła... I wyszedł miesiąc — ogromny — czerwony — niedobrze wróżący, bo jakby zakrwawiony dołą nieszczęsnych mieszkańców siola, którym dziś grozi zguba i zatracenie.

Wiatr, wiejący przez dzień cały, ustał teraz zupełnie. Cisza była do koła. Tylko sama jedna wieczny spór wiodła ze złomami głazów Bystrzyca. A nad nią z prawej i lewej strony rozsiadły się szeregi gór, pożłobionych *zwcrami* potoków, czarnymi pokryte borami — tworząc dolinę Bystrzycy Sołotwińskiej.

Z pobliskiej gdzieś *halawy* dochodził tęskny głos *sopiałki*<sup>1)</sup>). Cała przyroda zdawała się być w niemem rozmarzeniu.

Między olchami zaś mignął cień jakiś... potem zniknął... i znów dalej się pokazał... Zdało się, że ktoś pobiegł, jakby w kierunku, skąd wychodził ów głos *sopiałki*... Wtem miesiąc jaśniejsze rzucił światło — i widać było postać dziewczyny, która zdawała się natężyć słuch i do koła rozglądać, jakby z obawy, żeby jej kto tu nie podglądał.

Nareszcie umilkł głos ów z *halawy*... Po chwili zaś niedługiej między drzewami pokazały się dwa cienie...

— Ach! jesteś tu?...

— Ledwom się wyrwała... Ale mnie zawsze lęk zbiera! och! ogromny... Odetchnąwszy dodała jeszcze:

<sup>1)</sup> *Sopiałka* — mała fletnia pastusza.

— Nu, ja nie wiem, coby się stało, gdyby mnie ojciec mój zobaczył z tobą, Romanie!... Aj! czy nie grzech to wielki?

— Ta nie mów tak, dziewczyno.

— Aj, Romanie, kiedy pomyślę, że ty syn gazdy... a ja?...

— I spuściła w dół oczy.

— Ta, co ty?... Zaż ty temu winna, żeś dzieckiem Abramka?...

— Ach! my żydy... Ja się nie zrodziła w żadnej z chat waszych... Po chwili zaś dodała: — Nu, ty mną nie pogardzasz, że ja nie z waszych?...

— Ta nie mów tak, moja dziewczyno... Żeby ty się była zrodziła nie w chacie huculskiej, ale i w pałacu pańskim... nie byłabyś dla mnie inną.

I krew mu zadrgała w łonie... i chwycił ją swojemi rękami — a włos jego lśniący, kędzierzawy, musnął białe czoło dziewczyny... Ona pojrzała mu w oczy, które teraz ziały płomieniem...

Lecz w tej chwili stanął ktoś trzeci przed nimi. Oni oboje jakby skamienieli.

I tego wieczora ani się odezwał rodzic do dziecka swego, jeno patrzył złowrogo — i nad czemś przemyśliwał...

Ona drżała oczekując na pewno nieszczęścia.

Na drugi zaś dzień zaprzągnął do wozu, i zabrał z sobą przestraszoną córkę. Przez całą zaś drogę nic nie mówił do dziecka swego, uważając je jako nieczyste, przez Boga ojców porzucone... *Goim* dotknął się jej bowiem ustami swemi, a ręce tegoż nieczyste były na jej szyi. Zgroza i przekleństwo!



Gdy po długiej drodze przybyli przed dom świętego *Rabbi*, zastali tam mnogo ludu, który z daleka przygnał, aby usłyszeć wyrok z ust cudotwórcy, który ma szczególną łaskę u Pana. Jeden tu się radził, zali ma wejść w interes, jaki mu się nadarza, drugi, czyli czynsz ma podwyższyć, jaki *purec* jego zażądał... Inni znów przychodzili ze skargami — z płaczem i lamentem; chorzy zaś i kalecy chcieli się dotknąć choć cudownej szaty świętego starca.

Abraham zostawił Rozę, jako nieczystą, przed progiem domostwa cudotwórcy, w gronie kilku kobiet, których straży powierzył zbłąkaną i splugawioną przez „Samarytanina“, sam zaś wszedł do środka mieszkania.

Święty, biały jak mleko, z białą po pas brodą, siedział skurczony na małym stolku, i drżący cały ze starości oczy miał wlepione w świętą *Kabale*, na której kartach zdawał się wyczytywać wyroki Przedwiecznego.

Abraham, spostrzegłszy cudotwórcę, pokłonił się do ziemi, a położywszy grosz na stole, ucałował trupie, kościste ręce starego, i patrzył się w tegoż oblicze, by w swoją wyrocznię.

Gdy starzec zapytał, jaka go tu sprowadza niedola... choroba czy zaraza... albo może „Samarytanin“ jaki nastaje na jego dolę: wtedy zdziwił się stroskany żyd nad mądrością świętego, i uderzył w płacz a lament wyjąkawszy zaledwo słowa: — Tak, tak, Samarytanin, *goim* nieczysty...

— I co on chce od ciebie, synu?

— Nu, on ode mnie nic nie chce, *ino* od mojego dziecka... On na nią, wychowaną, jak przykazał zakon, dzisiaj rzucił czary, że chodzi za niewiernym.

Tu się podniósł święty i spojrzął ze zgrozą na żyda, któremu się w tej chwili zdało, jakoby to sam Eli powstał z grobu biały i trupim wzrokiem spojrzął na izraelitę... Święty dygotał wszystkim z oburzenia i ze starości. a blade jego oblicze, pomięte i pokurczone, miało barwę nito całunu cuchnącego grobem. Rabbi patrzył, a żyd bladł coraz bardziej: tak okropnym wzrokiem pozieirał święty na nieszczęściem nawiedzony ojca.

Nareszcie nieszczęsny ojciec Rozy przysiadł ze strachu błagający, a Rabbi się odwrócił i zaczął przerzucać karty *Kabały*. I wpatrywał się w tajemnicze świętej księgi znaki, kiwając tylko głową, a blade trzęsły mu się wargi. Abraham pokorny wpatrywał się w cudotwórcę, oczekując ze strachem wyroku z ust świętych.

Po dłuższej pauzie zwrócił się doń stary — i wyrzekł wyrok, jaki mu podały znaki *kabalistyczne*.

I córka Abrahama popadła w wielką klątwę.

Jako dzisiaj nieczysta, nie może odtąd pozostawać między izraelitami. Ojciec wróciwszy do domu ma ją posadzić bosą na worze z popiołem zewleklszy z niej szaty, w których dziś chodzi, a narzucić wór gruby, zgrzebny, głowę posypawszy popiołem — i tak przez siedm dni kazać jej odprawiać pokutę.

Po siedmiu dopiero dniach ją przywiezie, a wtedy usłyszy, co ma dalej z córką czynić.

Abraham jeszcze zapytał: — A co z *goimem*?... Ten splugawił córkę izraelity!

Święty stanął gniewny i odrzekł:

— Jeśli możesz nań nasłać co złego, naślij, bo to nieprzyjaciel, czarny „Edomczyk“, to chytry „Moab“.

Abraham ucałował bladą rękę świętego, położył znów w dodatku grosz na stole. pełen pokory, i odszedł nader pobożnie usposobiony.

I zaczęli się potem inni pchać do cudotwórcy, czekając na święte jego wyroki.

Abraham, wróciwszy z córką do domu, uczynił, jak mu było przykazano.

I biedna dziewczyna, zamknięta w ciemnej izbie, gdzie okna szarem przesłoniono płótnem. o głodzie i pragnieniu, w zgrzebne ubrana płótno, posadzona na worze popiołem napelnionym, odprawiać musiała dziś pokutę nałożoną przez świętego Rabbi.

Rodzic zaś jej z tem większą teraz namiętnością zabrał się do swoich interesów z ojcem *goima*. który mu się zakradł do jego winnicy — i z całą żarliwością mściwego a fanatycznego żyda ściągał długi Semenowe, zaciągane u innych jego współwyznawców.

On postanowił dziś zniszczyć gazdę, mocno już zadłużonego.

I stary Semen otoczony został do koła siecią naciągniętą przez Abrahama i jego współników.

Nieszczęsny zaś zrozpaczony Roman, tęskniący za swoją lubą, obchodził zdaleka chatę Abrahamową i tegoż znajomych, chcąc wydostać przecież języka. co się z jego dziewczyną stało.

I chodził, jakby trutki jakiej zażył. Wieczorami zaś siadał nad brzegami Bystrzycy, i wpatrywał się osłupiałym wzrokiem w toczące jej fale, lub nasłuchiwał szumu borów, zali mu głos jaki stamtąd nie powie, gdzie dziś jego ukochana: bo ludzie milczeli.

Nareszcie nie mogąc dać sobie rady poszedł Roman do starej baby, o której wiadano, że wielka to lekarka na różne trapiące huculów choroby, a i znachorka, ba, może i co więcej. Wrogi to obgadywali starą, że jest ona nawet *uperycia*<sup>1)</sup> ich siola. Aleć to nieprawda: ona tylko zna zioła wszelakie, umie „zamawiać“ chorobę, i ma już „swoje“ na niedolę ludzką „sposoby“.

Stara mieszkała w dalekiej chacie na pół opuszczonej — za debrą. Mołojec też tam poszedł, lecz się śpieszył, by zejść jeszcze przed zachodem słońca, gdy potem nie bardzo tam iść bezpiecznie. Kto wie, kogo tam w późną porę możnaby zastać w chacie ze starą... Mówiono, że ona ma kota czarnego za piecem... Ale kto wie, zali to kot?...

Chłopiec przeszedł dwa potoki, z wielkim pędzące łoskotem do Bystrzycy, a koło starej olchy, pogarbionej, skręcił na lewo, spinając się w górę — i stanął przed niską, omszoną chatą, z wiekiem poczerniałą. Tu lęk go zebrał. Kto to wie, jak tam starą zastanie!... Mówią, że kiedy *złosna*, jeśli kto ją nie w porę zaczepi, wtedy takim spojrzę okiem, iż człowiek może okulać, lub go się gorsze jakie „złe“ czepi. Lecz bądź co bądź, on się musi dowiedzieć, co się z jego dziewczyną stało. Dziś nawet słyhu niema, gdzie się ona podziała... Czempredziej też rzucił się i zakrywszy oczy otworzył drzwi do chaty.

Stara warzyła jakieś ziele, coś nad niem wymawiając, lecz skoro spostrzegła wchodzącego, prędko nakryła, aby oczy „nieprawie“ nie popsuły odwaru.

---

<sup>1)</sup> *Uperycia* — upierzycza. Według wyobrażeń ludu każda wieś ma swego upiora i upierzycę.

— Co ty chcesz, moja zazulu?

— Oj, matko, tak mi ciężko... taka *tuha* w piersi, zem przyszedł do was o pomoc... Wy macie na wszystko „swoje“ już „sposoby“. — Tu koło niej groz położył.

— A co ci jest?... Zali cię kto *urzekł* — a może co *podwiało*?

— Albo ja wiem?... Wy sami poznacie... rzekł chytrze Roman, gdyż się wstydził wyjawić prawdę.

— Siadajże, dziecko... Niech cię oglądnę...

Wtem kot czarny wylazł z za pieca, a zoczywszy człowieka jakby się naszczurzył. Lecz stara wnet doń zawołała: — A za piec misio, misiunio!... Ta nie widzisz, że to młode i chore? — A kot tylko ruszył gniewnie ogonem i odszedł za piec. Po Romanie przeszły ciarki.

Lecz stara młodego pogłaskała i posadziła na ławie.

— Gdzie ci co wlało?... Czy może w głowę, *zazulu*? — I wsadziła kościste swe palce w gęste chłopca kędziory, zdając się coś liczyć a przebierać.

— Nie tu, matulu... Mnie bo tam *dużo markotno* w *seredyni*... tak niby w *serdciu*.

Stara spojrziała bystro Romanowi w oczy: — Taż może kto ciebie *urzekł*?... Chłop czy kobieta?...

— Ej, nikt mnie nie *urzekł*, ni chłop ni kobieta... ale mnie tak bardzo *markotno*...

— Może ci kto umarł, lubuniu?

— Ta już nie umarł, ale tak jakby i umarł... odrzekł młodzian i spuścił ze wstydu w dół oczy.

— Chłop czy kobieta?

— Ni chłop wam ani kobieta, jeno krasawica. Oj, co krasawica, to już krasawica!... Biednaż moja *hołowońka*!

— Rzuciła ciebie nieboże?

— Ej, gdzie mnie-ci ona rzuciła?... Ale byli już tacy, co nas rozerwali...

— I gdzie ona teraz?

— Ta ja też do was przyszedł, aby się wywiedzieć... Wy, co wszystko wiecie... powiecie mi, gdzie ona dzisiaj...

Stara zerknęła burem okiem.

— Co bo ty prawisz, nieboże?... Ta gdzieżby się podziała?... Wszak-ci jej pod ziemię nie schowano?

— Oj, to już tak, jakby schowano... Nigdzie jej niema. Ja nie wiem, czy ona dziś jest w naszym siole.

— Poczekaj dziecko, zobaczymy.

Tu wyjęła jakieś ziola, zmieszała je i zapaliła. Dymek wił się do góry... Stara się w to wpatrywała, głową ruszając tajemniczo.

— Daj tu trochę twoich kędziorów, dziecko. I ucięła mu kosmyk z głowy, potem zapaliła wraz z zielem. Ciągłe się patrzyła kiwając głową. Nareszcie rzekła: — Zali ona córka gazdy, czy może nie z naszych?

Młodzian splotnął cały na takie zagadnienie, oczy w dół spuściwszy: potem rzekł nieśmiało: — Ta, ona... nie jest... córą gazdy... Ona... inszego... rodu...

— Inszego?... Ha! toć już ciebie umiłowała córka jakiego księdza, ano może pana?

— Tać nie księdza ni pana.

— A czyja, dziecko?

— Ta wy sami wiedzieć będziecie, matko... Wam już wasze znaki powiedzą.

— Pewnie, że powiedzą... I ażebyś wiedział... patrzaj no, jak dym z twoich kędziorów w jedną idzie stronę, a tamto w drugą...

I wpatrzyła się w gorejące a trzaskające ziele. Patrzyła długo... Potem zaczęła ziewać spazmatycznie, a kot z za pieca zdawał się miauczeć niespokojny.

— Ta nie wiedzieć, co z tego będzie?... Oj, źle wróży!... źle! nieszczęście!... Jedno dla drugiego, jakby nieprzeznaczone.

— Romanowi coraz mocniej biło w piersiach.

— Ty pójdziesz w jedną stronę i będziesz się błakał — ona w drugą... tać już także nie będzie miała pokoju. Ale ona jest... ta... nie bardzo daleko... Idź, chłopcze, i szukaj a znajdziesz.

Romanowi pot kroplisty wyszedł na czoło, i pościemniało mu w oczach. Nareszcie się zerwał i chwycił za głowę: — Oj, biednaż moja *holowońka*! Oj, co biedna, to już biedna. — I zaczął głośno płakać a zaklinać starą, żeby „złe“ od nich obojga odwróciła.

Stara spalona teraz szczątki wrzuciła do wody. nagle zawoławszy: — Uciekaj w tej chwili, byś nie słyszał, jak skwirczeć będzie. Bo jak skoro usłyszysz, „złe“ się stanie tobie, albo jej...

I wylała na ognisko, a przerażonego szybko wypchnęła, aby czempędzej uciekał...

Roman nie wiedział, jak się znalazł przed chatą, bo w oczach mu było ciemno a w uszach szumiało. I „niedobry“ jakiś wicher powiał, a drzewa głucho zaszeleściały, gacki do tego zdawały się koło niego przelatywać.

Młodzian schodził na dół, nito ptak ze złamanem skrzydłem, oglądając się na chatę i dumając: — Ona jest tutaj, niedaleko — czy w naszym siole?... Tak przecież niby mówiła?... Ale nie wróżyła bo nic dobrego. Ta prawda... ona inszej jest wiary i ja inszej... Lecz niechaj

się co chce stanie... ja jej nie opuszczę!... Bez niej mnie nie żyć... Oj, bez niej... tobym skoczył w wodę, taj rozbił się na skale!... A skoro ona ma być jeszcze niedaleko... toż pójść mnie i szukać...

Wtem sowa zachichotała — a Roman wstrząsł się cały.

Zeszedł teraz na brzeg rzeki. Tam się gotowały *splawy* do jutrzejszej drogi. Koło *splawów* uwijali się różni *kiermanicze*<sup>1)</sup>. Roman ich zapytał, czyli gdzie nie widzieli Abramka? Ale nie o starego tu mu chodziło. I wnet z ojca zeszedł na tegoż córkę... Lecz niczego się nie dowiedział... Z niechęcią mu odpowiadano, że im nie w głowie *żydowska wiara*<sup>2)</sup>.

Chłop nasz, gdy mówi o żydzie, toć zdawałoby się, jakby go nie miał za nic, a nawet i stronił od wszelkiego z nim związku: mimo to kroku nie zrobi bez tegoż pomocy.

Roman, srodze zakłopotany, szedł dalej, i gdzie tylko zdybywał żyda zajętego około *splawów*, albo wracającego z polonin, zaraz go pytał, coby rad się wywiedział; lecz wszyscy mu odpowiadali tak, jakby byli w zмовie z Abramkiem. Każdy z nich niczego nie był świadom. Młodzian widział, jak niektórzy z pod oka nań patrzyli... Może wroga w nim swoich przeczuwali?

Tymczasem przeszło już owych siedm dni pokuty, przeznaczonych dla nieszczęśliwej córki Abrahamowej.

I jednej nocy, ciemnej, pochmurnej, wywiózł ją ojciec z Porohów...

<sup>1)</sup> *Kierma* — wiosło, *kiermanicz* — flisak, u huculów.

<sup>2)</sup> *Żydowska wiara* — tak zwą tu często ludność żydowską.



Niebo wtedy wisiało nad jadącymi ciężkie, ołowiane, bardziej do ziemi zbliżone. Raz w raz przechodziły czarne by sadza chmury.

Dolina Bystrzycy zdawała się być cała jakby jedną wzdłuż wyciągniętą czeluścią między dwoma czarnymi brzegami, piętrzącymi się nad nią wysoko — w grozie zadumy. Żadnego z niskąd nie było głosu. Cisza do koła zupełna. Tylko jedna Bystrzyca huczała, a głos jej tym razem był bardziej złowrogi — ponury.

Po samotnej drodze, ciężkiej, kamienistej, jechał wóz sam jeden z ojcem i córką.

Roza przeczuwała, że musi już pożegnać wieś rodzinną i — ukochanego... ach! może na wieki!

I życie jej zdawało się uchodzić.

Ojciec ani słowa nie rzekł do córki — tylko wiózł ją dalej — nieubłagany.

Chmury coraz gęstsze się zbierały, coraz czarniejsze... i wichur zaczął huczeć w górze... Raz po raz przebiegały błyskawice. Z głębokiego boru poryk czasami dochodził niedźwiedzia, to odzywały się złowrogie wołania puhaczy.

W taką noc, pełną grozy, wywoził ojciec córkę.

Minęli Porohy, minęli Jabłonkę... dolina Bystrzycy rozszerzyła się na prawo i na lewo. Wjechali niby w szeroki rozwór podany na północ ku Sołotwinie. Ojciec z córką gonili niepowstrzymanie.

Nareszcie z gór już wyjechali. Przed zaleźnioną dziewczyną roztoczyła się szeroka płaszczyna — i ogromny żal a rozpacz straszliwa objęła nieszczęśliwą.

Przez jakie potem siola i miasta jechali, nie wiedziała ona już tego. Wzeszło już słońko — czyste —

świetlane, ptaszki na dobrydzień wesoło zaświegotały... Ale nie dla niej... Dla niej pozostał mrok tylko wieczny.

Przeszło i południe... nastał nareszcie wieczór... i zajechali przed mieszkanie tego samego cudotwórcy.

Gdy wszedł ojciec z córką, święty kiwał się nad wielką księgą wpatrując w tajemnicze znaki *Kabały*. a w izbie gorzało świec dwoje, nito nad umarłym. Do koła czuć było woń jakąś cmentarną. Nieszczęśliwej dziewczynie zdawało się, jakby wstąpiła pod ziemię, jakby pod kamieniem odchylnym siedział nakryty *talesem* duch rabina przed wiekami zmarłego.

Rabbi, dowiedziawszy się od ojca, że córka według wyroku jego odbyła już siedmiodniową pokutę, kazał przyjść nazajutrz do starej synagogi, gdzie zdejmie z nieszczęśliwej klątwę.

A gdy dzień ten nastał, zawiodła izraelitkę jakaś stara kobieta do świątynicy, gdzie się musiała poddać świętemu obrzędowi.

I gdy już zdjawszy z niej klątwę Rabbi wypowiedział słowo: „*koszer*” — wiedzieli teraz wszyscy, że w tej chwili córka Abrahamowa wstępuje nazad w społeczeństwo Jehowy.

Lecz po odbytych obrzędach nie zawiózł już ojciec córki swej do domu, posłuszny wyrokowi świętego Rabbi. — jeno niedługo się rozglądając między swoimi, wybrał dla niej syna pewnego znanego z pobożności *hasedima*, którego dziś przeznaczył na męża córce nieszczęśliwej.

Po odbytych obrzędach odwieziono nowo zaślubionych w dalekie strony, do rodziców młodego. Ojciec zaś Rozy wrócił do Porohów — zadowolony, że zgubioną owcę sprowadził nazad do owczarni.

Wróciwszy zabrał się dalej do interesów swoich w Porohach. Z podwójną troskliwością chodził teraz około Semena, którego wraz ze swymi współnikami w coraz gęściejsze zamotywał sieci; postanowił bowiem zniszczyć gazdę, jakoby w zemście, że potomek tegoż, krew z krwi *goima*, poważił się dybać na krew czystą Izraela.

Roman zaś chodził i szukał... obchodził mieszkania żydów i wstępował nagle pod różnymi pozorami do środka; lecz nigdzie śladu nie natrafił, po którym dójśćby mógł, gdzie dziś jego ukochana.

Matka i ojciec dziwili się, co się z ich chłopcem stało. Dawniej taki był ochoczy, czy to pójść ze *splawami*, czyli na koniu naładowanym zawieźć *berbenice*<sup>1)</sup> do miasta: dzisiaj, jakby go się co czepiło, chodzi nie-swój, błakając się samotnie. Biedna kobieta pytała się syna, czy go kto nie przeszedł w „złej“ godzinie, a może i nie „urzekł“, gdyż schnie widocznie. Ojciec zaś mniej zważał, co się z synem jego dzieje, gdyż sam z dnia na dzień coraz większe miewał konszachty z Abramkiem, który mu ciągle dawał pieniądze, pożyczając, to wykupywał odeń pojedyncze sztuki bydła i owiec. Wieśniak sądził, że już takie musi być ich przeznaczenie: bo gdyby *Hospod' Boh* nie chciał, nie dawałby tylu żydom osiedlać się między hucułami. Ale skoro On im szczęści i pomnaża ich dobytek — toć człowiekowi nie sprzeciwiać się Jego woli. Jakiś już nie do zwalczania opatnował dziś fatalizm Semena — jak i innych gór tych mieszkańców.

<sup>1)</sup> *Berbenice* — beczułki wązkie w których huculi wiozą bryndzę.

I tak brnął on coraz dalej... coraz głębiej grzęznął w interesa z Abramkiem, gdyż mu zawsze czegoś brakowało, a żyd posiadał to właśnie, czego człowiekowi było potrzeba.

Abramko jakoś bardzo się teraz zrobił nawet uslužnym Semenowi, i dawał, czego ten tylko zażądał. Widać, że żyd musiał polubić gazdę, bo zaopatrywał go pieniędzmi swoimi, kiedy tylko mógł, a gdy już nie mógł, jak nieraz zaręczał, to brał od drugich swoich współwyznawców. a zawsze był pomocą Semenowi.

Semenycha zaś przeczuwała, że coś złego z tego będzie... widziała przecież, jak się za jej czasów kilkadziesiąt żydów we wsi zagospodarowało, a trzy razy tyle gazdów poszło z torbami lub do tamtych za parobków.

Nieszczęśliwy nasz młodzian chodził ciągle z chaty do chaty, pytał się jednego, to drugiego, lub stawał po różnych zakątkach, chcąc przecież dojść tajemnicy, gdzie dziś jego ukochana. Chodził nocami całymi po pod okna chat żydowskich, czy gdzie przecież głosu jej nie usłyszy, lecz wszystko było daremne. Całymi dniami przesiadywał niedaleko chaty Abramka, mając wzrok wbity w jego mieszkanie; lecz tyle się tylko doczekał, że go ojciec Rozy jak psa odganiał i chciał traktować jako podpalacza. Kraśny niegdyś, jary *łęgiń*, dzisiaj wyglądał, jakby cień tamtego. Lice jego zbladło, oczy przygasły, włos spadał w nieładzie na blade czoło.

Nareszcie żydowi tęskno już było, że córki swej nie ma u siebie w domu. Dawniej liczył na to, że trzy pierwsze lata córka jego z zięciem przebędzie w domu rodzica — a tu teraz, przez tego przekłętego *goima*,

musiano postąpić wbrew zwyczajowi, i pozostawić ich w domu rodziców zięcia.

Myślał nad tem długo i — postanowił nareszcie pozbyć się wroga, a córkę do domu sobie sprowadzić.

Czy tu użył wpływów swoich i czegoś może więcej, jak już mają na to swoje sposoby zręczni synowie Izraela — czy też zadenuncyował władzom, jakoby Roman buntował parobków siola, by się kryli przed rekrutacją lub robili się kalekami z obawy przed wojskiem: — dość, że pewnego dnia zaprowadzono nieszczęśliwego do *super-arbitrum*, i pomimo, że był w domu jedynakiem, a ojciec już stary i coraz bardziej do roboty niezdolny — wzięto *mołojca* za karę w rekruty.

I płacz był wielki w domu nieszczęśliwych Semenów — a żyd zacierał ręce, że się już teraz pozbył wroga.

---



## II.

Minęły trzy lata. We wsi nic się nie zmieniło, tylko że więcej połonin w ręce przeszło obce i więcej gazdów zeszło na dziady.

Abramko także coraz bardziej rósł w pierze; z roku na rok zakupywał połoniny po połoninach — i mienie jego rosło ogromnie.

Skoro pozbył się syna Semenowego, sprowadził zaraz córkę wraz z zięciem do siebie — i był już zadowolony.

Czegoż mu więcej było potrzeba?... Czuł to, że jest pod szczególną opieką Niebios.

Ale Roza przybyła zupełnie niepodobna do tamtej, młodej dziewczyny czarnookiej; miewała bowiem dziś chwile, których się i najbliżsi jej przestraszali, gdyż mówiła jakby nieprzytomna, a oczy jej w takich chwilach dziko patrzyły. Wtedy unikał jej nawet mąż własny, młody, nie mający jeszcze dwudziestu lat Dawid, którego ona nie cierpiała... a była dlań zawsze taką, jak dnia pierwszego po weselu.

Lecz ojciec tego nie chciał widzieć. Był bowiem przekonany, że kobieta nie ma sądu i nie ma wyboru; ona tylko jest na to, aby mężowi dzieci rodziła. Lecz tu i tego nie było, gdyż małżeństwo to nie miało potomstwa.

Roza nieraz całemi godzinami siedziała jednako zasepiona, i w dumach jakichś, niepojętych dla jej otoczenia. grzęzła coraz bardziej — ponuro tylko patrząc ku ziemi. Na czynione sobie zapytania żadnej nie dawała odpowiedzi. Dziwnego rodzaju zaduma ją napadała... Trwało to dzień, dwa dni... potem gdzieś wychodziła z chaty ojcowskiej, błakając się samotna po miejscach opuszczonych... i zdawała się sama do siebie mówić. Czasami widywano ją, jak ucha nadstawiała, jakby usłyszeć chciała, zali głos jaki z boru nie doleci...

Przychodziły u niej chwile, gdzie była niby wesoła, ale ta wesołość mogła przestraszać: śmiała się bowiem spazmatycznie, a oczy jej dzikim gorzały blaskiem.

Ale ojciec jej sądził, że się już ma u niej ku lepszemu: lecz byli tacy, co ruszali głową, nie uważając tego wcale za dobrą wróżbę.

Mąż zaś Rozy był to sobie młodzieniec bez woli — przyzwyczajony słuchać ślepo starszych: ten jej się w sawej rzeczy bał nawet, i rad był, gdy go ona unikała. Małżeństwo to żyło, nito obcy, jakby tylko połączeni wyrokiem rodziców, zupełnie sobie nieznani dzisiaj, jak pierwszego dnia po weselu.

Dnia jednego, w porę na pół dżdżystą a na poły parną, szedł drogą po nad Bystrzycą młody jakiś żołnierz, jakby wracający z wojska na urlop, do wsi swej ojczystej. Zdawał się śpieszyć, chwilami zaś stawał, jakby mu sił

zabrakło, a nogi jego drżały, wtedy rozglądał się, a oczy dziwnym płonął blaskiem.

Nareszcie gdy się już zbliżał do chaty Semenów, przystawał, jakby się wahał, czyli tam wejść ma... Lecz widać było, że wkrótce przemógł na sobie, gdyż kroki tam swoje skierował.

Otworzył drzwi — i zdziwił się: gdyż w miejsce Semenów zastał w chacie jakąś rodzinę żydowską. Stał jak wryty, pytając się, co oni tu robią w chacie jego ojca.

— Nu, jakiego ojca? — zapytali żyd z żydówką.

— Mojego, którego jest ta chata.

— Nu, my tu u siebie, w swoim domu.

— W swoim domu? — I zaczął przecierać oczy i rozglądać się. — To przecież... chata... Semenowa?...

— Semenowa?... Nu, my nie *wiedzieć*. To własność Abramka, który nas tu osadził.

Żołnierz chwycił się za głowę: — Co to się stało!... co to się stało!... Gdzież mój ojciec, gdzie Semen?... gdzie moja *maty*?

— Alboż my wiemy *tego*! nu, co to do nas, gdzie *woni*?...

— Ależ co to się stało? Mówcie, żydy! — wołał przerażony.

— Co to się stało?... Nu, co się stało... Abramko *tego* kupił, my w jego chacie.

— Ależ gdzie moi? — wołał w coraz większej trwodze Roman.

— Nu, czy my wiemy, gdzie *woni*? — I odwrócili się od młodzieńca.



On chciał ich jeszcze pytać, lecz widząc, że nie z nich wydobyć nie może, wypadł z chaty, jak wściekły, aby się od sąsiadów dowiedzieć, co to się stało...

Lecz sąsiednia chata była zaparta, jakby tam nikogo nie było... A gdy pobiegł do trzeciej, zamiast znanego sobie gazdy zastał tam żydówkę, przystawiającą garnki do ognia. Nie się już nie pytał, lecz pobiegł dalej...

Ledwo co wybiegł, zdybała go jakaś biedna kobieta, zmizerowana, która zoczywszy młodzieńca rzuciła się nań ścisnąć i całować.

— Ach! Romanku!... Moje ty życie!

— Ha, to *maty*?... Aj, jak wy wyglądacie?... Co się z wami stało?

I drżący całował matce ręce i lica. Ona go ścisnęła i od płaczu zachodziła.

— Oj, tyś powrócił!... Czyś cały?... czy zdrów?...

— Ta ja... co tam!... Ale co z wami się stało?... Gdzie ojciec?

— Ojciec? — uderzyła w płacz i lament.

— Och! *maty*! oni pewnie nie żyją? — I klasnął z rozpaczony w ręce.

— Dwa miesiące, jak go pochowałam. Od czasu, jak nas *toj woroh*, *toj rudy pes* zlicytował, taj pod gołe niebo wyrzucił — od czasu tego, synu, ojciec twój coraz bardziej marniał — ta, niedolę swą starał się biedak już bo zapieć... nareszcie dnia jednego położył się, by już więcej nie powstać.

— I płacz dalsze jej odebrał słowa.

Syn teraz nie nie mówił, jeno wzrok miał utkwiony w ziemię: on patrzył ponuro.

— Oj, biednaż moja *hołowońka!*... Kędyć nam teraz?... My nie mamy chaty!... Oj, mój Semen, niegdys dobry gazda, leżał na barłogu... w cudzej chacie — i zmarł w nędzy...

— I wy mówicie, że go ten rudy do tego doprowadził?...

Roman rzekł tylko te słowa i zgrzytnął zębami.

— Oj, ten wróg nasz, ten zły duch ojca twojego i twój... bez litości nas zlicytował, zagrabił, *marzynę* zabrał i uprząż... ta, wszystko — i z chaty nas naszej własnej wyrzucił, ano żydów tam swoich osadził...

Roman nic nie odpowiedział, tylko ciągle patrzył ponuro. Potem wyjąkał po chwili:

— A co się stało... z jego dziewczyną?... Czy się odnalazła?...

— I czekał drżący.

— O! daj pokój temu... Co się pytasz!... To całe nasze nieszczęście!

— Ależ, na *Hospoda Boha!* powiedzcie mi, gdzie ona?

— A gdzie już ma być?... Tać u niego. Ano razem z zięciem.

— Ha! wydał ją za żyda... którego... ona nie cierpi?...

— Alboż za kogo miał-ci wydać!... Ot, gadają, że żyją... Bóg wie tam jak!... Ona... jakby ją opętało... Ale co nam teraz do nich!

— Ha! to przekłety żyd!... Psubrat, mordownik!

— Aj, on nas zamordował... Syna wpędził do wojska, a ojca w grób!... On nas wszystkich zabił! A sam żyje jako *bohacz*... szczęśliwy!

— Ha! szczęśliwy?... A my już nieszczęśliwi?...

— I zgrzytnął zębami patrząc jakoś dziko.

— Ta chodź, synu, chodź, moje złoto... Ta bo gdzie?... Ja nie mam chaty!...

I wielkim płaczem zaczęła dalej zawodzić. — My nie mamy chaty... Boże wielki! Dlaczego my nie mamy chaty?...

— My nie mamy chaty?... A on ją ma!... On w swojej siedzi spokojny i szczęśliwy?... Poczekaj tu, matko!...

I pognał, jak opętany.

Matka chciała biedz na! nim, lecz nie mogła po-  
dążyć.

Niepowstrzymany biegł syn Semenów prosto do  
mieszkania żyda, a oczy mu pały...

Niedaleko już mieszkania zdybał wracającego do  
swego domu Abrahama. Ten przystanął, jakby go co  
zatrzymało, a utkwivszy wzrok w młodzieńca... poznał  
go, gdyż chciał zejść czempredzej z drogi.

Lecz żołnierz wyrwał w tej chwili kół z opłocenia  
— i dognał żyda, zemstą szalony.

Zamachnął kołem... Żyd padł na ziemię.

Roman stanął, jakby się chciał opamiętać...

Atoli gdy się nachylił, spostrzegł, że tamten tylko  
charczy...

Wtedy pobladł... i sam już nie wiedział, co teraz  
zrobić...

Żyd leżał z rozpękłą czaszką.

Przerażony poznał, że człowiek ten już nie po-  
wstanie.

Stał chwilę jakby zdrętwiały. Potem się ruszywszy  
gnał przerażony w bór ciemny.

On teraz gonił w przeciwnym ode wsi kierunku. Łamał się raz po raz z zastępującymi mu drogę gałęziami, które go szarpały niemiłosiernie kalecząc, pod nogami zaś czuł rozsypujące się kłody świerkowe, poobalane dawniej przez wichry i burze.

Gonił jak szalony gęstym borem u gór podnóża. Z lewej strony dochodził go szum coraz dzikszy prze-walającej się po złomach skał Bystrzycy. Tu poznawał tyle tylko, że dąży w górę rzeki — w wyższe góry i skały — w kierunku już ku Węgrom.

Chwilami się zwracał, jakby chciał jeszcze badać, czy on to istotnie zrobił... czy to było na jawie...

Jak to się stało, że on zabił człowieka?... Zabił?... Więc on dziś zabójca?... krwawy morderca?... Wczoraj przecież nim nie był?...

Gdy bór nieco zrzędął, poznał, że już wieś minął... Coraz tu mniej tych chat ludzkich, których on unikał. Widać już pojedyncze chaty Dragoni... Potem znów znikają... Niema, jeno rozwór i las, aż wreszcie i Huta się pokazała. Minał już nawet ów jaz wielki, dzieło ono niemieckie, aby Bystrzycy nałożyć pęta, a wód jej użyć do większych *splawów*.

Miejscami zachodził na dolinę rzeki. I zdziwił się, że dolina teraz pogodna, gdy jemu tak straszno w duszy. Ale wkrótce zjeżyły się brzegi rzeki — i Bystrzyca zaczęła spadać porohami ze złomów skał na złomy — coraz dziksza, rozpieniona — coraz głośniej hucząc a szumiąc<sup>1)</sup>. To bardziej już przypadało do jego duszy zakrwawionej!

---

<sup>1)</sup> Teren tu cały i cała ta okolica oddana, jaką jest w rzeczywistości według własnego poglądu autora.

Ach! on chciałby się upić tym hukiem a szumem — na zapomnienie — na śmierć.

Chwilami przystawał, oglądając się z przerażenia, jakby zamordowany za nim wołał: — Zabójca!... Ty zabijał... Przyjdę teraz do ciebie — przyjdę upiorem!

— On?... Ten żyd? Przygna dziś mściwy i będzie ssal krew upiorem?...

Chmury zaś coraz się gęściejsze zbierały.

A ona?... Co ona teraz?... Ona teraz kląć mnie będzie!... Boże wielki! Ja nie wytrzymam, żeby ona mnie kląć miała... Po latach trzech niedoli a tęsknoty jam wrócił do siola, by mnie ona klęła?...

I łamał dłonie z rozpaczy.

Po chwili spojrzal na swoje ręce wołając: — Oj, co te ręce zrobiły?... Czy to te same ręce?... Krew na nich cięży... One zabiły człowieka!... Nie... To niepodobna... A może to był sen tylko?... Ach! nie... To nie sen... To prawda!... Boże! wielki Boże! dlaczego to prawda?

Nagle stanął, gdyż mu się zdawało, że się jakiś „zły“ wicher ruszył. Spojrzal po za siebie — i oczy stanęły mu w słup.

— Ach! na prawdę! To on!... Krzyknął i chciał uciec, lecz siły go opuściły — zemdlal.

I leżał czas jakiś pod starą, od piorunu porażoną jodłą — nieprzytomny. Potem sen go zmorzył, a gdy się przebudził, zrazu nie wiedział, gdzie jest, i jak długo leżał uspiony.

— Gdzie... ja tu... jestem?... Ha! to w ciemnym borze... Czemu ja tutaj?... Co to było?... Czyli to prawda?... Ja naprawdę zabijałem?...

I zdawał się sobie przypominać.

Ha! kiedyż to było?... To jakby dawniej... Nie... nie... to wczoraj... czy może dziś?... Czyli słońko już nie zachodziło i znowu nie wszędzie?... Od razu noc nastalaż ciemna?... Zali dnia dziś już nie będzie?...

Tak bijąc się ze snu marami a ze strasznem przypomnieniem, zerwał się i szedł dalej, sam nie wiedząc, gdzie i dokąd, byle tylko uciec od własnych myśli.

Słońce tymczasem już wzeszło. Ale nie dla niego!... W duszy jego wiecznie ciemno — w piersi jakby tam było gniazdo gadów. On się dziś przestraszył dnia jasności.

Idzie teraz coraz dalej wdluż doliny rzeki w górę... Jakaś siła niewstrzymana prze go dalej i dalej. On chciałby uciec nie tylko daleko od siola rodzinnego, ale i od samego siebie!

Nareszcie blisko już Meżeryk dolatywały głosy *bouharów*, pasących na tej oddalonej już połoninie. Lecz tu się przestraszył głosu ludzkiego — i zboczył czemprędzej w prawo, spinając się na stok pasma wysokiego — w bór gęsty.

Zaraz musiał się przedzierać przez gęstwiny po nad Bystrzycą, spadającą teraz ze zboczy wązkim, nader burzliwym potokiem, goniącym ku dolinie, którą właśnie co opuścił.

Dziki ów potok, biegnący na dół świerkowym zboczem, przechodzić musiał z kilkanaście razy, to po jodle wszere wody zarzuconej, obnażonej z gałęzi, z resztkami ich sterczącymi, by kolce, które szarpały mu stopy, albo nie zdybawszy pnia leżącego, wchodził w zimny potok, że nogi drętwiały. I tak coraz dalej, coraz wyżej, piał się w górę spinając po głazach, to po próchniejących

kłodach, na które stanąwszy zsuwał się w dół, lecz spinał dalej — niepowstrzymany.

I spojrzął ku niebiosom — a tam znów zebrały się chmury. Wielka a czarna by sadza ciągnęła z zachodu z ogromnym szumem. Śpieszył się przeto coraz dalej, aby przecież wynaleźć gdzie jakie opuszczone może przez pastuchów schronisko... Teraz zaczęły już z rzadka padać krople coraz grubsze.

Nareszcie natrafił na jakąś opuszczoną *kołybę*, pokrytą łubem świerkowym, spoczywającą na kilku dylach, do połowy zwałoną — i tam się schronił, nie mając już siły drapać się wyżej.

Wtem puścił się deszcz, jak z cebra, a pioruny biły po piorunach.

Dawniej lękał się Roman piorunów, dzisiaj... czekał nawet, czy go grom boży nie zabije... Ale grom boży nie chciał w niego uderzyć. Pioruny biły po piorunach, a ze szczelin przykrycia łubowego lał się deszcz nieszczęsnemu na plecy — na głowę... Przemókł cały dygocąc ze zimna. Ha! grom nawet dziś w niego nie chce uderzyć!

Zerwał się mimo deszczu, który już ustawał — zziębnięty, drżący, piał się dalej w górę... Chwilami myślał, że już wychodzi do samego wierzchu na połoninę, lecz byłać to tylko haława, na której rosły *afyny*<sup>1)</sup>. Teraz świerki coraz bardziej już rzadły, raz w raz niższe, wkrótce zatem dojdzie do grzbietu, i przynajmniej choć spocznie od wielkiego znużenia między *bouharami*, jacy go nie znają, ani wiedzieć będą, co on uczynił.

---

<sup>1)</sup> *Afyny* — borówki, czernice.

Wyszedłszy wyżej był już u podnóża „Sywuli“, piętrzącej się na tem wysokiem pasmie. Zboczył u jej stóp, i szedł jakiś czas po złomach kamieni — między kosodrzewiną — upadając z wielkiego znużenia.

Nareszcie pokazała się połonina „Bystra“, i słyhać już było głosy *bouharów*, zapędzających pod wieczór do koszar *marzynę*. A po nad głową rozchodził się ogromny szum ciągnących tu nisko chmur. Szły jedna za drugą, groźne hukiem swoim.

I Roman strudzony — zziębnięty — przemoczony do nitki, rad choć był, że widzi *kołybę* z ludźmi, gdzie nieznany będzie mógł ogrzać się przy *watrze*. Był wszystek mokry ze zimna i potu. Na całej połoninie ze wszech stron spędzali tu *bouhary marzynę*, głośno nawołując.

Roman wszedł do dymiącej się *kołyby*, gdzie łomaki kładli na łomaki w czarnych koszulach *bouhary*... i spostrzega między nimi gazdującego — żyda. Przeraził się na ten widok, i zboczył w bok czempredzej...

Zdała od mieszkań ludzkich — na dalekiej, najwyższej nawet położonej połoninie — między pastuchami gospodaruje — żyd! Czy najwyższe tu góry i najpiękniejsze połoniny w rękach dziś także żydowskich?...

A najpiękniejszy lud gór naszych już ma się ku upadkowi?...

Romanowi na widok tego żyda zrobiło się straszno. Przerażony gonił dalej, błakając się po „Bystrej“, na której ze wszech stron sączyły się między trawą małe, ledwo widoczne poniki, wychodzące jakby z pod ziemi.

To poród Bystrzycy Sołotwińskiej.

Wszedł w całą sieć tych poników głośno szemrzających między trawą, to między kosodrzewiną — i brnąc



po grzązkiej murawie wyplątał się nareszcie z gęstwiny, a biegnąc dalej stanął nad — Dłuczem pekłem!

Okropne to miejsce! unikane przez pastuchów! Na granicy bowiem Węgier stroma, z lekkimi zakłębłościami, spada tu w niedościgłą okiem przepaść dziwnie uwarstwowana skała!

Spojrzał nieszczęśliwy, i zdawało mu się, że zebrała go ochota stąpić na stok spadzisty i stoczyć się w dół... gdzieby kości jego choć na obcej ziemi węgierskiej znalazły spoczynek.

Spojrzał na prawo: przed nim stoi wydłużony Gorgan. Zwróciwszy wzrok na lewo, ujrzał po nad inne lesisty Bojaryn. A tu przed nim poniżej kreskowane zbocze, w głębi zaś przepaść... Jeden rzut tylko — i koniec jego mece!

Postąpił już jedną nogą... Krok jeszcze i — wszystko się zakończy.

Lecz wtem przypomniał sobie matkę pozostawioną w siole, przypomniał kochankę — i wielce żalno mu się zrobiło... Okropna tęsknota opanowała duszę jego i — zaczął płakać za niemi i za swoim siołem. On ich już nigdy nie obaczy!

I cofnął się, nie chcąc po raz drugi spozierać w przepaść, gdyż tam zły duch w dół ciągnie.

Odstąpił kroków parę i strudzony legł w gęstwinie kosodrzewiny. Myśli o domu, o siole rodzinnem, majaczyły w jego duszy znękanej — i powoli usnął z trudu a umęczenia.

We śnie widział chatę swoją rodzinną, starego ojca i matkę. I widział się w chacie swojej, jak niegdyś, młodszy i szczęśliwszy. Ojciec wybierał się gdzieś do lasu,

matka napełniała *berbenice* i koń huculek czekał na podwórzu, a on sam stał koło niego i gotował się w drogę.

Spał tak parę godzin — nareszcie zbudził się a obejrzawszy do koła przeraził, że to sen był tylko. Ach! ojciec jego już nie żyje — matka bez chaty — a on zabójcą!

— I kiedy to było?... Mnie się zdaje, jakby to już było dawno... a to dopiero druga noc... tak... druga... Boże! Jakie to dni długie i jakie to noce!... Czy żyda tego już pochowali?... Tak musieli pochować... Ach! on pod ziemią!... A córka płacze ojca i przeklina zabójcę!... Ha! to okropnie... ona mnie przeklina!

Chciał powstać, lecz nie mógł. Głowa mu ciążyła, a oczy jakby zamroczyło. W oczach mu się двоило. I znów go opanowały mary nocne i sen zmorzył głęboki.

Lecz ktoś był tu drugi, co go szukał po Bystrej. Roman bowiem wchodząc z wieczora do *kołyby* przestraszył się na widok żyda i zaraz uszedł: lecz żyd ów pierwej już wtedy spostrzegłszy obcego zajrzał mu w twarz... i zaczął szukać w myślach swoich... A gdy na widok jego ten obcy czempredzej uszedł, tem większe musiał wzbudzić podejrzenie.

I tak szukając w myślach poznał żyd teraz, że to ten sam prawie *goim*, który tyle nieszczęścia narobił był Abramkowi, rzuciwszy czary na jego córkę.

I skąd on tu się teraz wziął?... Zdaje się, jakby szedł z Węgier, śpiesząc na urlop do wsi. A Abramko dziś bezpieczny... Należy go przestrzedz, gdyż po nic dobrego człowiek ten nie wraca... Oj, będzie źle znowu z Rożą, i bieda Abramkowi, a hańba w Izraelu. Nu; gdzie on poszedł — ten urlopnik?... On tu gdzieś blisko być musi. W noc się taką nie puścił w bory?...

Tak przebijając w myślach, chodził żyd po Bystrzej między szemrzące poniki, zarosłe kosodrzewiną, i szukał obcego, myśląc nad tem, jakby sobie teraz postąpić, aby *goima* nie puścić do Porohów, albo też przestrzedz swego chlebowawcę. Przyszło mu na myśl, czyliby nie można wydać człowieka tego za złodzieja, który się włóczył na granicy, by skraść wołu lub konia i dalej z tem ująć na Węgry, na jarmark?... Przecież nie darmo zaglądał on do *kołyby*, a widząc więcej ludzi, schował się czempredzej. To tylko złodziej tak postępuje. Jak umyślił, tak i uczynić postanowił.

Chodząc przeto i myszkując noc prawie całą, dopadł nareszcie nad rankiem śpiącego, i przywołał pastuchów. A gdy śpiący otworzył oczy, spostrzegł, że go wiąże dwóch *bouharów*, a żyd im dopomaga.

Zdziwiony pyta ich młodzian, co to znaczy. Lecz oni nic nie odpowiedzieli, jeno wiazali mu ręce i nogi. On chciał się wyrwać, ale sił mu zabrakło. Nareszcie skrępowanego zawiedli do *kołyby*.

Tam dwóch *bouharów* gotowało *urde*<sup>1)</sup> w kociołku — a żyd pozostawiwszy związanego ich pieczy, poszedł do kozzary gotować do drogi konie.

Tymczasem z dwóch *bouharów*, zatrudnionych przy warze, poznał jeden Romana, a dowiedziawszy się odeń, że on nie z Węgier idzie, lecz przeciwnie z rodzinnego siola, nie mając najmniejszej myśli kradzenia koni lub bydła — ulitował się nad nieszczęśliwym, i rozwiązał mu łyka. Dał do tego zziębniętemu ogrzać się ciepłą *urda*.

<sup>1)</sup> *Urda* — rzadki ser owczy gotowany ze żętycy.

Gdy się drudzy nieco oddalili, szukając z żydem za koźmi, pokazał czempredzej on *bouhar* Romanowi drogę, którądy ma uciekać, aby ujść napaści wiernika Abrahamowego. Do Węgier było niepodobna, gdyż tam nie znał drogi; nazad zaś wracać nie chciał do rodzinnego siola, toż więc pozostała mu droga ku Sywuli a I h r o w y s z c z u... może i dalej w dolinę Łomnicy: on sam już nie wiedział, kędy się udawać. Tyle mu powiedziano, że musi przejść grzbietem ono strome a wysokie pasmo Sywuli, skąd potem zeszedłszy, po stronie przeciwnej dalej podąży: wtedy go żyd nie dogna i krzywdy mu nie uczyni.

Upatrzywszy stósowną chwilę, a widząc, że mgła ranna ułatwia mu ucieczkę, wysunął się Roman z *kołyby* — i ciszkciem chyłkiem, zakradając się między kosodrzew, przeskakując sączące się poniki, wychodzi na stok Sywuli, owiniętej w gęstą *mrakę*.

Patrzy do koła, a tam ze szczelin wszystkich gór, z dolin i parowów, wychodzi *mraka*, ścieląc się na wszystkie strony.

Wznosi się zatem na Sywulę oglądając, czyli za nim nie gonią... Z początku spina się po murawie... Wkrótce kopiec staje się bardziej stromy — coraz częściej na zboczach jego pokazują się kamienie, i chłodniejszy już wiatr powiewa. Nareszcie na dziko napiętrzonych złomach głazów wychodzi na szczyt Sywuli, otoczony zewsząd chmurami. A zimny wiatr, jakby grudniowy, owiał zaraz zziębniętego.

Którędyż iść teraz dalej?... Rozgląda się do koła... Stokiem północnym nie zejdzie, gdyż ten spada nader stromo po złomach kamieni... Chyba ptak tędy przeleci!

Idzie zatem grzbietem pasma ciągnącego się ku zachodowi, raz po raz oglądając się, czyli niema za nim pogoni. Zimny wiatr wieje — on goni coraz dalej... Uciezka ta sił mu dodaje. Wreszcie znów się mocniej jeszcze spiętrzyły głązy omszone żółtym porostem: jest to drugi szczyt Sy w uli. Lecz on nań nie wychodzi, tylko mimo niego dalej przechodzi.

Idąc tak ciągle pasmem, najwyższym w tych stronach, szukał miejsca, gdzieby zejść tu na dół... Oczom jego wychylała się chwilami *Caryna*, lecz słońko nie mogło chmur przedrzeć. Czasem pokazała się jakaś część krajobrazu, lecz *mraka* wnet wszystko zakrywała.

Nareszcie zdało mu się, że tam dalej stok północny mniej jest stromy — zeszedł zatem ze grzbietu, i wplątał się w sieć gęsto zarosłej kosodrzewiny. Chciał się wymotać, a odchylając gałęzie po gałęziach, bił się przez tę gąszcz, nie mogąc się z niej wydobyć... Strudzony — pokaleczony — po długim wysileniu wydostał się nareszcie, wszedłszy w bór świerkowy, gdzie pojedyncze pokazywały się limby, co wskazywało, że jeszcze bardzo jest wysoko, gdyż ta drzewina po wysokich tylko rośnie górach, choć dzisiaj już coraz rzadsza. Gdy dalej schodził, drzewostan był wyższy a bór okazalszy. Nareszcie zeszedł w dół, jakby w głęboki parów rozłożony między pasmami<sup>1)</sup>. *Mraka* się teraz rozwiała i słońce wychyliło. Cała przyroda pokraśniała.

A jemu się wielce żalno zrobiło, że słońko ukazało się na niebie... Ale już nie dla niego. On dzisiaj niegodzien widzieć jasności dnia. On dziś zbro Iniarzem!...

<sup>1)</sup> Cała ta okolica, jak i inne, malowane są z całą dokładnością z natury.

Chciałby stąd uciec w gęstwą borów, chciałby o wszystkim i o sobie zapomnieć — lecz osłabiony musi spocząć.

Wiernik zaś owy Abramków nie zastawszy jeńca nałajał *bouharom*: lecz nie dawszy za wygraną, wybrał się czempredzej w drogę do Porohów, aby przestrzedz Abramka i obmyślić, jakby tu się ustrzedz przed wrogiem. Należałoby go podać jako *koniokrada* i zasadzić w Porohach do ciupy, skoro tylko tam wróci, — a zaninu on się stamtąd wydobędzie, żydy coś już tymczasem zrobią z Rozą. Trzeba ubiedz tylko urlopnika w siole.

Żyd się zatem śpieszył, wzięwszy ze sobą dla obrony podczas drogi dwóch z *kolyby*. Jak najkrótszą drogą zjeżdżał przez gęste bory wąskimi *plajami*, oglądając się z obawą chwilami, czy tu gdzie nie spostrzeże przeciwnika swego. A gdyby ten się gdzie ukrył i wypalił ukryty z poza którego świerku?... Na tę myśl mrowie go przeszło, lecz zaraz sobie przypomniał, że urlopnik ów nie miał przy sobie żadnej broni. Śpieszył zatem czempredzej — i cały zasapany dowlókl się wreszcie na koniu do Porohów.

Zdybawszy tu niedaleko już domu swego chlebodawcy znajomego sobie chłopu, zapytał z pośpiechem, czy Abramko jest teraz w domu.

— Ta, obaczysz... A pewno tam musi być... odrzekł chłop, obojętnie poglądając szyderczo na żyda. I dodał ciszej: — Ta może jest, jeśli go nie wynieśli. — Lecz słów tych jadący nie słyszał. Był już bowiem dalej.

Bliżej zaś domu zdybał onego wymokłego męża Rozy, a nie zsiadłszy jeszcze z konia, zaczął już wołać, że *goim* ten... że wróg ich... wraca... Niechaj czempredzej przestrzegą Abramka a Rozę dzisiaj niech nie puszczają z domu!...

Ale człowiek on wypatrzył się na mówiącego, który czemprędzej dołożył: — Nu, prędzej!... Gdzie Abramko?

Teraz jakby się zbudził tamten, a krzyknawszy z płaczem: — Nu, gdzie Abramko?... Aj waj! gdzie *wun* teraz... I zaczął zawodzić wielkim lamentem...

Stary się wypatrzył — a gdy mu do oczu z chaty zawiąła ogromna pustka — zrozumiał, co zaszło.

Żydom teraz pozostała tylko zemsta.

*Goima* zabójcę muszą dziś dostać w swoje ręce! Rozeszła na wszystkie strony... On tu gdzieś będzie w bliskości.

Roman zaś tymczasem spocząwszy nieco w dzikiej samotni między Sywulą a I hrowyszczem, zerwał się w dalszą wędrówkę.

Droga wychodziła mu teraz stromym stokiem na Róg, który przed nim stanął ogromnym wałem.

Wspina się zatem na owo strome zbocze — z razu przez las, potem gołem zboczem zrzadka zasłanem drobnym usypiskiem. Spinając się upada z trudu, gdyż trzeci dzień już uchodzi. Ale on nie chciał odpoczynku... Jego dalej pędziło — niepowstrzymanie. Chciał uciec choćby na koniec świata!

Nareszcie wyszedł na grzbiet wału tego, skąd szeroki roztoczył się widok ku północnej stronie. Tu musiał odetchnąć. Pasma piętrzyły się jedno po nad drugie — i widać było parów między górami, który był doliną Bystrzycy. Ach! tam w dolinie między górami wieś jego rodzinna... ale on pójść tam nie może! On dzisiaj zbrodniarzem, błąkać się musi daleko, jak zwierz dziki!

Ha! idźże teraz dalej grzbietem tym wysokim i uciekaj od swoich!... Tu stanął przed nim dziki szczyt

tego pasma, z głazów a złomów skał w kształcie istotnego rogu napiętrzony. Od tego miejsca zboczył grzbietem na prawo. Teraz już i od strony węgierskiej pokazał się widok daleki... bez końca... Kopce nad kopcami — niby wielkie kopuły — niby olbrzymie fale przedpotopowe — dziko w straszliwym piętrzyły się ogromie — a od strony północnej roztaczał się dalszy widok, przechodząc z gór jakby w niższe wzgórze... nareszcie gubiąc się aż za Sołotwiną w siną płaszczyznę... Lecz on odwracał oczy, choć go tam ciągnęło.

I tak idąc grzbietem schodził miejscami w niższe przełęcze najeżone głazami — a przed nim olbrzymi już zarysował się kopiec Wysokiej. Dzień był pogodny — słońce jasno świeciło. Nie mógł przenieść na sobie, by nie wyjść na sam szczyt najeżony głazami. Może on stamtąd ujrzy ojczyste raz jeszcze strony. I czemp prędzej drapał się już blisko szczytu.

Patrzy... od strony Węgier kopce jedne na drugich — dziko spiętrzone... ku zachodowi zaś łańcuch I r o w y s z c z a, jakby kratkowany, zielenią połonin, to ciemniejszą barwą kosodrzewiny — a od strony południowej centkowany gruzem kamieni — drugi zaś porozrywany dźwigał na sobie szczyt S e r e d n e j. On się śpieszy — dygocąc cały... Jest już na samym szczycie... teraz od strony swojej północnej — strony ojczystej — rozchodzą się góry po górach — coraz niższe — ciemnym borem to zielenią pokryte połonin, a między niemi wychyla się na prawdę dolina... Ł o m n i c y... w wielkim zaś jeszcze oddaleniu sinieją coraz już bledziej... bledziej... wzgórze i płaszczyzny... Ale tu bliżej... patrzy... on stąd dostrzega bielejące chaty w dolinie swej rzeki...



Na prawdę! To Huta!... Tam zaś dalej chaty... jego Porohów. I zalał się łzami.

Zrobiło mu się okropnie tęskno. To jego gniazdo rodzinne! Zali jego już nigdy nie obaczy?... Wielki żal i *tuha* opanowała go, aby raz jeszcze może przed skonem spojrzeć mógł na miejsce swe ojczyste i na ludzi swoich...

Bo tam jego matka... tam jego kochanka! Tam ojciec w grobie!... A on tutaj?

I postanowił wrócić do swego siola... Cokolwiek się stanie... on nie chce ginąć w tych górach — zdaleka od swoich! Chce jeszcze widzieć miejsce rodzinne, i tam skończyć, gdzie niegdyś ujrzał światło dzienne!

Zaczął zatem schodzić — szybko — grzbietem Wysokiej — między gąszcze kosodrzewiny — między olchy górskie, to gęstwiny jałowca. Po lewej stronie bardzo stromo spadał bok pasma w głęboką przepaść. On szedł dalej — coraz niżej — coraz prędzej — i wszedł na niżej położoną połoninkę zieloną, lekko staczającą się w niższe regiony. Nie szedł już po niej, lecz biegł... I z połoniny tej zeszedł jakby na niższy taras pokryty zielenią, a dalej na trzeci — i był już w lesie świerkowym, słysząc huk po kamieniach gdzieś w głębi pędzącego Kuźmienia.

Potem wiodła go już droga równiejszym lasem — coraz niżej — a potok huczał z boku pędzący do Bystrzycy.

Już się pokazywały pojedyncze zagrody Huty. Był teraz koło jazu wielkiego. Lecz tu nie szedł przez przysiołek, jeno bokiem u podnóża pasma gęściejszym borem. to wychodził na *caryny*, lub krył się po za grupy olch rozsiadłe na mokrzynach.

Słońce już zachodziło — ogromne — czerwone... Roman zoczywszy je uczył wielką trwożę. Jemu się zdało, że ono dziś zachodzi w strumieniach krwi... i drzewa a kwiaty jakby wydawały zapach krwi. W powietrzu czuć było jakąś wielką grożę. Zdało mu się, że chce nazad wrócić w dzikie góry a skały, które dopiero co opuścił.

Boże wielki! Zali on się kiedy spodziewał, żeby go ojczyste siolo takim strachem przejmowało!

Czem więcej się zbliżał, tem silniej biło mu serce, jakby miało pierś rozsadzić.

Na niebie zaś stała ogromna luna.

I było mu okropnie słabo, jakby miał za chwilę już skonać...

Wtem puszczyk zaczął wołać.

Straszliwe go trapiły przecucia.

Ach! jak oni go teraz przyjmą?... I jak go przyjmie ona?...

Dzisiaj sierotą — bez ojca — przez niego!

I gdy tak się zbliżał, zdawało mu się, że go siły całkiem opuszczają... że już nie dociągnie...

Ustawał co parę kroków... i zdawało mu się, że w powietrzu słyszy ponure jakieś dygotanie.

Wtem niedaleko grupy olch... jemu dobrze znanych... coś mignęło... On się wstrząsł cały i w oczach mu pociemniało... Puszczyk zawołał raz drugi.

A gdy przejrzał, widział błakającą się nad brzegiem potoku niewiastę... Zbliżył się drżący... popatrzył — i jakby skamieniał. Był to bowiem już jakby cień jego dawnej ukochanej.

Po chwili chciał ją objąć ramiony swemi. Ona się wypatrzyła... wstrzęsła się... oczy jej stanęły słupem...

I odepchnęła go ze zgrozą, wyszeptawszy jakimś podziemnym mrukiem: — Ty!... Precz odemnie!... Precz! Ty zabijasz!... Zabijeś jego... Nie zbliżaj się! Tu krew... Tam krew... Ha!

I w dzikim rzucie pobiegła dalej — zostawiwszy na miejscu — przerażonego.

On nie uważał, jak się z za krzaków zbliżali owi dwaj, wiernik Abrahamów z mężem Rozy nieszczęśliwej, rozglądając po za siebie, czyli nie znajdą kogo jeszcze do pomocy... Atoli nie zdybawszy, skoczyli obaj w jednej chwili... zażarci, i chwycili wroga, uczepliwszy się jego rękami ze wszystkiej siły, wrzeszcząc z całego gardła, żeby im przybywano na pomoc! Oni złapali mordercę Abrahama!

Lecz Roman w jednej chwili wydobywszy ostatek sił odrzucił napastników... i odbiegł w bór bliski...

\* \* \*

Nazajutrz rano schodzili się ludzie w jedno miejsce — bardziej dzikie i bardziej samotne, bo tam na starym od piorunu porażonym świerku kołysał się trup człowieka, a koło niego była jakby na straży niewiasta, załamująca ręce. Była to Semenycha płacząca za swem dzieckiem.

Wiatr huczał — gałąź skrzypiała — trup się kołysał. A w powietrzu zdawało się słyszeć lament za nieszczęśliwym samobójcą.

I przygnała córą Abrahamowa, bardzo zmieniona. w dziwnem ubraniu z włosom rozpuszczonym — oczy jej były obrócone w słup... Ona nikogo nie poznawała. Pobiegła dalej, jakby uciekała przed widmem krwawem.

I długo potem chodziła jeszcze obłąkana — jakby samotna po siole — uciekając w wielkiej trwodze na widok człowieka — raz w raz wołając, że tam leży trup krwawy starego — niepochowany.



INSTYTUT  
 BADAŃ LITERACKICH PAN  
 BIBLIOTEKA ▲  
 60-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 71  
 Tel. 25-58-68



Dawniej wyszły następujące książki tego samego autora:

|   |   |      |       |
|---|---|------|-------|
| Nasza Golgota. Z martyrologii sybirskiej. Lwów 1901 . . . . .   | 1 | Kor. | 40 h. |
| Dzieci puszczy, powieść na tle życia ludu górskiego huculów. Lwów 1900 . . . . .  | 1 | "    | 20 "  |
| Nad Czeremoszem, (trzy nowele huculskie: Trofym Ołenyn, Taras z Worochty i Ostap z Perechińska). Kraków i Warszawa 1891 . . . . . | 2 | "    | 40 "  |
| Wygnańcy, powieść z życia więźniów naszych na Sybirze. Lwów 1894 . . . . .  | 1 | "    | 60 "  |
| Czarna doła, nowela na tle czasów z niedalekiej przeszłości. Lwów 1902 . . . . .  | — | "    | 60 "  |
| Hipolit Czernyszew, nowela sybirska. Lwów 1897 . . . . .  | — | "    | 80 "  |
| Straszną Drużyną, powieść na tle życia huculów z XVIII. wieku. Kraków 1892 . . . . .  | 1 | "    | 40 "  |
| Nasza Odyseja, obraz na tle wychodźstwa ludu naszego do Brazylii. Lwów 1895 . . . . .   | 1 | "    | — "   |
| Po długiej nocy, obraz na tle ludu rusińskiego z niedalekiej przeszłości. Lwów 1899 . . . . .                                     | — | "    | 60 "  |
| Sąd doraźny, nowela z czasów niedalekiej przeszłości. Lwów 1896 . . . . .   | 2 | "    | — "   |
| Praszczur Czemeatów, obraz na tle życia huculów w dawniejszych czasach. Kraków 1888 . . . . .                                     | — | "    | 40 "  |
| Trzy doby, obraz społeczny na przełomie naszych czasów. Kraków 1891 . . . . .   | — | "    | 80 "  |
| Niepoprawni, powieść społeczna. Lwów 1885 . . . . .   | 2 | "    | — "   |
| Mojmir, dramat konkursowy, uwieńczony jedyną nagrodą. Lwów 1882 . . . . .   | 2 | "    | — "   |
| Rozbiór Dziadów Adama Mickiewicza. Lwów 1873 . . . . .  | 2 | "    | — "   |

(Począwszy od nr. 4 **Wygnańcy**, wszystkie książki aż do ostatniej są już na wyczerpaniu).

Oprócz dzieł powyższych autora dawniej wydanych, wyszła niedawno z pod prasy

### **powieść historyczna**

z drugiej połowy XVIII. wieku (z czasów przed pierwszym rozbiorem naszej Ojczyzny)

## **Dramat bezprawia**

Tom I. i II. Lwów 1904. Cena 4 Kor.

<http://rcin.org.pl>







K

63 39 1/2